



*Wieczór
taki jak ten*

GABRIELA,
GARGAŚ



GABRIELA,
GARGAŚ

*Wieczór
taki jak ten*

Copyright © Gabriela Gargaś, 2017

Copyright © by Wydawnictwo Poznańskie Sp. z o.o., 2017

Redaktor prowadzący: Patryk Mierzwa

Redakcja: Malwina Błażejczak

Korekta: Alicja Laskowska

Pro-jekt okład-ki i stron tytułowych: Izabella Marcinowska

Fotografie na okładce: © kikovic/shutterstock, © almaje/shutterstock

ISBN 978-83-7976-795-3

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fre-dry 8, 61-701 Po-znań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Wieczór cudów

Jest taki wieczór, magiczny wieczór. Wieczór wigilijny, kiedy magia przeplata się z cudem chwili... Wieczór pełen wiary, zrozumienia, śmiechu, miłości...

— *Miałam w swoim życiu tyle ciężkich chwil. Tak trudnych, że nie mogłam złapać oddechu. Czasami myślałam, że życie to tylko smutek.*

— *A teraz?*

— *Teraz rozumiałam, że życie to tysiące maleńkich, cudnych chwil, których nie dostrzegamy, smutków, które wyolbrzymiamy, i nic niewartych wspomnień, które niepotrzebnie rozpamiętujemy. Pretensji, które nosimy w sobie. Życie to uśmiechy, które rozdajemy, i uśmiechy, które do nas wracają. To łzy, które spływają po policzkach. Życie to wzloty i bolesne upadki.*

— *Ja też miałam takie chwile, kiedy życie mi brzydło. Widziałam je w szaroburych odcieniach. Każdy dzień budził mnie smutkiem i uciskiem w sercu. Ale to minęło. Rozumiałam, że życie to miłość. Do samych siebie, do bliskich, świata, innych ludzi.*

Prolog

Ilona wzięła ślub, kiedy jej córeczka Michalina miała dwa lata. Chciała być pewna uczuć swojego przyszłego męża, dlatego zwlekała z wcześniejszym zamążpójściem. Kiedy już stanęli przed ołtarzem, a Miśka ubrana w kremową sukieneczkę przykleiła się do jej nogi, Ilona poczuła ogromny przypływ miłości. Pierwszy raz doznała takich wielkich emocji po urodzeniu córki. Spojrzała wtedy na jej czerwoną, wymiętą twarzyczkę i pisała z radości. Pamiętała tamte chwile, kiedy budziła się w nocy tylko po to, aby zobaczyć śpiącą córeczkę. Dotknąć opuszkami palców jej idealnej, okrągłej główki albo pocałować ją i poczuć ten charakterystyczny niemowlęcy zapach. Misia pachniała mlekiem i pudrem. Zapach dziecka jest najpiękniejszym zapachem na świecie. Kiedy ponownie zaszła w ciążę, była przerażona. Ale nie tym, że jest w ciąży; zastanawiała się, czy drugie dziecko będzie w stanie pokochać tak jak pierwsze. Ale jej serce po raz kolejny ją zaskoczyło, kiedy otworzyło się na taki ogrom miłości.

Po latach, kiedy Miśka dorosła, Ilona bardzo często rozmawiała z nią o ojcu. Nawet o tych intymnych sprawach, o których mama z córką zwykle nie rozmawiają. One nie miały przed sobą tajemnic.

Skończyłam dziewiętnaście lat. Przyjęli mnie na studia i wtedy odkryłam, że okres mi się spóźnia.

— Niemożliwe — powiedział twój tato.

— Widocznie możliwe.

— Może spóźnia ci się przez stres?

— Ostatnio, jak sam zauważyłeś, byłam wyluzowana.

Zaczęłam odtwarzać w myślach, jak to między nami było. I było to tak, że czasami się zabezpieczaliśmy, a czasami nie.

— Nie panikuj. Zrobisz test.

— A jeśli wyjdzie pozytywny?

— Przyjadę do twoich rodziców z wielbłądem i kozą, by cię wykupić.

— Chce ci się wygłupiać w takich chwilach?

— Tak. Pewnie, że tak. Chcę być z tobą na zawsze. Więc... nie widzę problemu.

Podjechaliśmy pod aptekę, twój tato kupił kilka testów ciążowych. Robiłam je w publicznej toalecie, gdyż w domu był twój dziadek, a twój tato mieszkał wtedy z kolegami.

Kiedy na teście pojawiły się dwie kreski, myślałam, że padnę trupem”.

— A tato? — zapytała Miśka.

— Tato wziął mnie w objęcia i powiedział, że będziemy mieli córeczkę.

— Skąd wiedział?

— Nie wiedział. On to czuł. I ja to poczułam, Miśka. Ani przez chwilę nie miałam wątpliwości, że chcę ciebie mieć.

„Czy o nim myślę?” — zastanawiała się tamtego dnia Michalina. „Tak... Mimo że minęło już tyle czasu... Tyle lat, miesięcy, tygodni, dni, godzin, minut. Zasypiam ogarnięta myślami o nim. Huśtam się na huśtawce, którą dla mnie zamontował na gałęzi jabłoni. W uszach wciąż dźwięczy mi jego śmiech. Śmiał się... Jak on się śmiał? Jak wariat. Szaleniec mój. Kochany. Ile razy, kiedy listonosz przynosił pocztę, myślałam: może do mnie napisał. Dał czytelny znak: «Ja też nie zapomniałem. Pamiętam cię». Chciałam być pamiętana. Niczego tak bardzo nie pragnęłam, jak tego, by o mnie pamiętał. Być dla kogoś kimś ważnym... Nie napisał. Nie zadzwonił. Niekiedy jego twarz zamazuje mi się we wspomnieniach. Oglądam wtedy nasze zdjęcia. Tato! Chcę wołać w niebo, by mój głos do niego dotarł. Dlaczego od nas odszedłeś?”

A potem odeszła mama...

Mama. Mamusia. Mamusieńka. Mamulka. W tym słowie dzieci znajdują tyle miłości, czułości, empatii, słodkości. Jaka była mama Miśki? Radosna. Ile ona się śmiała! Śmiała się oczami. Jej niebieskie oczy zawsze były roześmiane. Znasz ten rodzaj uśmiechu? To najpiękniejszy ze wszystkich. Szczery. Mama, wieczna optymistka, która niekiedy płakała. Mamunia kochała ludzi, rodzinę, dzieci. Czasami Miśce wydawało się, że mama cała jest miłością. Potrafiła cieszyć się z każdej chwili. A kiedy dowiedziała się o chorobie, to wręcz celebrowała życie. Miśka pamięta pewną rozmowę. Siedziały we dwie przed babciną kawiarnią, piły mrożoną herbatę i skubały cytrynowe ciasto drożdżowe. Dookoła pachniało świeżo skoszoną trawą. Promienie słońca ogrzewały ich ramiona. Mama przymknęła powieki i powiedziała:

— Zastanawiałas się nad tym, jakie to szczęście popijać herbatę z pięknej filiżanki? Delektować się nią. Wdychać jej zapach. Zastanawiałas się kiedyś, jak to dobrze być zdrowym człowiekiem? Mieć dwie ręce i nogi. Zastanawiałas się kiedyś, że dobrze jest, kiedy masz rodzinę, która cię czasami wkurza, daje popalić, ale masz też tę świadomość, że jest ktoś, do kogo zawsze możesz się odezwać? Nie jesteś sama. I masz tyle cudowności, tyle możesz, a nie zawsze chcesz, nie zawsze to doceniasz. A masz tyle szczęścia w życiu. Życiu, o jakim niejeden marzy.

Jaka jeszcze była mama? Zakręcona i roztrzepana. Odkładała rzeczy nie tam, gdzie trzeba, godzinami szukała kluczy, które wsadziła do lodówki. Zapominała o garnku z ziemniakami wstawionymi na gaz. Nie raz była u nich straż pożarna. Na szczęście oprócz okopconych ścian strat żadnych nie poniosły. Najbardziej ze

swojego roztargnienia śmiała się sama mama. Taka była ta kobieta o gołębim sercu. Wrażliwa na ludzką krzywdę.

Kobieta ideał? Nie. Nie ma ideałów. Wybuchowa. Czasem Miśka dostała od niej ścierką przez tyłek. Bo tego czy tamtego nie zrobiła. A to jej odpyskowała, a Ilona nie lubiła nieposłuszeństwa. „Możesz wyrazić swoje zdanie, ale to ja jestem twoją mamą i dopóki nie skończysz osiemnastu lat, to ja decyduję o tobie”.

Mama ufała Miśce, a ta starała się nie zawieść jej zaufania. Oczywiście, że miała swoje wysoki, jak to nastolatka. Upiły się kiedyś z Nastką tanim winem. Potem Misia zadzwoniła do mamy, bo nie była w stanie wrócić do domu. Mama po nią przyszła. Nie prawila kazań, nie zrobiła awantury. Następnego dnia rano, kiedy Miśka wypijała kolejną szklankę kompotu, zapytała ją:

— I co? Dla takiego kaca było warto?

— Nie było. — Miśka przyłożyła mokry ręcznik do głowy.

Koniec tematu. Miśka zrozumiała i już więcej się nie upiła.

Nastolatki są wrażliwe na wszystkie przytyki ze strony rówieśników. Miśka też taka była. I kiedy jeden chłopak z jej klasy powiedział jej, że ma grubą dupę jak prawdziwa Murzynka, wpadła w czarną rozpacz. Może byłoby jej lżej, gdyby to był pierwszy raz. Ale to był któryś raz z kolei.

Kiedy mama się o tym dowiedziała, zapytała tylko: „Który to?”.

— Przemek Mackiewicz.

Mama wyszła z domu, głośno zatrzaskując za sobą drzwi. Miśka, niewiele myśląc, poleciała za nią.

Ilona zapukała do drzwi Mackiewiczów. Otworzył Przemek.

— Ty rudy, mały, chudy, zakompleksiony gnojku! Masz tysiąc kompleksów, więc czepiasz się mojej córki?! I co, coś ci tam dynda między nogami? Obawiam się, że nie. Zanim kogoś obrazisz, spójrz na siebie.

Chłopak gapił się na Ilonę szeroko otwartymi oczami. Miśka stała jak słup soli.

— Mamo... Mamo... — powtarzała jak w transie.

— Nie będzie żaden gnojek mówił takich głupot mojej córce! Zrozumiano?!

*

Wieczorem przy kolacji mama zaczęła się tłumaczyć.

— Niepotrzebnie się tak uniosłam... Ale sama wiesz, że w takich sprawach też jestem drażliwa.

— Wiem. — Miśka pokiwała głową.

— Niepotrzebnie. Niepotrzebnie... — Ilona westchnęła. — A wiesz, kiedyś

przeczytałam fajny artykuł. (Mama lubiła czytać wszystko, co wpadło jej w ręce. Kiedy przeczytała jakąś fajną książkę bądź ciekawy artykuł w gazecie, lubiła się tym dzielić z Mišką lub babcią). — Tam było napisane, że każdy z nas za życia otrzymuje w prezencie ciało. I czasami to nasze ciało nie jest idealne. I można je lubić albo i nie. Ale fajnie by było je zaakceptować, bo jest nasze. Dane nam na te kilka ziemskich chwil. Ja lubię swoje ciało. Mimo jego niedoskonałości. I nic nikomu do niego. — Mama spojrzała na Miškę. Córka pokiwała głową. — Każdego dnia otrzymasz też od życia lekcję. Możesz się z niej czegoś nauczyć i wyciągnąć wnioski, a możesz uznać, że ta lekcja jest głupia i niepotrzebna. Ale mówię ci z własnego doświadczenia, że nieważne, jaka by była, to warto jej wysłuchać.

Mama westchnęła.

— Ale mu powiedziałam, co?

Miška wybuchnęła śmiechem.

— No, dałaś mu popalić.

— Zareagowałam za ostro, ale cholernie mnie wkurzył. Nikt nie będzie ubliżał mojej pięknej córce. — Ilona pogładziła Miškę po policzku. — Wiesz, córeczko, każdy ma prawo powiedzieć to, co myśli. I zwykle to nie będzie miało nic wspólnego z tobą. Im człowiek bardziej zakompleksiony, tym więcej w nim jakiegoś takiego jadu w stosunku do innych. Ja też na swój temat słyszałam różne rzeczy. Często mało przyjemne. Jeśli ktoś celowo cię rani, nie odpowiadaj, nie atakuj, nie mścij się. Zajmij się swoim życiem. Niektórzy ludzie czerpią satysfakcję z poniżania innych. I w końcu człowiek, nawet tak spokojny jak ja, nie wytrzymuje.

— Myślisz, że jestem piękna?

— Tak. Jesteś przepiękna... Nawet jeśli teraz w to wątpisz.

Miška we własnym mniemaniu nie była ładna. Może dlatego, że nie była klasyczną piękną. Pociągła twarz, czarne oczy, dość szeroki nos, włosy, które zwijały się w sprężynki i czasami trudno było je rozczesać. Bywało, że sterczały jej na wszystkie strony, tworząc wokół głowy istne afro..

— Te włosy... — Miška westchnęła gwałtownie, tak że kosmyk, który opadał jej na oczy, pofrunął w górę.

— Co ja bym dała za takie włosy. — Mama dotknęła Miškowej czupryny. — Masz je po ojcu.

Mama, ostoją dobroci i źródło poczucia bezpieczeństwa. Jej czule ręce potrafiły zdziałać cuda. Miška pamiętała, że gdy była mała, mama każdego wieczoru przed zaśnięciem wślizgiwała się do jej łóżka. Miška miała zawsze zimne stopy, dlatego opierała je o mamine udo, które dla odmiany zawsze było ciepłe. Mama opowiadała jej bajki i legendy. Miała dar. Te bajki były niezwykle.

Kolorowe. Dwór królewski, opisywany barwnym językiem, był jak żywy. Tak samo wyprawy piratów na wielkich łodziach po wzburzonych morzach po łupy i skarby. Kapryśne księżniczki, zuchwali królewicze i smoki, które wcale nie były tak drapieżne jak w innych bajkach. Czasem, kiedy niebo było bezchmurne, oglądały razem gwiazdy.

— Widzisz drogę mleczną? A tu jest Wielka Niedźwiedzica i Mała Niedźwiedzica. — Palec Ilony kreślił szlaki na tle nieba. — A te trzy gwiazdy, o tam... — nachyliła się nad córką — ...to Pas Oriona. Gwiazdy są niezwykle. Można wszystko z nich wyczytać. Po śmierci będę taką gwiazdą na niebie.

Kiedy mała Miśka chorowała, mama nacierała jej plecki rozgrzewającymi maściami, tuliła ją mocno do siebie i śpiewała kołysanki. A kiedy dziewczynka zasypiała, mama szła do kuchni po garnek z wrzącą wodą i kilkoma kroplami olejku pachnącego eukaliptusem, który stawiała na taborecie obok Miśki łóżka.

Kiedy mama odeszła, to babcia Zosia stała się głową ich niewielkiej rodziny.

Babcia Zosieńka to mama mamy. Jest wysoka i szczupła, ale emanuje z niej jakaś determinacja. Twarz ma pociągłą, z pajęczyną drobnych zmarszczek, usta lekko zapadnięte, ale rozszerzone w uśmiechu. Jest silną kobietą, która pewnego dnia, pod wpływem impulsu, otworzyła kawiarenkę „Cynamonowe Serca”. „Kiedy ma się pięćdziesiąt pięć lat i nie ma się pracy, trzeba ruszyć głową” — powiedziała do Ilony. Mama Miśki też wtedy straciła pracę. Obie pracowały w przedszkolu, babcia jako pomoc w kuchni, mama jako pani prowadząca zajęcia plastyczne, a że była redukcja etatów, pierwszą pracę straciła babcia, a kilka miesięcy później mama. Wymyśliły wtedy, że będą piec ciasta na wesela, chrzciny i urodziny. Otrzymały też kilka zleceń z pobliskich sklepów. Zamówienia rosły z dnia na dzień. Mama i babcia sprzedawały tradycyjne polskie wypieki: szarlotki, przekładane z kremem budyniowym, pączki, serniki, makowce i cynamonowe serca. Bez udziwnień, tony lukru i sztucznych barwników. Wypiekały tylko ze świeżych produktów, wiejskich jaj kupowanych od gospodarza, mleka i śmietany prosto od krowy. Ich słodczyce cieszyły się ogromnym powodzeniem. Kiedy po przeciwnej stronie ulicy, obok ich domu, zwolnił się lokal, od razu go wynajęły. I tak powstała przytulna, kameralna kawiarenka, w której unosił się aromat kawy i ciast. „Pachnie domem” — mawiała Ilona. Oczywiście od wynajęcia lokalu do otwarcia „Cynamonowych Serc” minęło sporo czasu. Najpierw trzeba było zarejestrować firmę, potem wypełnić tonę formularzy. Załatwiły sprawy z bankiem, skończyły na sanepidzie. Wzięły kredyt na lodówkę, ekspres do kawy i kilka innych rzeczy. Z tym też nie było wcale tak łatwo; na szczęście Nastka, kuzynka Miśki, pracowała w banku i pomogła im załatwić formalności. Najadły się przy tym nerwów, że hej. Wierzyły jednak, że odniosą sukces. Przede wszystkim

dlatego, że to było ich najmłodsze dziecko, które we trzy od razu pokochały. Po drugie dlatego, że Złotkowo, w którym mieszkały, zaczęło przyciągać turystów. Mała miejscina, położona w samym sercu Bieszczad, o której jeszcze kilka lat temu nie słyszał żaden turysta, ale to się zmieniło. Kto cenił spokój i ciszę, chętnie przyjeżdżał do Złotkowa.

Mama i babcia kochały swoją pracę. Wstawały wraz ze wschodem słońca, by upiec ciasta, słodkie maślane bułeczki i drożdżówki do swojej kawiarenki. Miśka bardzo często im pomagała. Przerzucała stare, poplamione i pożółkłe kartki w zeszyte babci i zachwycała się recepturą. Babcia powtarzała, że aby ciasto było dobre, trzeba włożyć w nie serce. Bo ciasto „czuje”, czy osoba, która je przyrządza, wkłada w swoją pracę serce. Bez tego ani rusz. Babcia kochała wyrabiać drożdżowe ciasta, natomiast specjalnością Ilony były właśnie cynamonowe serca, które rozplływały się w ustach.

Obie miały talent do pieczenia, tego Miśka była pewna. Ona tego talentu nie posiadała. Lubiła malować, wycinać, szyć, ale na pewno nie piec. Starła się pomóc w kawiarence w inny sposób. Przede wszystkim zajęła się wystrojem wnętrza. Michalina miała wycucie smaku. Wszystkie ozdoby w „Cynamonowych Sercach” były ręcznie robione. Na parapetach poustawiała świeczniki, które zrobiła ze starych butelek i słoików. Na okrągłych drewnianych stolikach stały wazoniki, a w nich tulipany, które Miśka sama uszyła z kolorowych tkanin. Ściany pomalowały w przygaszone kolory ziemi, które nie męczyły wzroku, a tworzyły przytulny klimat. Zawisły na nich gustowne obrazki w tonacji beżowej, pomarańczowej, khaki i lawendy. Po prawej od wejścia ustawiły komodę, którą kupiły za bezcen w sklepie ze starociami. Miśka ustawiła na nim lampę z beżowo-czekoladowym abażurem i mnóstwo świeczuszek o zapachu wanilii.

Kiedy kawiarnia ruszyła pełną parą, dziewczyna szorowała miski, myła podłogę, niekiedy obsługiwała gości. Ale najbardziej lubiła podpatrywać babcię i mamę przy wyrabianiu i dekorowaniu ciast i ciasteczek.

— Może sama coś upieczesz? — zachęcała Miśkę babcia.

— Wiesz, że wyjdzie mi zakalec.

— Z takim nastawieniem na pewno — dorzucała swoje trzy grosze mama.

— Wolę jeść niż piec — odburkiwała Miśka.

— A dupsko rośnie!

We trzy ryknęły śmiechem.

Podczas tych wspólnych chwil, kiedy wyrabiały ciasto, piekły i lukrowały ciasteczka, raczyły się opowieściami. Często wspominały też dziadka.

„Przez te kilkadziesiąt lat przeżyliśmy swoje. — Babcia Zosia uśmiechała się pod nosem na tamte wspomnienia. — Narodziny dwójki dzieci, strata ciąży, kłótnie. W naszym małżeństwie był dobry, radosny czas i czas, kiedy miałam ochotę potrząsnąć dziadkiem albo spakować manatki i od niego odejść. Ale

pokonywaliśmy każdy kryzys. Było dużo śmiechu i miłości. A także momentów, kiedy brakowało pieniędzy. Narodziny i śmierć. Coś zyskiwaliśmy, coś innego traciliśmy. Nauczyłam dziadka jeść placki ziemniaczane na słono, chociaż on przed ślubem lubił tylko z cukrem. On mi pokazał swoją wiarę. Co ciekawe, nigdy nie wierzyłam w Boga. Byłam racjonalistką. Twój dziadek... — Babcia zwróciła się do wnuczki — ...nie był moherem, jak wy to teraz nazywacie. Nie leżał krzyżem w kościele, ale miał swoje życie duchowe. Po jego śmierci uwierzyłam w Boga. Dziwne, prawda? Zazwyczaj w takich chwilach ludzie wkurzają się na Boga, a ja zaczęłam z nim rozmawiać”.

W „Cynamonowych Sercach” pojawiali się stali bywalcy, którzy nie wyobrażali sobie, by przed pracą czy po niej tutaj nie wstąpić. A także turyści przyjeżdżający w Bieszczady, by wypocząć.

Środowego ranka pani Budkiewicz pojawiła się w kawiarni jako pierwsza. Ilona podeszła do kasy. Zawsze obsługiwała tę staruszkę. Zawsze uśmiechała się do niej szeroko. Pani Budkiewicz wydawała się Miśce najstarszą kobietą, jaką w życiu widziała. Twarz miała pomarszczoną niczym rodzynka. W ogóle cała była pomarszczona, a na jej dłoniach widniały brązowe plamy. Za to jej oczy były błękitne, pełne życia. Niepasujące do starczego ciała. Babcia i mama traktowały panią Budkiewicz z niemal nabożnym szacunkiem, cierpliwie słuchając wielokrotnie powtarzanych przez nią, tych samych historii. Mama powiedziała kiedyś Miśce, że pani Budkiewicz jest bardzo samotna. „Obyś nie zaznała nigdy takiej samotności” — dodała.

Tego dnia pani Budkiewicz poprosiła o jedną drożdżówkę. Mama namawiała ją na inne wypieki, ale tamta odmawiała.

„Na koszt firmy” — powiedziała mama. Pani Budkiewicz obdarowała Ilonę najcieplejszym uśmiechem, jaki tamtego poranka widziała Miśka.

„Jest pani takim dobrym człowiekiem... Takim dobrym” — zwróciła się do mamy Budkiewiczowa.

I wtedy po raz pierwszy Miśka pomyślała, że warto być dobrym człowiekiem, choćby dla takiego uśmiechu.

Kiedyś w „Cynamonowych Sercach” pojawił się pewien turysta. Usiadł przy stoliku, zamówił czarną kawę. Nawet jej nie tknął. Patrzył w okno, a po jego policzkach płynęły łzy. Ilona podeszła do niego i bez słowa usiadła naprzeciwko. Opuszkami palców dotknęła jego dłoni. Milczeli. Po chwili ten człowiek spojrział na mamę i bezgłośnie wyszeptał: „Dziękuję”.

Ponownie zapadło milczenie. Mężczyzna wypił w końcu kawę.

— Zaproponowałabym panu coś słodkiego — odezwała się kobieta.

— Dlaczego?

— Bo życie czasami bywa cholernie gorzkie. Na osłodę.

Uśmiechnął się do Ilony.

— Wie pani, zawałem sprawę.

— Zdarza się. — Mama nikogo nie osądzała. Daleko jej było do wydawania sądów.

— Kiedy byłem młody... Dziś mam sześćdziesiąt cztery lata. Aż nie mogę uwierzyć, że ten czas tak szybko mija. Kiedy byłem młody... — powtórzył. — Straszny był ze mnie babiarz. Miałem piękną, kochającą żonę, dwie córki. I one mi nie wystarczały do szczęścia. Oglądałem się za innymi spódniczkami. Zdradzałem żonę. A ona mi wybaczała. Tylko że któregoś razu, kiedy zadurzyłem się w dziewczynie niewiele starszej od mojej córki, żona odeszła na zawsze. Wyjechała do brata, do Kanady, i zabrała ze sobą dziewczynki. Wie pani... — Sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął portfel. Otworzył go. W środku znajdowała się fotografia trójki dzieci. — To moje wnuki.

— Śliczne dzieciaki.

— Nigdy ich nie spotkałem. Mam tylko to zdjęcie.

— Przykro mi. — Ilona z czułością pogłaskała dłoń mężczyzny.

— Mi też. Jestem bardzo samotnym człowiekiem, na własne życzenie...

Bardzo samotnym... Da mi pani to ciastko?

Ilona przyniosła paterę ze słodkościami.

— Jedno. Prosiłem o jedno.

— Tyle smutku trzeba osłodzić kilkoma.

Uśmiechnęli się do siebie.

Samotny turysta przychodził jeszcze nie raz do „Cynamonowych Serc”. Nawet zaczął się uśmiechać.

To był jeden z tych dni, kiedy Miškę dopadało zmęczenie. Wstała wcześniej rano, by pomóc mamie i babci w „Cynamonowych Sercach”, potem poszła do szkoły, a po lekcjach znów pobiegła do kawiarni. Usiadła na ławce przed domem dopiero po dwudziestej. Rozmasowywała obolałe łydki. Nie miała siły, by ruszyć się z miejsca. Spojrzała na wiśnię, na której z grubej gałęzi zwisała huśtawka. To na tej huśtawce tata huśtał ją i mamę.

— Tato — westchnęła dziewczyna.

Odchodził od nich, po czym zjawiał się niespodziewanie. Pierwszy raz zniknął z ich życia, kiedy Miška miała osiem lat. Pojawił się dopiero na jej dziesiąte urodziny, potem znów wyjechał za granicę. Wrócił półtora roku temu. Znów wyjechał. Wrócił po kilku miesiącach. Mama z Mišką przyjęły go ponownie. Nie to, że mu wierzyły, ale chciały, by przy nich był. Przez chwilę tworzyli szczęśliwą rodzinę. Tata nawet planował wynajmować pokoje dla turystów.

„Ilonka — mówił do żony. — Mamy taki duży dom. Góry przyciągają

turystów. Coraz więcej ich w Złotkowie”.

Dziadek zapisał rodzicom w testamencie dom. Babcia zamieszkała w domku gościnnym, który stał obok ich „dużego domu”. Tak nazywała go Miśka. Bo faktycznie dom, który wybudował dziadek, był duży w porównaniu z domkiem gościnnym, w którym był tylko jeden pokój, mała kuchnia i łazienka. Nieraz Ilona namawiała mamę, żeby przeniosła się do „dużego domu”, bo kto to widział, aby babcia mieszkała w małym domku, kiedy „duży dom” może spokojnie pomieścić ich wszystkich.

„Ja tam wolę mój mały domek. Każdy ma swoją przestrzeń, a mi tu dobrze” — upierała się babcia.

„Przerobię poddasze” — mówił podekscytowany tata.

„Zróbmy to!” — dopingowała tatę mama. — „Mamy całe poddasze do zagospodarowania”.

I rzeczywiście, tata na poddaszu urządził trzy pokoje, wykończył łazienkę, położył drewniane podłogi. Wystarczyło tylko pomalować ściany, kupić meble i dodatki, zamieścić ogłoszenie w internecie, ale wtedy okazało się, że Ilona jest w ciąży, a tata jak zwykle podkulił ogon i zniknął. Oczywiście pisał do nich listy i przysyłał pieniądze. Wyjechał do Szwecji, aby — jak pisał — „zarobić pieniądze na urządzenie pokoi”. Ilona z Miśką wiedziały jednak, że prawda jest inna. Tata był wolnym ptakiem, którego przerażały zobowiązania.

A potem odeszła też mama.

Dowiedziała się, że ma raka, na początku ciąży. Po porodzie rozpoczęła chemioterapię. A potem prawie cały czas była w szpitalu. Zmarła pół roku później.

„Nie było mnie przy niej” — pomyślała z goryczą Miśka. Kiedy Ilona odchodziła z tego świata, córki przy niej nie było. Bała się. Dlatego nie poszła wtedy do szpitala. Teraz oczywiście tego żałowała, ale było za późno. Ze wstydem zdała sobie sprawę, że przez ostatnie dni przed śmiercią mamy oddaliła się od niej. Można było za to obwiniać tylko nowotwór. Kiedy mama zachorowała, Michalina musiała zapomnieć o całym swoim życiu i o młodszych przyjemnościach: dyskotekach, plotkowaniu z koleżankami, pierwszych miłościach. Jej życie toczyło się wokół choroby najukochańszej mamy.

Miśka nie mogła należycie przeżyć żałoby, bo była zajęta szkołą, braciszkiem, domem, no i pomagała babci w kawiarni, bo przecież z czegoś musieli żyć. Babcia zajmowała się Bartusiem, kiedy ona była w szkole. Po zajęciach dziewczyna biegła prosto do kawiarni. Bartuś leżał w kojcu, który umieściły na zapleczu. Co jakiś czas do niego zaglądały. Był grzecznym dzieckiem, ale dla tak młodej dziewczyny, jaką była wtedy Miśka, opieka nad bratem okazała się wymagająca.

Miśka nie raz chciała od kogoś usłyszeć, że wszystko będzie dobrze, ale wiedziała, że dobrze nie będzie. Przynajmniej wtedy. Miała osiemnaście lat i została z dzieckiem. Tata pojawił się na pogrzebie mamy. Rozpaczał, pocieszał Miškę i obiecał jej, że będzie dla nich dobrym ojcem. Był przez tydzień, a potem ponownie wyjechał za granicę. Przesyłał im listy pełne gorących zapewnień, jak to bardzo ich kocha. Co miesiąc pieniądze, czasami paczki. Michalina doceniała tę pomoc, ale bardziej od pieniędzy i paczek wolałaby poczuć obecność ojca. Po prostu chciałyby, by przy nich był.

Była też babcia, która ofiarowała swą pomoc, ale Miśka wiedziała, że to na nią spadł ciężar wychowania Bartusia. Poza tym musiała pogodzić się z faktem, że już zawsze będzie jej czegoś brakowało. Śmiechu mamy, jej komentarzy o tym, żeby córka więcej słuchała, a mniej mówiła. Żeby pamiętała, by zimą założyć czapkę, i żeby zjadła śniadanie, bo bez śniadania ani rusz.

Dopiero kilka miesięcy po pogrzebie Miśka zdecydowała się zmienić maminią pościel. Często przychodziła do jej pokoju i wtulała się w jej poduszkę, która pachniała nie tyle lekami, ile szamponem rumiankowym. To był zapach mamy. Leżała tak, mocno ściskając poduszkę, i wyobrażała sobie, że mama z czułością głaska ją po plecach. A potem wstawiała i chodziła po domu. Wszędzie natykała się na jakąś część ukochanej mamy.. Zdjęcie przytwierdzone magnesem do lodówki. Kartka z listą zakupów. Jej buty, które stały w przedpokoju, jakby miała zaraz wyłonić się z salonu i pójść na spacer.

Po latach Michalina tak powiedziała do babci:

— Wiesz, czego najbardziej mi wtedy brakowało? W te kilka miesięcy po śmierci mamy... Jej uśmiechu, dotyku i zapachu. Tych trzech składowych, które tworzyły wektor szczęścia.

Kiedy Miśka zajmowała się Bartusiem, zawsze zastanawiała się nad tym, jak by zrobiła to mama. Na pewno lepiej, czasem inaczej...

Ile razy myślała: „Gdyby mama tu była, toby mnie przytuliła, dodała otuchy czy nawet zganiła...”. Ale mamy już nie było. I kiedy Miśka się rozklejała, spoglądała z czułością na malutkie dziecko, patrzące na nią z ufnością, które w jej ramionach chciało znaleźć ukojenie. Nie mogła się poddać.

Bartuś... Był taki malutki i piękny. Dla niej był całym światem. Pocałowała go w czubek malutkiej główki. Pachniał mlekiem i talkiem. Wzruszyła się.

— Obiecuję być przy tobie, kiedy będziesz mnie potrzebować, przyklejać plaster na zdarte kolano, masować ci plecki, kiedy będziesz chory. Przytulać i kołysać, kiedy nie będziesz mógł zasnąć. Śpiewać kołysanki. Nauczę cię, jak być dobrym człowiekiem. Obiecuję.

Bartuś nie będzie pamiętał mamy. Będzie czuł smutek i zagubienie, a ona będzie musiała zrobić wszystko, by dobrze go wychować. Ale czy podoła? Sama była jeszcze dzieckiem. Dziewczyną na progu dorosłego życia.

Miśka starała się zastąpić Bartusiowi mamę, ale wiedziała, że tak naprawdę nigdy jej się to nie uda. Każdego ranka stawała o świcie. Bartuś budził się wtedy około piątej na mleko. Dziewczyna sporządzała mieszankę i podawała malcowi. Kiedy skończył pić, układała chłopca na ramieniu, delikatnie poklepywała go po plecach, czekając, aż mu się odbije. Kładła braciszka na przewijak i zmieniała mu pieluszkę. A potem nuciła mu kołysankę, dopóki nie zasnął.

Niekiedy kładła się jeszcze na chwilę. Innym razem spoglądała z czułością na chłopca. Był taki podobny do mamy. Miśka wtedy płakała. Ciemne pukle, zadziorne kędziorki, jak u taty. Pełne usteczka i zadarty nosik przypominały natomiast mamine usta i oczy.

„Tylko to mi po niej zostało” — pomyślała dziewczyna. „Tylko to...” Poczula przypływ miłości, a zaraz potem potężną falę rozpacz.

„Gdzie jesteś mamo? Gdzie?”

Przed śmiercią mamy Miśka była porywczą, radosną dziewczyną. Po śmierci mamy dojrzała. Była bardziej ostrożna. Już nie jeździła na rowerze bez trzymanki, nie próbowała ekstremalnych sportów. Gdyby jej się coś stało, to co wtedy z jej małym braciszkiem? Kiedyś działała, a potem myślała. A czasami na myślenie było już stanowczo za późno. Teraz dowiedziała się, jak to jest, kiedy człowiek boi się o drugiego człowieka. A ona o Bartusia bała się bardzo. Tak bardzo, że czasami miała wrażenie, iż serce pęka jej na pół.

Którejś nocy Bartuś budził się co kilkanaście minut. Miśka brała go na ręce, kołysała, przytulała do piersi. Chłopiec usypiał na kilka chwil, a potem otwierał oczka i zanosił się płaczem. O piątej rano padała z nóg. Postanowiła, że nie pójdzie do szkoły. Bartek spał i ona też chciała się zdrzemnąć. Położyła się do łóżka. Ledwo usnęła, obudził ją szloch dziecka. Wstała z łóżka. Opadała z sił. Podeszła do łóżeczka, wzięła chłopca na ręce. Malec był rozpalony i nie przestawał płakać. Miśka też wybuchnęła rozpaczliwym szlochem. Bartuś płakał jeszcze głośniejsze. A jego krzyki odbijały się echem od ścian w krótkich, urywanych seriach.

Miśka podeszła do szafki, w której trzymała leki. Podała małemu paracetamol. Kiedy gorączka nie spadła, napuściła do wanny letniej wody i zaczęła obmywać malca. Po kilkunastu minutach podziałało. Chłopiec wykończony płaczem usnął, a Miśka zadzwoniła do przychodni. Po wizycie u lekarza okazało się, że Bartuś złapał wirusa, z którego powinien wyjść w przeciągu kilku dni. I rzeczywiście tak było, ale przez te trzy dni Miśka nie spuszczała z brata oka. Tak bardzo się o niego bała. Nawet do szkoły nie poszła.

To był słoneczny dzień. Bartek skończył dwa latka. Miśka posadziła go w

wózku i wyszła z nim na spacer. Po kilku minutach beztróskiego spacerowania chłopczyka zaczęły uwierać pasy. Wyginał się, jakby działa się mu jakaś krzywda. „To ten wiek” — pomyślała Miśka. „Dwulatek chce być niezależny i odkrywać nowe rzeczy”. Wyczytała to w mądrych poradnikach. Odpięła Bartusia z pasów i wyjęła z wózka. Początkowo wszystko szło dobrze. Chłopiec tupał sobie na chodniku koło niej, dopóki nie zechciał wejść na ulicę. Im usilniej Miśka próbowała go przekonać, że ma spacerować po chodniku, tym on bardziej chciał iść po ulicy. Zaczął jej uciekać. Miśka puściła wózek, który stoczył się na jezdnię. Zniecierpliwieni kierowcy zaczęli trąbić. Któryś popukał się w głowę. Miśka złapała Bartusia na ręce wleciała na ulicę po wózek. Na szczęście nikt jej nie potrącił. Malec za to darł się w niebogłosy, ludzie na nią oglądali. Wróciła do domu spocona, rozczochrana i wykończona. Tyle dobrego, że brat zasnął.

Miśka przebrała się w dres. Dopadło ją ogromne zmęczenie.

Jak one to robią? Inne mamy. Te z blogów i te z fejsa. Mamy ze zdjęć, z ulotek i te, które siedzą na kanapach w telewizji. Zachwycają fryzurą, makijażem, butami dobranymi do sukienki. Takie zadbane, radosne, z błyskiem w oku. I tyle im się chce. A ona? Nie zdobyłaby z pewnością tytułu matki roku. Czasami nie chciało jej się czytać kolejnej, ani jeździć resorakami po domu ani pisać z zachwytem nad bohomazami, które jej braciszek namalował. Na spacer wolą założyć dres zamiast kiecki, a włosy związać nad karkiem w luźny kucyk. Czasami zamiast piezzonego mięska i ziemniaczków na stół wjeżdżały niezdrowe parówki. Bo jej się nie chciało, bo się nie ogarnęła, bo to, bo tamto. Bo rura pękła i woda zalała pół mieszkania. Bo usiadła z kubkiem kawy na sofie i nie chciało jej się ruszyć. Ale były też dni, jak ostatnia niedziela, kiedy większość czasu spędzała z Bartkiem na świeżym powietrzu. W parku, na placu zabaw, i nawet jakiś zamek zwiedzili i lody zjedli. I nawet obiad machnęła, taki z dwóch dań. I kochała szalenie tego swojego szkraba... Tylko czasami nie wszystko było zrobione tak, jakby tego chciała.

Babcia przysłała do nich po zamknięciu kawiarni. Przyniosła świeże bułeczki. Zajął się Bartusiem, zrobiła mu kąpiel i pobawiła się z nim, a następnie przeczytała mu bajkę i położyła do łóżka.

Usiadła koło wnuczki na kanapie. Obie wyciągnęły nogi i westchnęły.

— Jak jest? — zapytała wnuczkę.

— Czasami mam dość.

— Nie dziwię się.

— Nie chce mi się klocuszków układać i chodzić na kolanach, udając krówkę... I miauczeć też mi się czasami nie chce. Bo wiem, że muszę jeszcze obiad ugotować, wstawić pranie, uprasować, przygotować się do matury.

— Wiesz co, kiedy byłam młodą mamą, to też mi się nie chciało. W ogóle kiedyś były inne czasy. Mamy nie bawiły się tak ze swoimi dziećmi, jak robią to

dzisiaj. Wydaje mi się, że dzisiaj za bardzo naszym dzieciom „kwokujemy”, a one i tak sobie poradzą.

— A ja?

— Ty radzisz sobie lepiej niż niejedna biologiczna mama. Wymiatasz, dziewczyno.

— Fajna ze mnie siostra-mama?

— No ba, dla Bartusia najfajniejsza. I wiesz... czasami możesz sobie odpuścić. Pranie, sprzątanie, nawet spacer. Świat się nie zawali, a jego nie unieszczęśliwisz. Bartek jest radosnym, pełnym życia dzieciakiem. Ma szczęście, że ma ciebie. Jesteś świetną opiekunką. A razem tworzycie odlotowy team.

— Mówisz, jakbyś coś wciągnęła.

Wybuchnęły śmiechem.

— Dzisiaj tylko dwa pączki.

Czas uciekał. Bartuś rósł jak na drożdżach. Miśka ani się obejrzała, a chodził już do pierwszej klasy. Kochała ten czas, kiedy zadawał sto pytań na godzinę. Był taki ciekawy świata.

„Dlaczego Jezus, jak umarł, poszedł do nieba? Jak może mieszkać w chmurkach, kiedy chmurki są zbudowane z pary wodnej i kryształków lodu? Czy widziałas kogoś, kto by siedział na parze wodnej?”

Albo: „Co się dzieje z kupą, jak jej nie możesz zrobić? Czy dlatego twardnieje?”. I jeszcze: „Ile rysi żyje w Polsce?” (dostał od babci DVD o zwierzętach, które są na wyginięciu), „Dlaczego nie wiesz? Jak możesz nie wiedzieć, ile rysi żyje w Polsce?”.

Miśka przeżywała wiele cudnych chwil, ale miała też kilka kryzysów. Pamiętała dokładnie jedno zdarzenie. Ojciec nie przesłał pieniędzy. Może tamtego miesiąca zapomniał? Ponoć zdarza się nawet najlepszym. Babcia miała przestój w kawiarni i też ciułała grosz do grosza. Bartuś przyszedł ze szkoły i oznajmił, że potrzebuje sto złotych, klasa wybierała się na jednodniową wycieczkę. Dziewczyna miała w portfelu akurat stówkę, za którą zamierzała zrobić zakupy. „Wszyscy z klasy jadą. Ale ja nie muszę” — oznajmił chłopiec. Miśka wiedziała, że gdyby nie pojechał, byłoby mu strasznie przykro. Był przecież dzieckiem. Wyjęła z portfela banknot i wręczyła chłopcu. „Proszę”. „Na pewno starczy nam na rachunki?” — zapytał. Był dojrzały jak na swój wiek. „Już opłaciłam” — Miśka uśmiechnęła się do brata. Kiedy Bartek wyszedł z pokoju, oparła się o ścianę, z której odchodziła wzorzysta tapeta. Miała ochotę walić w nią głową. Pod powiekami poczuła piekące łzy. I czyjeś ciepłe paluszki na swojej ręce.

„Misia, Misiunia. Wszystko w porządku?”

Miśka powstrzymała ostatkiem sił łzy i odwróciła się w stronę brata.

Ukucnęła przed nim.

„Tapeta się odkleja”.

„To nie jest powód do smutku”.

„Nie jest”.

Bartek uśmiechał się do niej promiennie. Poruszył ją i przywrócił nadzieję. Jego rączki opłotły szyję Miśki, a ciepłe usteczka pocałowały w policzek.

Miśka dużo rozmyślała o tacie.

— Dlaczego wyjechał? — pytała babcię Zosię.

— Mówił, że się dusi. Małe miasteczka go przytłaczają. Ciągnęło go do wielkich miast, metropolii. Chciał was zabrać ze sobą. Ale Ilonka nie chciała. Mówiła, że w Złotkowie jest jej dom i ona nie ma zamiaru się stąd ruszać.

Miśka też nie rozumiała, dlaczego tato opuścił Złotkowo, maleńkie miasteczko w Bieszczadach. W Złotkowie mieszkali przecież dobrzy ludzie, którzy może czasami za dużo plotkowali, ale tak to już jest w małych miasteczkach. Przy głównej ulicy mieściły się babcina kawiarnia, poczta, sklep wielobranżowy i ciucholand. W bocznej uliczce piekarnia i sklep „Wszystko za 5 złotych”, a także przychodnia lekarska, a na wzgórzu — szkoła podstawowa. Czyli wszystko, co człowiekowi potrzeba, było pod nosem. Nie potrzebował do szczęścia wielkich miast.

Rozdział 1

Od śmierci Ilony minęło osiem lat. Bartuś miał już dziewięć lat, Miśka dwadzieścia sześć. Dziewczyna niekiedy czuła się bardzo stara, chociaż przecież stara nie była. Za to doświadczona przez los — owszem.

Po maturze chciała iść na studia, ale jakoś brakło czasu. Pomagała babci prowadzić kawiarenkę, z której nie czerpały już takich zysków jak kiedyś. Turystyczne górskie miasteczko rozbudowało się, a dookoła jak grzyby po deszczu pootwierały się sieciówki, costly i starbucksy. Oczywiście do „Cynamonowych Serc” nadal zaglądali miejscowi i turyści, ale było ich mniej niż jeszcze trzy, cztery lata temu.

Życie drożało, a pieniądze uciekały. Miśka nosiła się z zamiarem wynajmu pokoi dla turystów. Pomysł taty był naprawdę dobry.

— No nie wiem — powiedziała babcia, kiedy Miśka oznajmiła jej, co zamierza zrobić.

— Nadal będę ci pomagać w kawiarni. A wynajem przyniósłby dodatkowy dochód. Poza tym mogłybyśmy raczyć naszych gości twoimi wypiekami. I chciałabym jeszcze... — urwała.

— Co byś chciała? — Zosia podniosła wzrok na wnuczkę.

— Robić coś, o czym od dawna marzę. Szyć i sprzedawać w naszej kawiarence rzeczy handmade. I lepić moje anioły. Wiesz, jak kocham anioły.

— Wiem. Masz artystyczną duszę. Tylko... Misia, tak wszystko naraz? Nie za dużo tych srok za ogon chcesz ciągnąć?

— A czemu nie? Bartek jest już dużym chłopakiem. A ja chciałabym w końcu iść na studia, może zaocznie? To wszystko kosztuje. Jego ubrania, wycieczki szkolne, moja przyszła nauka. Tato wyremontował poddasze, trzeba tylko kupić łóżka, odświeżyć ściany.

— Mam trochę oszczędności na czarną godzinę — powiedziała babcia.

— Ja też bym coś pokombinowała... — Miśka potarła skroń. — Dla chcącego nic trudnego.

— Właściwie czemu nie?

— No właśnie, czemu nie? Dzisiaj w nocy ulepię anioły. Gdybym tak każdego anioła sprzedała za jakieś 35 złotych, a ulepiłabym ich z dwieście... Zawsze coś.

Miśka potarła dłonie. Była pełna entuzjazmu i wiary, że jej się uda.

Siedziała całą noc, pracując nad aniołami. Zrobiła ich sto pięćdziesiąt. Postanowiła, że następnego dnia pojedzie do Sanoka i pozagłąda do sklepików. Może ktoś zechce od niej kupić kilka figurek. Jak postanowiła, tak zrobiła.

— Anioły — westchnął właściciel sklepu z pamiątkami. — Kogo teraz obchodzą anioły?

— Mnie — powiedziała Miśka z przekonaniem.

— No sam nie wiem. — Potarł brodę.

— Idą święta. Taki anioł to doskonały prezent.

Kierownik zmrużył oczy. Wziął do ręki jednego anioła i zaczął go oglądać ze wszystkich stron.

— Wie pani, nie chcę pani urazić, ale teraz doskonałym prezentem jest laptop, suszarka do włosów, perfumy. A anioły... Kto by to kupił?

— Myślę, że znalazłby pan nabywców.

— Nie. Dziękuję.

Miśka chodziła od sklepiku do sklepiku. Ręce bolały ją od noszenia skrzyni z figurkami. Usiadła na ławce. Było zimno, a ona miała wszystkiego dość. Wreszcie zrezygnowana wróciła do domu, nie sprzedawszy ani jednego anioła.

Kiedy leżała w łóżku, przypomniła sobie swoją poprzednią pracę. Miśka wiedziała, że musi pracować. Bartuś miał wtedy cztery lata. Babcia Zosia zachęcała ją, by pracowała w kawiarni, ale Miśka wiedziała, że „Cynamonowe Serca” nie przynoszą już takiego utargu jak kilka lat temu. Poza tym obie nie mogły pracować w tym samym czasie, ktoś musiał zajmować się chłopcem. Co prawda brat chodził już do przedszkola, ale tylko do dwunastej. Miśce najbardziej pasowała wtedy praca na nocie lub późnymi wieczorami. Złotkowo przyciągało coraz więcej turystów. Na obrzeżu miasteczka powstał pub. Dziewczyna postanowiła, że pójdzie tam i popyta o pracę. Nie ukrywała, że kiedyś marzyły jej się studia, ale wtedy ani nie miała czasu, by studiować, ani pieniędzy, by studia opłacić. Kiedy stanęła przed budynkiem, który z zewnątrz nie zachęcał do wejścia, zawahała się. Odetchnęła głęboko. „Raz kozie śmierć” — pomyślała. Pchnęła drzwi i weszła. Od babci słyszała, że ten pub kupili dwaj bracia z Warszawy.

O tej porze nie było klientów.

— Słucham? — Zza kontuaru wyłonił się mężczyzna po czterdziestce. Niski, przysadzisty, z zabawną długą brodą, na której były zaplecione warkoczyki.

— Dzień dobry. Ja w sprawie pracy — odezwała się Miśka.

— Mhm. — Mężczyzna pokiwał głową. — Chodź za mną. — Zeszli po schodach do piwnicy. Miśka poczuła, jak serce bije jej dużo szybciej. Miała nadzieję, że ten facet nie robi jej krzywdy. Tyle się ostatnio słyszało o gwałtach.

Na dole, w piwnicy, znajdowała się duża sala. Po prawej stronie była scena, a dookoła niej stały stoliki. W głębi pomieszczenia znajdowały się łóżka wyściełane

czerwonym materiałem, które zapewniały klientom intymność.

— Tutaj nocami będzie tętniło życie. Mamy zamiar zapraszać zespoły, żeby grały na żywo. Siadaj. — Mężczyzna odsunął jej krzesło, sam usiadł naprzeciwko.

— Pracowałaś kiedyś jako kelnerka?

— Tak jakby.

— Tak czy jakby?

— Tak. W kawiarni. U babci. To taka kameralna kawiarenka. „Cynamonowe Serca”. Kojarzy pan?

— Nie, nie kojarzy. Ale mniejsza o to. — Machnął ręką. — Praca kelnerki w pubie, a raczej klubie nocnym, to nie to samo.

— Zdaję sobie sprawę. — Miśka się wyprostowała. — Ale ja będę ciężko pracować.

— Dlaczego chciałabyś tutaj pracować?

— Szczerze?

Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem.

— Szczerze.

— Nie będę kłamać, że to praca moich marzeń, ale potrzebuję kasy.

— Jak każdy.

— Jak każdy.

— To praca na noc.

— Mi pasuje.

— Cztery nocki pracujesz, trzy masz wolne.

— Dla mnie bomba. — Miśka wiedziała, że jeśli chce dostać tę pracę, musi być pewna siebie.

— Zmiana trwa od dwudziestej drugiej do piątej rano.

Dziewczyna skinęła głową. Pomyślała o babci, z którą mogłaby się wymieniać w opiece nad Bartkiem. Ona przychodziłby do domu, a babcia wychodziłaby do „Cynamonowych Serc”.

— Praca jest ciężka, kilka godzin na nogach, latanie od klienta do klienta. Czasami goście w takich miejscach bywają podpici, ale... zarobki są bardzo dobre. Napiwki też. Wszystkie napiwki są twoje. Prowadzę czysty interes, żadnej prostytucji, prochów, haraczy. Rozumiesz, o co chodzi?

Michalina szybko skinęła głową.

— Więc co ty na to?

— Wchodzę w to.

— Od kiedy możesz zacząć?

— Od poniedziałku?

— Jutro jest sobota. Co powiesz od jutra?

— Pewnie.

— Przyjdź wcześniej, podpiszemy umowę.

- Nawet pan nie wie, czy się sprawdzę.
- Podoba mi się twoja szczerłość i pewność siebie. Więc sędzę, że tak.

Następnego wieczoru Miśka poszła do klubu. Oczywiście wcześniej musiała wygrać batalię z babcią, która ostrzegała ją, że to nie jest odpowiednie miejsce pracy dla młodej kobiety.

- Poradzimy sobie — przekonywała Michalinę.
- Ledwo. Bartek rośnie jak na drożdżach, co i rusz potrzebuje nowych butów, nowych spodni, nowej kurteczki. Trzeba dom utrzymać, opał kupić. I ja chcę, babciu, studiować. Kiedyś dopnę swego i pójdę na studia. Zrozum mnie.
- Rozumiem, Misia, ale... — Zosia podeszła do wnuczki i dotknęła jej policzka. — Boję się o ciebie.
- Dajesz mi niemal wszystko, co zarobisz, a i tak nam nie starcza.
- Twój tata przesyła pieniądze.
- Sto, sto pięćdziesiąt euro... Babciu, daj spokój, jestem już dorosła. Jak coś mi nie będzie pasować, od razu stamtąd ucieknę.
- No dobrze... ale w razie czego dzwoń natychmiast.
- Przybędziesz z grupą antyterrorystyczną, by mnie ratować?
- A żebyś wiedziała.

*

Tamtego wieczoru Miśka była tak zdenerwowana, że czuła, jak jej się w żołądku przewraca. Przebrana w czarne obcisłe spodnie i czarną koszulkę zeszła na dół. Przywitała ją uśmiechnięta Basia, dziewczyna, którą Miśka знаła z widzenia. Chodziły razem do podstawówki.

- O, Misia, cześć.
- Cześć, Basia.
- I ty tutaj?
- Tak się złożyło.
- Zobaczymy, jak nam pójdzie.
- Damy radę.

Pierwsza noc była naprawdę ciężka. Miśka biegała od stolika do stolika, przynosząc klientom drinki i przekąski. Dwa razy pomyliła zamówienia, ale przeprosiła szerokim uśmiechem. Nogi wchodziły jej do tyłka, a po północy bardzo chciało jej się spać. Po skończonej zmianie była wykończona. Właściciel, Marek, ten przysadzisty mężczyzna, z którym rozmawiała poprzedniego dnia, poklepał ją po plecach.

- Byłaś dobra. Jeszcze musisz trochę popracować i być bardziej uważna,

ale wiedziałem, że się nadasz do tej roboty.

Pierwsze tygodnie były dla Miśki nie lada wyzwaniem, ale w końcu dziewczyna się przyzwyczaiła. Bartuś chodził na trzy godziny do przedszkola, a potem miał dwugodzinną drzemkę, więc Miśka w sumie spała około sześciu godzin. To jej wystarczało. Odsypiała, kiedy miała wolne.

Po miesiącu pracy otrzymała pierwszą wypłatę. Dwa tysiące złotych to dobra kasa jak na Złotkowo. Tysiąc złotych dodatkowo miała z napiwków. Uśmiechnęła się do siebie.

Był sobotni czerwcowy wieczór. Pub pękał w szwach, bo turyści zaczęli zjeżdżać do miasteczka. Kelnerki uwijały się jak w ukropie. Miśka pomyślała, że nie piła wody od kilku godzin. W ustach czuła suchość, a wargi miała spierzchnięte. Oblizwała je językiem.

— Hej, mała! — zawołał w jej stronę podchmielony, barczysty typ.

— Hej — odburknęła. Nie lubiła takich klientów, zresztą jak wszystkie kelnerki. — Co dla pana?

— Ty, naga na tacy! — zarechotał.

Miśka poczuła, jak ogarnia ją gniew.

— Czyli nic?

— Czyli powiedziałem, że ty. Głucha jesteś czy jaki chuj?

Miśka odwróciła się do niego plecami, by odejść, i w tej samej chwili poczuła klapsa. Bez namysłu obróciła się na pięcie i uderzyła kolesia w głowę pustą tacą.

— Ty mała, pierdolona szmato! — wrzasnął mężczyzna.

— Co jest? — Koło stolika natychmiast zjawił się Marek z ochroniarzem.

— Obląpiał mnie.

— Sama tego chciała, szmata jedna.

— Nieprawda! — Miśka trzęsła się ze złości.

— Grzesiek — Marek zwrócił się do ochroniarza — wyprowadź pana.

Miśka, zrób sobie przerwę i pozwól za mną.

— Kurwa! Nie ruszaj mnie! — Facet szarpał się, kiedy ochroniarz prowadził go na górę. — Już ja was wykończę. Ta speluna zostanie zamknięta!

Miśka odłożyła tacę i na drżących nogach poszła za Markiem.

Weszli do jego kantorka, który znajdował się za barem.

— Usiądź. — Marek wskazał jej drewniany taboret.

— Dzięki, postoję.

— Nie zrobił ci krzywdy? — zapytał z przejęciem.

— Oprócz tego, że jego łapska spoczęły na moim tyłku, to nie.

— Mogłaś wezwać Grzeska albo mnie, a nie okładać klienta tacą.

— Moja reakcja była szybsza niż myślenie.

— Wyprosiłem go, chociaż nie powinienem był tego robić.

— Nie powinienes? — Miśka otworzyła szerzej oczy.

— Nie. To burmistrz Niepołomic.

Niepołomice były miasteczkiem sąsiadującym ze Złotkowem.

— No i?

— Będę miał kłopoty.

— Dlaczego?

Marek roześmiał się, ale to był smutny śmiech.

— Miśka, Miśka... Życia nie znasz. Jeśli ludzie mają kasę i władzę, to im się wydaje, że wszystko mogą. Słyszałem, że ma powiązania z półświatkiem. Ale nie powinienem ci o tym mówić... — spochmurniał. Potarł dłonią warkoczyki na brodzie.

— Chyba nie naśle na ciebie żadnych zbirów?

— Nie wiem. — Wzruszył ramionami. — Ale...

— Co ale?

— Musisz odejść, Miśka.

— Jak to odejść?

— Przykro mi.

— Mnie jeszcze bardziej. Może pójdę na przymusowy urlop?

— Nie, Miśka... Ten facet nie da mi żyć, jeśli dalej będę cię zatrudniał.

Przykro mi...

Dwa tygodnie później w klubie wybuchł pożar. Plotki mówiły o podpaleniu. Kilka osób znalazło się w szpitalu w wyniku zaccadzenia.

„Dobrze, że już tam nie pracuję” — pomyślała Miśka. „Mama miała rację, wszystko dzieje się po coś”. Misia nie załamała się wtedy, dlatego postanowiła nie załamywać się i teraz. Nie podda się tak łatwo.

Ustawiła budzik na czwartą rano. Wstała, zaparzyła kawę. Kiedy popijała gorący napój, w głowie zaświtał jej pomysł. Do każdego anioła dołączy tabliczkę z napisem: „Anioł na szczęście”, „Anioł na dobry humor”, „Anioł na smuteczki”, „Anioł uśmiechu”, „Anioł pełen magii”. Od razu zabrała się do roboty. Pracowała tak szybko i sprawnie, że o siódmej trzydzieści miała już pięćdziesiąt tabliczek. O ósmej wyprawiła Bartka do szkoły, a sama chwyciła skrzynię z aniołami i ruszyła autobusem do Sanoka.

Kierownik sklepu z upominkami, którego odwiedziła wcześniej, wybałuszył oczy.

Miśka ustawiła skrzynię na ladzie.

— To znowu pani?

— Tak, ja. — Michalina uśmiechnęła się promiennie.

— Czego pani ode mnie oczekuje? Przecież już pani powiedziałem, że nie chcę aniołów.

— Udoskonaliłam je. Do każdego przypięłam tabliczkę z napisem. Teraz są jeszcze piękniejsze. Wierzę, że będą się sprzedawać.

— Ale ja nie mam takiej wiary jak pani.

Miśka chciała powiedzieć: „Człowieku małej wiary...”, ale się powstrzymała.

— To niedobrze. Proszę wziąć ode mnie chociaż dziesięć. Nie musi mi pan za nie płacić teraz. Jak się sprzedadzą, to odbiorę od pana pieniądze.

— No dobrze... — odparł kierownik niechętnie.

Miśka wyjęła ze skrzyni anioły, a sklepikarz ustawił je na dolnej półce.

— O, nie, nie, proszę pana. Tak to będziemy czekać do śmierci, żeby ktoś je kupił.

Podeszła do półki, zdjęła anioły i ustawiła je na wystawie.

— Wrócę jutro — zakomunikowała wesołym głosem.

— Do jutra to ja sprzedam może jednego...

Miśka puściła do niego oko.

— Moje anioły są piękne. Mają magiczną moc i przyciągają uwagę. Jutro odbiorę za nie pieniądze i doniosę nowe.

Sklepikarz uśmiechnął się do dziewczyny.

— Uparta jesteś.

— Po prostu walczę o siebie i chcę spełnić swoje marzenia. A żeby je spełnić, potrzebuję gotówki. A żeby mieć gotówkę, pan musi zrobić wszystko, by sprzedać moje anioły. Oprócz aniołów mogę też zrobić serca i gwiazdy na choinkę, co prawda Boże Narodzenie dopiero za osiem tygodni, ale wie pan, jak to jest. Ledwo Święto Zmarłych minie, a ludzi ogarnia świąteczny szal. Głupie czasy.

— Może i głupie, ale dla handlowców dobre.

— Dlatego też zamierzam handlować moimi aniołami, gwiazdami i innymi ozdobami. Umiem to robić. A, i jeszcze kartki świąteczne.

Kierownik się roześmiał.

— Nie wątpię.

Jakież było jego zdziwienie, kiedy jeszcze tego samego dnia sprzedał wszystkie anioły.

Gdy nazajutrz Miśka stanęła w progu sklepu, uśmiechnął się do niej.

— Niech mi pan tylko pokłonów nie składa. — Puściła do niego oko.

— Zauważyłaś, że na wystawie nie ma ani jednego twojego anioła?

— Zakładam, że sprzedał je pan, a nie schował pod ladę?

— Dobrze zakładasz.

Miśka aż klasnęła.

— Wiedziałam.

— Masz dobre podejście do życia, dziewczyno.

— Jeśli sama nie będę w siebie wierzyć, to nikt we mnie nie uwierzy.

— Co racja, to racja. To, co? Współpraca? — Sklepikarz wyciągnął do niej rękę.

— Współpraca! — Miśka uścisnęła mu dłoń.

— Mam sklepiki w kilku turystycznych miasteczkach w Bieszczadach, jest ich osiem. Spróbujemy je zaopatrzyć w twoje anioły i ozdoby choinkowe, ale musiałybyś mi je dostarczyć na „już”.

— Zrobi się na „już”.

— To spisujemy umowę.

Miśka z Bartkiem i babcią usiedli przed kominkiem, by opić Miśkowy sukces kubkiem kakao. Babcia zaczęła opowiadać historie z dzieciństwa. Rodzeństwo lubiło słuchać babcinych opowieści.

— A jaka była twoja mama? — zapytał Bartek babcię.

— Cudowna. Dzielna. Dostała od życia porządnego kopa, ale mimo to nigdy nie zwątpiła w miłość i drugiego człowieka. W rodzinę. Była trochę podobna do waszej mamy. I trochę do ciebie, Michasiu. Pochodziła z chłopskiej, wielodzietnej rodziny. Wyszła za męża, gdy miała dziewiętnaście lat. Po roku urodziła dwójkę dzieci, a po dziesięciu latach przyszedł na świat ja. Mama z tatusiem dużo pracowali w polu. Mieli spore gospodarstwo. Kiedyś wychodziło się w pole w maju i wracało na Wszystkich Świętych. Od wiosny do jesieni cały czas było coś do roboty, ziemniaki sadzić, żniwować, snopki wiązać. Jak moja mamusia wracała z pola, musiała pieluchy prać, gotować je, mnóstwo roboty z tym było. I obiad ugotować na następny dzień. Tatus bardzo jej pomagał. Nie tak jak inni mężczyźni w tamtym czasie. To nic, że sam pracował, ale dziećmi zawsze się zajął i mamusię przytulił. Och, tatuś był w mamie bardzo zakochany, mimo iż był bardzo przystojny i inne panie łypały na niego. Ale on był wpatrzony tylko w mamusię. Wszystko robili razem. Wstawali rano i modlili się. Potem tatuś na żarnach mielił zboże na zacierkę. Palił w piecu, nastawiał wodę do grzania. Mama doiła krowy, przygotowywała śniadanie. Po śniadaniu tatuś gotował ziemniaki prosiakom, starsze dzieciaki wypędzały krowy na pastwisko, a mamusia robiła masło na kolejne dni i wypiekała kilka bochenków chleba. Na niedzielę zawsze robiła ser. Kwaśne mleko w glinianym garnku stawiała na piec i powoli ogrzewała, aż mleko oddzieliło się od serwatki. Ogrzany ser wkładała do woreczka i ścisnęła w stołku serowym, aby odcisnęła się reszta serwatki. A latem wszyscy domownicy szli w pole do prac. — Babcia umilkła. Zamyśliła się. — Było upalne lato, mnóstwo pracy w polu. Dzieci wtedy też chodziły z rodzicami w pole. Te starsze pomagały przy żniwach czy wykopkach. Mama zostawiła mnie ze starszą siostrą na skraju pola, a sama poszła pomagać przy młócce. Wtedy wydarzyła się ta tragedia. Prawa ręka mamy została wciągnięta przez maszynę do słomy. Nie udało się uratować kończyny. „Trójka dzieci i kobieta bez ręki, to nie może się udać” — mówili

ludzie. Dzieciom trzeba było ugotować, wyszykować je do szkoły, najmłodszą, czyli mnie, przewinąć i obmyć. „Kaleka. Józio ma w domu kalekę” — gadali za maminy i tatowymi plecami. Moje rodzeństwo miało wtedy jedenaście i dziesięć lat, dzieci pomagały mamie, jak tylko umiały najlepiej, a i mama nauczyła się robić dużo rzeczy lewą ręką. Tata mógł od mamy odejść, a mimo to miałam wrażenie, że kocha ją jeszcze bardziej.

— Jak na filmach? — zapytał Bartek.

— Bardziej. Cesał jej włosy po kąpeli. Mama miała długie kręcone włosy do pasa. Całował ją z taką czułością, jakby dopiero co się poznali. Wciąż ją podziwiam za to, że mimo przeciwności losu tak świetnie dawała sobie radę. Była przy tym bardzo odcytana i mądra. Mimo że nie kończyła szkół. Jestem dumna, że miałam tak wspierać mamę. Ale nie tylko mamę. Także tatę. Rodziców, którzy pokazali mi, czym jest prawdziwa miłość.

Bartek ziewnął.

— No, już do łóżka. — Miśka zerknęła na zegarek.

— Ale mi się nie chce spać! — Chłopiec znów ziewnął.

— Akurat. Myj zęby i spać.

Bartek szczotkował zęby i rozmyślał o swoim gwiazdkowym prezencie. Buzia uśmiechała mu się od ucha do ucha. Od roku powtarzał Miśce, że chce dostać tablet. Niemal wszyscy z jego klasy mieli już tablety. Zapracował sobie na niego. Pomagał babci w kawiarni, sprzątał w domu. Nie marudził, kiedy na obiad były po raz kolejny naleśniki, a na śniadanie jak zwykle drożdżówki. Uczył się pilnie. Czasami tylko wpadła mu do głowy jakaś psota, ale był przecież normalnym chłopcem.

Skończył myć zęby, opłukał twarz, przebrał się w piżamę. Wskoczył do łóżka. W pokoju pojawiła się siostra, żeby ciasno opatulić go kołdrą i wycałować w oba policzki.

— Mamo. — Chłopiec czasami nazywał Miśkę mamą, mimo iż siostra wpajała mu, że woli, by zwracał się do niej po imieniu. Ale on chciał mieć mamę, a Miśka to rozumiała. Nie poznał ani mamy, ani taty. Ojca znał jedynie ze zdjęć. Nie widzieli go osiem i pół roku. — Nie musisz mnie otulać i całować jak małego chłopca. Mam już dziewięć lat.

Michalina uśmiechnęła się do brata.

— No tak, nie jesteś już małym chłopcem.

— Jestem mężczyzną.

— Mężczyzną — powtórzyła dumna Miśka. — Szkoda, że mama nie może cię teraz zobaczyć. — Poglądziła go po policzku.

— Jaka ona była? — Bartek wsparł się na łokciu.

— Dobra, ciepła, pełna empatii. Kochana.

— Taka jak ty?
— Chciałabym być jak ona. Wesoła, zawsze uśmiechnięta i taka mądra. Tęsknię za nią. Każdego dnia coraz bardziej. Wiesz, kiedyś nie zdawałam sobie sprawy, jakie mam szczęście. Byłam za młoda.
— Teraz też jesteś młoda.
— No jestem. A wtedy... — Miśka zamyśliła się.
— A tata?
— Tata też jest dobrym, wesołym człowiekiem. Bojaźliwym, ale dobrym.
— Skoro jest dobry, czemu nas opuścił?
— Kochał wolność. Tak mówiła mama. Lubił być panem swojego losu, bez zobowiązań, problemów. Czuć wiatr we włosach. Wiesz, Bartuś, niektórzy ludzie nie nadają się na rodziców. Są dobrymi ludźmi, ale nie rodzicami. I taki jest nasz tata. — Miśka poczuła ostre ukłucie w sercu. Starła się zrozumieć postępowanie ojca, ale bolało ją to, że przez dziewięć lat ani razu ich nie odwiedził. Nie podał nawet adresu zwrotnego, pod który mogłaby przesyłać korespondencję. Paczki przychodziły do nich niemal z całej Europy.
Musiał gdzieś pracować, bo wciąż przysyłał pieniądze. Niewiele ich było, ale zawsze coś. Poza tym Miśka nic o nim nie wiedziała.

Kiedy Miśka weszła do kominkowego pokoju, bo tak nazywali salon, babcia ziewnęła.

— Idę do siebie — oznajmiła.
— Możesz zostać u nas.
Zosia roześmiała się.
— Faktycznie, mam daleko. Dwa kroki.
— Myślę, że dwadzieścia dwa.
Teraz śmiały się obie.
— Zanim pójdziesz, chcę ci oznajmić, że musimy udekorować „Cynamonowe Serca”.
— Do świąt jeszcze kilka tygodni.
— Za tydzień, dwa.
— Tylko żebyś nie zamieniła kawiarenki w domek Świętego Mikołaja, jak rok temu.
— Czy coś ci się nie podobało w mojej dekoracji? — Miśka zaśmiała się.
— Girlandy bombek zwisały z żyrandoli i przy każdym otwarciu drzwi i podmuchu wiatru spadał z nich do talerzy gości srebrny pył.
— No i? — Miśka podparła się pod boki.
— Jedli dalej.
Parsknęły śmiechem.
— W tym roku planuję poustawiać na parapetach choineczki z filcu, które

uszyłam już latem. I nakleić na szyby płatki śniegu. Srebrne?

— A co z białymi jest nie tak?

— Białe były w zeszłym roku.

— No to właśnie mówię.

— Ale ja już wycięłam srebrne.

— Niech będą srebrne — zgodziła się Zosia.

— Zobaczysz, będzie pięknie.

— Zapewne.

Roześmiały się.

Rozdział 2

Współpraca ze sklepikami układała się Miśce bardzo dobrze. Co tydzień dostawała nowe zamówienia na anioły i ozdoby choinkowe. Oprócz tego wprowadziła w obieg serię ozdobnych opakowań na prezenty i kartek świątecznych, które sprzedawały się jak ciepłe bułeczki. Aż nadszedł dzień, kiedy wraz z babcią włożyły wszystkie oszczędności w remont poddasza, zakup pościeli, poduszek, ręczników, chodników, dywaników, koców. Dziewczyna знаła złotą zasadę handlu, że jeśli chcesz wyjąć, to najpierw musisz włożyć. Wiedziała też, że w tym roku Bartek nie dostanie wymarzonego prezentu. Bardzo ją to smuciło, ale miała nadzieję, że chłopiec to zrozumie.

Po wyliczeniu wstępnego kosztorysu Michalina złapała się za głowę.

— Babciu, to kupa szmalu.

— Obie trochę zaoszczędziłyśmy.

— Ale jak wszystko wydamy, nie zostanie nam nic.

— Będzie dobrze. Zobaczysz. Zwróci się.

— Obyś miała rację.

— Hej, to był twój pomysł. — Zosia założyła chustkę na głowę.

— Jezuuu, babciu — jęknęła Miśka.

— Co?

— Czemu wkładasz chustkę, jakbyś była jakąś starowinką?

— Wolę chustkę niż moherowy beret. No chodź już, chodź.

Wybrały się na targ, gdzie kupiły trzy nowe komplety pościeli, zasłony, talerze. I ręczniki.

— Kremowe?

— Nie za jasne? — zawahała się Zosia.

— To może szare?

— Szare będą wyglądały na brudne.

— A spójrz na te! — Miśka dotknęła puszystego błękitnego ręcznika.

— Bierzemy.

Kupiły też chodniki i dwa mniejsze dywaniki. Po powrocie do domu Miśka zamówiła łóżka i komody. Przez kolejny weekend uwijała się jak w ukropie. W godzinach popołudniowych pomagali jej wujek, kuzynka, babcia i Bartek.

Michalina spędziła całe godziny na podłodze, woskując bele drewna. Teraz wyglądały dużo lepiej. Wciąż były stare, ale dzięki grubej warstwie wosku wyglądały jak odrestaurowane. Nastka i babcia pomogły jej malować pokoje.

Zdjęły też chodniki na korytarzu, które były już nieco wytarte, i położyły puszyste dywaniki. Pokoi do wynajęcia było cztery. Każdy zyskał nazwę. „Morski” — bo jego ściany pomalowały na niebiesko i zielono. Na łóżku położyły narzutę we wzór szaroburych wzburzonych fal. W oknach zawisły śnieżnobiałe firanki i błękitne zasłonki. Na półeczce pojawił się model statku, dookoła którego Miśka rozłożyła muszelki, które kiedyś zebrały z mamą nad morzem. Pokój o wdzięcznej nazwie „Piwonia” Miśka lubiła najbardziej. Ściany były pomalowane na biało, ale Nastka namalowała na nich wzór kwiatów, które pięły się po ścianie od podłogi do sufitu. Piwonie były ulubionymi kwiatami mamy. Patchworkowa narzuta — w biało-różową kratkę — pokryła łóżko. Na parapecie postawiły miniaturową choinkę udekorowaną pastelowymi sercami.

Był jeszcze „Stylowy” — umeblowany antykami przytarganymi z babcinego strychu i odrestaurowanymi przez wujka Mirka, tatę Nastki. A ostatni pokój był „Kremowy”. Tak nazwał go Bartek. Na łóżku leżały jasne poduchy z długim włosiem; przy łóżku Miśka położyła puchaty dywanik. Zasłonki były wykonane z aksamitu i zdobione w krągłe białe pomponiki. Na komodzie Miśka ustawiła zapachowe świece i choinkę w doniczce, którą udekorowała w białe i kremowe gwiazdy. Naprawdę zrobiło się tam milusio.

— Teraz tylko musimy zgłosić działalność do urzędu, puścić ogłoszenie w sieci i czekać na gości.

— A jak nikt nie przyjedzie?

— Więcej wiary Miśka, więcej wiary. — Babcia Zosia poklepała ją po plecach.

Rozdział 3

Był deszczowy, chłodny dzień. Dwudziesty dziewiąty listopada. Artur Niemecki wyszedł z pracy po dziewiętnastej. I dopiero wtedy uświadomił sobie, jak bardzo jest głodny. Ostatni posiłek jadł rano. Zaburczało mu w brzuchu. Rozejrzył się dookoła. Po drugiej stronie jego biura był supermarket. Artur westchnął głęboko. Nie cierpiał supermarketów. Ale był tak głodny, że musiał coś zjeść. Pomyślał o gorzkiej czekoladzie. Mama zawsze powtarzała mu, że gorzka czekolada jest bardziej wartościowa od mlecznej, a ziarno kakaowca zawiera dużo magnezu. Wszedł do sklepu, złapał za ostatni koszyk. „Niedobrze” — pomyślał. „Brak koszyków oznacza tłum w sklepie”. Przeciskał się między alejkami w poszukiwaniu czekolady. „Gdzież ona może być?” — Czuł, jak narasta w nim złość, sam nie wiedział dlaczego. Bo zachciało mu się czekolady? Bo był zmęczony? Czy dlatego, że tyle ludzi było w sklepie? Rozejrzył się po ekspozycji. Świąteczna szynka, świąteczny indyk, nawet na pudełku z jajkami widniał kurczak w czapce Świętego Mikołaja.

„Kto w Polsce je indyka na święta? Czyżby ludzie naoglądali się za dużo amerykańskich filmów?” Dalej stały świąteczne wina, a za nimi... Jest! Świąteczna gorzka czekolada. „Jezu!” — jęknął w duchu Artur. „Koniec listopada, a każdy produkt jest markowany uśmiechniętym mikołajem, aniołkiem czy reniferem”. Jak on nie lubił świąt. A w tym roku nawet jego szef zwariował. Andrzej był po sześćdziesiątce, miesiąc temu urodził mu się wnuk numer dziesięć. Był rodzinnym człowiekiem, dlatego tak bardzo kochał święta. Tego roku stwierdził, że połowa pracowników dostanie świąteczny urlop. Taka „trzynastka”. Jednym z tych uprzywilejowanych pracowników był Artur Niemecki. I co on zrobi z wolnymi dniami? Zostało mu do zrobienia kilka projektów, mógłby się nimi zająć. Tak, to dobry pomysł. Wykorzysta przerwę w pracy na pracę w domu.

— Auć! — syknął. Ktoś najechał mu wózkiem na stopę. Żadnego przepraszam. Z głośników ryknęła kolęda.

Nie. Musi stąd wyjechać, jak najdalej. Od zgiełku miasta i tej przedświątecznej gonitwy. Mikołajów, dzwoneczków, reniferów, utworów typu *Last Christmas* i innych bzdur. Zaszyje się gdzieś w jakiejś górskiej miejscowości. Najlepiej malutkiej. Nie żadne Zakopane czy inne typowo turystyczne miasto. Z dala... z dala od tego wszystkiego. Cisza i spokój...

Zapłacił za czekoladę, wyszedł ze sklepu i przypomniał sobie, że nie wziął nic na kolację ani śniadanie. Popatrzył na drzwi marketu i zrezygnował z dalszych

zakupów.

Rozpakował czekoladę i wsunął kilka kostek do ust. Już nie mógł się doczekać, by znaleźć niewielki pensjonat, do którego wyjedzie. Uśmiechnął się do siebie.

Jego humor prysnął jak bańka mydlana, kiedy Artur przeciskał się w korku przez miasto. Od miejsca zamieszkania dzieliło go zaledwie pięć kilometrów, a jechał żółwim tempem, przesuając się o kilka metrów.

— Cholera by to wzięła! — Uderzył ręką o kierownicę. — Korki o dziewiętnastej trzydzieści? — jęknął.

Kiedy dotarł do mieszkania, usiadł na kanapie. Nawet się nie rozebrał. Klapnął w płaszczu i butach. Potrzebował chwili wytchnienia; ale nawet nie zdążył się wyluzować, kiedy rozdzwoniła się jego komórka. Wyjął telefon z kieszeni. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać, ale kiedy na wyświetlaczu pojawiło się imię jego byłej żony, nacisnął zieloną słuchawkę.

— Cześć.

— Cześć! — zaszcebiotała Małgosia. — Brzmisz jak z zaświatów.

— I tak się czuję.

— Jak zwykle.

— Czy to jakiś przytyk z twojej strony?

— Już wiem, dlaczego się rozwiedliśmy.

— Gosia...

— Już dobrze, dobrze. Posłuchaj, idą święta... — Wyczuł w głosie żony podekscytowanie.

— No i?

— Co robimy? Wiesz, dzieci bardzo lubią święta i cały ten okres przed świętami.

— Ja mniej.

— Nie obchodzi mnie to. Może zaplanowałbyś dla nich jakoś ten czas?

— Wyjeżdżam. Umawialiśmy się, że spędzę z nimi sylwestra i Nowy Rok, podczas gdy ty ze swoim nowym, lepszym mężem będziesz bawiła się na balu. — Nie mógł się powstrzymać, by nie wbić jej szpilki.

— Czy to dla ciebie problem? — Wiedział, że uraził Gośkę, ale miał to gdzieś.

— Nie. W końcu to też i moje dzieci.

— Właśnie. Dobrze, że jeszcze o tym pamiętasz. Pomyślałam, że może ubralibyście razem choinkę. Żeby poczuły magię świąt.

— Po co mam ubierać choinkę, skoro nie będę obchodzić świąt? Będzie mi tu stała i...

— Ładnie wyglądała.

— Nie cierpię ubierać choinki.

— Ale dzieci kochają.

— To ją z nimi ubierz.

— Ubiorę.

Rozłączyła się. Artur przełknął ślinę. Poczł wyrzuty sumienia.

Wybrał numer do żony.

— Przepraszam.

— Nie zamierzasz spędzić ani jednego dnia z dziećmi?

— Zabiorę je do siebie w ten weekend, potem w sylwestra...

— Artur... A święta?

— Spędzą je z tobą.

— Jak chcesz.

— Gniewasz się?

— Tu chodzi o dzieci.

— Przecież ich nie opuszczam.

— Ty nic nie rozumiesz. Jak zwykle.

— Cześć — rzucił oschle.

— Cześć.

Wkurzał go ten szal, jaki ogarniał ludzi przed świętami. Jakby tracili rozum. Liczyły się prezenty, choinki, ozdoby, pucowanie domu, wystawanie w kolejkach. Miał tego wszystkiego po dziurki w nosie. Sięgnął po laptopa. Otworzył go i zaczął przeszukiwać ogłoszenia. Dużo hoteli i pensjonatów miało obłożenie na full. I nagle...

— Jest! „Pokój do wynajęcia w Złotkowie. Cisza i spokój”.

Tak, Artur przede wszystkim potrzebował ciszy i spokoju.

W sobotę Artur zabrał Jankę i Kubę do galerii handlowej. Nie przyszedł mu do głowy lepszy pomysł na wspólne spędzenie czasu z dziećmi.

— Może wybierzecie sobie jakiś prezent pod choinkę? — zapytał dzieciaki.

— A ty nie możesz zrobić nam niespodzianki? — syknął Kuba. Od jakiegoś czasu jego jedenastoletni syn był do niego wrogo nastawiony.

— Nie chcę kupować wam czegoś, co wam się nie spodoba.

— Niespodzianka to niespodzianka. — Nastolatek stał z rękoma założonymi na piersiach i wpatrywał się w Artura.

— Ja bym chciała dostać lalkę Baby Born. — Janka pociągnęła tatę za rękaw. Miała niespełna sześć lat, burzę blond kręconych włosów i najśłodszy uśmiech pod słońcem.

— Taak? — Artur ukucnął obok córki i uśmiechnął się do niej. — A co to za lalka?

— Taka, co sika w pieluchę — uprzedził siostrę Kuba.

— I płacze! — Janka uśmiechnęła się do taty. — Leją jej się prawdziwe

łezki. I wtedy mama musi ją ukołysać.

— Dobrze, kupimy lalkę Baby Born — zgodził się Artur. „Czego to już producenci zabawek nie wymyślą” — pomyślał.

Kuba nie chciał żadnej zabawki, dlatego Artur stwierdził, że na święta da mu pieniądze i chłopak kupi sobie sam to, co będzie chciał.

— Mógłbyś z nami być — powiedział chłopiec tak cicho, że Artur tego nie usłyszał.

Potem we trójkę poszli do kina. Na jakąś bajkę z efektami specjalnymi w klimatach świątecznych. Artur kupił dwa wiaderka popcornu i colę. Był przeciwny jedzeniu w kinie, ciamkaniu, odwijaniu papierków. Uważał, że przez dwie godziny można się obejść bez jedzenia, ale postanowił, że dla dzieciaków zrobi wyjątek.

Weszli do sali, rozsiedli się wygodnie w fotelach. Seans się rozpoczął i...

Obudził go kuksaniec w bok.

— Chrapiesz — syknął Kuba.

— Musiałem na chwilę przymknąć oko. — Artur poprawił się na siedzeniu.

— To już koniec — zaśmiała się Janka, a Kuba utkwiał w ojcu złowrogie spojrzenie, kiedy w sali zapaliły się światła.

— Synu, o co ci chodzi? Staram się.

— Nie tak, jak powinienes. Darek poświęca nam czas, chociaż nie jest naszym ojcem. I nie śpi w kinie.

— Może Darek nie jest tak zmęczony jak ja?

— Może.

— W sylwestra obiecuję wytrzymać do północy. — Artur starał się rozładować atmosferę.

— Za to ja pójdę spać wcześniej.

— Okej. Rób, jak chcesz. — Mężczyzna miał już dość tych słownych przepychanek.

— To tak jak ty.

— No. W końcu jesteś moim synem.

— Ale wychowuje mnie Darek!

Artur przełknął zniechęcenie. Darek był ulubieńcem nie tylko jego byłej żony, lecz także dzieci. Artur nie cierpiał Darka za to, że cichaczem zajął jego miejsce. W sumie nie miał nic do gościa, ale drażniła go ta jego wieczna zadowolona mina. Kiedy odwoził dzieci, a Darek witał ich w progu, Artur siłą woli powstrzymywał się, by mu nie przyłożyć.

Najbardziej cieszył Artura fakt, że dzięki urlopowi nie będzie uczestniczył w firmowej imprezie wigilijnej ani w tych wszystkich „śledzikach” z kontrahentami. À propos śledzika, to Artur nie znosił śledzia. A kiedy dyskretnie o tym mówił, miał wrażenie, że inni patrzyli na niego jakoś dziwnie. „Nie ma to jak śledzik do

wódeczki” — słyszał nieraz. Imprezy wigilijnej w firmie też nie lubił. Mało miała wspólnego z tradycyjną wieczerzą wigilijną. Sekretarka za przykazem szefa wynajmowała salę w jakimś hotelu, na stół wjeżdżał łosoś, sea bass, kawior i inne modne dania, którymi chciał przed pracownikami zaszpanować raz do roku zarząd firmy. Potem impreza się rozkręcała, alkohol płynął strumieniami. Były tańce „przysłaniające” z nieodpowiednimi osobami, a następnego dnia kac moralny. Odkąd niektóre kobiety dowiedziały się, że Artur jest po rozwodzie, robiły wszystko, by zwrócić na siebie jego uwagę. Nie mógł zaprzeczyć, że na tej czy innej koleżance zawiesił oko, ale w tym momencie nie interesowały go długoterminowe związki.

Rozdział 4

Lena siedziała na podłodze i przebierała ozdoby choinkowe. Nadchodziły kolejne święta, a ona podchodziła do nich bez entuzjazmu. Półtora roku temu zginął w wypadku jej mąż, a ona nie potrafiła się pozbierać. Oczywiście musiała wziąć się w garść, dla córki. I tak uważała, że jest lepiej. Nie płakała już przy Kai. Udawała, że wszystko jest dobrze, a wcale dobrze nie było. Nie oszalała tylko dzięki córce i pracy, którą kochała.

Wyjrzała przez okno. Grudzień w tym roku był bardzo śnieżny, co cieszyło jej córkę. Kaja była ośmioletnią dziewczynką, żywym srebrem i podobnie jak Lena bardzo przeżyła śmierć ojca. Podczas gdy ta druga już dawno przestała wierzyć, że Czarek wróci, jej córka nigdy w to nie zwątpiła. Kobieta przetarła ręką szybę. Na chodnikach leżało kilka centymetrów ciężkiego śniegu. Dozorca odgarniał go łopata, usypując na poboczu śnieżne zasy. Z rynien sąsiednich bloków zwisały długie sople. Lena spojrzała na sztuczne drzewko, które rano ustawiła na środku pokoju. Obiecała córce, że kiedy ta będzie w szkole, ona udekoruje dom. Ale w ogóle jej się nie chciało dekorować czy świętować... Najchętniej zwinęłaby się w kłębek i przespała te święta. Drugie święta bez Czarka. Lena skończyła w tym roku trzydzieści jeden lat i czuła się tak, jakby to, co najlepsze, już dawno miała za sobą.

To miejsce, jej dom, ją przytłaczało. Szczególnie teraz, przed świętami. Jej mąż, podobnie jak i ona, kochał Boże Narodzenie. Już w listopadzie wspólnie dekorowali mieszkanie i kupowali prezenty, które chowali przed sobą po kątach. Włączali świąteczną muzykę, a wieczorami zapalali świece, które roztaczały wokół zapach goździków i cynamonu. Teraz w jej życiu było jakoś pusto. A gdyby tak gdzieś pojechać? W góry. Ona tak bardzo kochała góry, podobnie jak Czarek. Kiedyś często jeździła w Tatry. Ale gdzie o tej porze znajdzie wolne miejsca? Usiadła przy biurku i włączyła komputer. Przeszukiwała strony, jedna za drugą. Znalazła kilka miejsc w hotelach, ale specjalnie jej nie ciągnęło do takich molochów. Ona chciała pojechać do jakiegoś pensjonatu, gdzie jej córeczka poczułaby świąteczny klimat.

Pierwsze święta bez Czarka Lena jakoś przetrwała. Była na lekach uspokajających. Starła się też, aby jej córka mimo straty ojca cieszyła się ze świąt. Spędziły je u Doroty. Starsza siostra Leny zadbała o to, by siostrzenica i jej mama dobrze czuły się w ich domu. Lena nie pomogła w świątecznych przygotowaniach. Zaznaczyła tylko, żeby siostra nie kupowała dla niej prezentu. Do tej pory to Czarek obdarowywał ją upominkami.

Przez całą kolację wigilijną Lena się trzymała. Kaja szczebiotała z kuzynostwem, co bardzo ją cieszyło, bo przynajmniej sama nie musiała za wiele mówić. Była wdzięczna siostrze za to, że nikt nie zasypywał ją pytaniami ani nie chciał jej na siłę rozweselać.

— Kiedy śnieg stopnieje? — zaczęła dopytywać córka po odpakowaniu prezentu, którym była jej wymarzona hulajnoga.

— Na wiosnę.

Dziewczynka spochmurniała.

— Miejmy nadzieję, że już w marcu przyjdą roztopy i pojeździsz sobie na hulajnodze — dodała Dorota.

— Mamusiu, a czemu tobie Święty Mikołaj nic nie przyniósł?

— Bo nic nie potrzebuję.

— Naprawdę? — Oczy Kai zrobiły się duże.

— Tak.

— Hmm.

Dziewczynka spojrzała na mamę badawczym wzrokiem.

— Tęsknisz za tatusiem? — zapytała.

Lena poczuła ogromny ucisk w sercu. Nie chciała psuć tych świąt swoim bliskim ani córce.

— Tak, kochanie, tęsknię.

— Ja też.

Lena przytuliła córeczkę, która wpadła w jej ramiona. Wymieniła z Dorotą badawcze spojrzenia.

— Może zjemy coś słodkiego? — zapytała siostra, chcąc rozładować atmosferę.

— Sernik! — krzyknął Jaś, syn Doroty.

— Nie, wolę makowiec — dodała Julka, jego siostra.

— A ja chcę, by mój tatuś wrócił... Już wiem, dlaczego nie chciałaś prezentów od Mikołaja. Bo myślałaś, że Mikołaj zwróci nam tatusia.

— Nie kochanie, Mikołaj nie może zwrócić nam tatusia...

*

Minął kolejny rok, a Lena postanowiła, że lepiej będzie dla nich obu, jeśli w te święta zmienią otoczenie. Musi coś wymyślić. Dla Kai.

Te rozmyślenia przerwał dzwonek do drzwi. W progu stała sąsiadka, która przyprowadziła Kaję. Córka Leny chodziła do klasy z Zuzką, córką pani Bujewicz.

— Mamusiu, czemu nie udekorowałaś drzewka? — Kaja patrzyła

rozczarowana na choinkę. Lena nie powiesiła na niej ani jednej ozdoby. — Mówiłaś, że dzisiaj masz wolne i...

— Pomyślałam, że udekorujemy ją razem. Poza tym mam plan.

— Jaki?

— Pojedziemy w góry.

— W góry?

— Na święta.

— Nigdy nie byłam w górach na święta.

— To będzie taka nasza przygoda.

— A Mikołaj znajdzie nas w tych górach?

— Pewnie.

— A ty już napisałaś do niego list? W tamtym roku niczego od niego nie chciałaś.

— W tym też nie chcę.

— A nowego tatusia nie chcesz?

— Nie.

— A ja bym chciała starego, naszego. Zuzia powiedziała, że to niemożliwe, bo on mieszka z aniołkami, ale zawsze mogą mieć nowego, który nie umarł.

— Jeszcze na to za wcześnie, kochanie. — Lena pomyślała, że w ogóle nie chce żadnego innego mężczyzny u swojego boku. Kochała tylko Czarka, a skoro go nie ma, woli żyć samotnie.

Wieczorem Lena znalazła fajny pensjonat. Choć to nawet nie był pensjonat. Jakaś kobieta wynajmowała u siebie w domu pokoje. Lena od pierwszej chwili zakochała się w zdjęciach salonu i pokoi, zamieszczonych w ogłoszeniu. O takim klimatycznym miejscu właśnie marzyła, idealnym na spędzenie świąt Bożego Narodzenia. Zadzwoiła pod podany w ogłoszeniu numer. Właścicielka domu miała ciepły głos i co chwila wybuchała salwami śmiechu. Lena z miejsca ją polubiła.

— Zarezerwuję pani pokój „Kremowy”. Jest tam co prawda podwójne łóżko, ale mogę wstawić dostawkę dla córki.

— Dziękuję. Będziemy spały razem.

Lena uwielbiała dzielić łóżko z córką. W domu spały oddzielnie, gdyż Kaja stwierdziła, że jest już dużą dziewczynką. Dlatego Lena korzystała z każdej okazji, by wsunąć się do łóżka córki i się z nią poprzytulać.

Lena była neonatologiem w prywatnej lecznicy założonej przez jej siostrę. Mimo iż czasami dochodziło między nimi do zgrzytów, dziękowała Bogu, że pracuje z siostrą. Ustalały dyżury tak, żeby Lena spędzała jak najwięcej czasu z Kają. Czasami wypadał jej jakiś nocny dyżur, ale wtedy dziewczynką zajmowała

się pani Alinka, cudowna opiekunka, która zastępowała Kai babcię.

Lena kochała swoją pracę. To właśnie praca w szpitalu i córka uratowały ją przed całkowitym załamaniem i pozwoliły jej jakoś wrócić do życia po śmierci Czarka.

— To Maciuś. — Dorota, doświadczony pediatra, skinęła głową na noworodka. — Ma zespół aspiracji smółki. Jego stan się nie poprawia. Zrobiliśmy wszystkie badania i nic. — Dorota zmarszczyła czoło. Wokół jej oczu pojawiła się sieć drobnych zmarszczek.

— Może to wrodzone zapalenie płuc?

— Też tak pomyśleliśmy, ale jednak nie.

Lena studiowała kartę pacjenta.

— Pobraliście treści z dróg oddechowych do badań mikrobiologicznych?

— Tak.

— Podajecie mu surfaktant. — Wskazała na rubrykę po prawej stronie karty pacjenta.

Dorota skinęła głową.

— Może to on powoduje negatywną reakcję? Sprawdźmy to.

Dorota zadzwoniła do niej po jej dyżurze.

— Miałaś rację — poinformowała Lenę. Siostra wyczuła w jej głosie ulgę.

— Jak zwykle.

— Młodsza, a czasami mądrzejsza.

— Tylko czasami.

Roześmiały się.

— Słuchaj...

— Słucham.

— Nie wiem, od czego zacząć. Ten pomysł wpadł mi do głowy tak nagle.

Wiesz... ja jeszcze tak do końca nie otrząsnęłam się po śmierci Czarka i... no nie wiem.

— Lena, wal. — Dorota nie lubiła, kiedy siostra owijała w bawełnę.

Kobieta westchnęła.

— Jest teraz okres przedświąteczny i ja...

— I ty potrzebujesz pobyć z Kają. Chcesz wolne?

— Tak. Wiem, że może być kocioł.

— Wiesz, że u nas zawsze jest kocioł. Dwa tygodnie?

— Jesteś kochana.

Lena podziękowała siostrze. Wiedziała, że w szpitalu będzie ruch jak w ulu. Początkowo miała być to mała prywatna lecznica, ale przybywało coraz więcej pacjentów. Dlatego Dorota z mężem doszli do wniosku, że go rozbudują. Remont trwał w najlepsze. Teraz miały jedną salkę przeznaczoną dla wcześniaków i

noworodków z niedowagą i innymi zaburzeniami. To tam intubowano maluszki, robiono im masaż serca i — jak to określała Lena — przywracano ich do życia. Dorota planowała utworzyć trzy sale dla wcześniaków. Obie siostry były podekscytowane nowym projektem, ale Dorota dobrze wiedziała, że Lena jeszcze nie doszła do siebie po śmierci Czarka, dlatego potrzebowała urlopu. Święta to czas, kiedy wracają wspomnienia...

*

Dorota kończyła właśnie dyżur, kiedy jej telefon ponownie zawibrował.

— Lena?

— To ja.

— Coś się stało?

— Wiesz... może to pochopna decyzja. Ten mój urlop.

— Potrzebujesz urlopu.

— Zastanowiłam się nad tym i nie wiem, czy powinnam opuszczać Malwinę.

— Wszystko jest pod kontrolą. Będę informować cię na bieżąco o jej stanie.

— Tylko że to moja pacjentka.

— Nasza, Lena, nasza. Mówiłam ci, że nie możesz się tak przywiązywać.

— Tak, ale Malwinka...

— Jest pod dobrą opieką. Jedź w te góry, a ja będę do ciebie dzwonić, gdyby coś było nie tak albo gdybym potrzebowała twojej rady. Poza tym Rogowski cię zastąpi.

Malwinka przyszła na świat w dwudziestym dziewiątym tygodniu ciąży. Miała zaledwie 33 centymetry długości i ważyła 600 gramów. Kiedy mama Malwinki trafiła do szpitala, miała nadciśnienie tętnicze i infekcję układu moczowego. Nie było innego wyjścia, jak tylko zrobić cesarskie cięcie. Dziewczynka jak na swój wiek miała bardzo niską wagę urodzeniową, poniżej trzeciego percentyla. To był cud, że nie wymagała reanimacji. Zaintubowali ją, podali jej leki przyspieszające dojrzewanie organizmu, leki wzmacniające, leki wspomagające oddychanie. To wszystko, co mogli dla niej zrobić. Codziennie dziewczynka była poddawana konsultacjom kardiologicznym, okulistycznym, chirurgicznym. Pozostało czekać. Zarówno rodzice dziewczynki, jak i Lena z Dorotą nie tracili wiary.

Kilka dni po wrzuceniu ogłoszenia do sieci Miśka odebrała pierwszego maila. Po wstępnych ustaleniach zadzwoniła do pana Artura, który był zainteresowany wynajmem pokoju. Uzgodnili szczegóły, po czym Michalina

pobiegła do „Cynamonowych Serc”.

— Babciu, jestem taka zestresowana! — wołała już od progu.

— Co się stało? — Babcia Zosia przecierała paterę. W kawiarni było niewiele osób.

— Będziemy miały gości.

— Chyba o to chodziło.

— No niby tak, ale się denerwuję.

Zosia uśmiechnęła się do wnuczki.

— Wiem.

— To mężczyzna. Zarezerwował pokój na trzy tygodnie. Sądziłam, że w tym okresie pokoje będą wynajmować rodziny z dziećmi.

— Może jest sam?

— No tak. Nie pomyślałam. Ale trzy tygodnie?

— Super. — Zosia spojrzała na nią z dobrocią. — Powinnaś się cieszyć.

— Cieszę się, cieszę. Już na wstępie zaznaczył, że potrzebuje spokoju i ciszy.

— Daj mu „Morski”, bo jest na końcu korytarza.

— Też o nim pomyślałam. Chociaż wydaje mi się, że to trochę napuszony gość, może „Stylowy” będzie lepszy?

— Też dobry. Kiedy ma przyjechać?

— W przyszłą sobotę.

— Musimy go należycie przyjąć. Niech chłopina, skoro samotny, poczuje świąteczny nastrój.

— Masz rację. Jeszcze musimy udekorować dom.

Michalina była podekscytowana. Uwielbiała te świąteczne przygotowania i strojenie pomieszczeń w świąteczne bibeloty.

— Zadzwoń do wujka Mirkai poproszę, żeby porozwieszał światła.

— Dobrze, że dokupiliśmy jeszcze zielone.

— Na choinki, te przy wejściu, też trzeba zarzucić sznury lampek.

— Białych.

— Będzie pięknie.

— Nasz pierwszy gość zakocha się w tym miejscu.

Miśka lubiła swoje niewielkie miasteczko, a szczególnie zimą i przed świętami. Mieszkańcy Złotkowa hucznie celebrowali Boże Narodzenie. Na domach, pobliskich drzewkach i latarniach zawisały lampki. Za zgodą burmistrza otwierano sztuczne lodowisko. Co drugi mieszkaniec zakładał czapkę Świętego Mikołaja. Dzieciaki i dorośli zbierali się na centralnym placu przed zegarem i każdego wieczoru, począwszy od pierwszego grudnia, śpiewali kolędy i pastorałki. Dzieciaki z klasy Bartusia spotykały się w kościele i ćwiczyły role do jasełek. Ich miasteczko żyło Bożym Narodzeniem.

Rozdział 5

Telefon zadzwonił, kiedy Wiktoria Skarżyńska wstawiała kwiaty do wazonu. Ociężale podążyła do przedpokoju, gdzie znajdował się aparat. Zanim doszła na miejsce, ktoś po drugiej stronie rozłączył się. „Może to i dobrze” — pomyślała. Nie miała ochoty na rozmowy. Ale zaraz dzwonek rozległ się jeszcze raz.

— Halo? — rzuciła do słuchawki.

— Mamo?

— O, Mariusz! — zwróciła się ciepłym głosem do syna.

— Cześć, mamo.

— Cześć. Co u ciebie?

— Jadę do pracy.

— No tak, praca... — westchnęła.

— A co u ciebie? Wszystko w porządku?

— A jakoś leci. Co może się dziać ciekawego u starych ludzi? — roześmiała się smutno Wiktoria. — Jakoś mi trudno bez was. Czemu nie mieszkamy razem?

— Mamo, proszę, nie zaczynaj.

Każda rozmowa wyglądała tak samo. Wiktoria jednak nie przyjmowała do wiadomości, że jej syn z żoną i wnuczką nie będą już nigdy z nią mieszkać.

— Co zrobię, że tęsknię za wnuczką? Za harmidrem, jej śmiechem...

— Widzieliśmy się wczoraj.

— Wczoraj?

— Tak, wczoraj. Nie pamiętasz?

— Pewnie, że pamiętam, ale za rzadko się widzimy. Za rzadko... To dla mnie za rzadko.

Mariusz westchnął.

— Gdybyśmy razem mieszkali...

— Mamo, sama rozumiesz, jak jest. Ale może niedługo i tak sytuacja zmusi nas do tego, żebyśmy razem zamieszkali.

— Nie wiadomo, jak będzie.

— Mamo... — Mariusz tracił cierpliwość.

— Co „mamo”? Co? — Wiktoria przybrała oskarżycielski ton. — Nie chcę was zmuszać, żebyście ze mną mieszkali. Nie potrzebuję litości.

— Jesteś chora. Na razie jest dobrze, ale nie wiadomo, jak szybko choroba będzie postępować.

— Może, ale nie zakaźnie chora. Wnuczkę mam prawo widywać.

- Widujesz ją.
- Nie tak często, jak bym chciała.
- Asia przyniesie ci dzisiaj zakupy, a Kasię zobaczysz w sobotę.
- Zostaniecie na noc?
- Może. Jak się czujesz? — Syn jak zwykle zmienił temat.

Wiktoria sięgnęła do torebki i wyjęła paczkę papierosów. Kiedyś paliła okazjonalnie, teraz coraz częściej. Wzięła papieros do ust i odpaliła zapalniczkę.

— Mamo, ty palisz? — Mariusz wyłapał i rozpoznał dźwięki po drugiej stronie słuchawki.

- Tak.
- Nie powinnaś.
- Kiedy ma się siedemdziesiąt cztery lata, to już się nie baczy na to, co się powinno, a czego nie.
- Tak. Chyba tak. Muszę kończyć.
- Przyjedziecie?
- Tak. Obiecuję.

Nie przyjechali. A może przyjechali, a ona tego nie pamięta. Ale nie, gdyby przyjechali, to wyczułaby obecność wnuczki... Jej zapach byłby z nią do teraz. A Wiktoria nie czuła nic. A przede wszystkim jej serce nie trzepotało tak żwawo. Zaciśnęła usta, które utworzyły cienką kreskę. Musi stąd wyjechać jak najszybciej, bo inaczej całkiem zwariuje.

Złotkowo... Kiedyś tam była i obiecała sobie, że jeszcze tam wróci. A teraz idą święta. Góry pięknie wyglądają zasypane śniegiem. Złotkowo w ogóle było piękne w czasie świąt. Niemal każdy dom był udekorowany na okazję świąt. W centrum miasteczka znajdowało się lodowisko, a główna i jedyna ulica skrzyła się od kolorowych światełek. Skoro jej własny syn i synowa nie są zainteresowani spędzaniem z nią czasu, to ona wyjedzie. Może ostatni raz wyjeżdża gdzieś sama?

Pierwszego grudnia Miśka miała wynajęte trzy pokoje. Była tym faktem bardzo zdenerwowana, chociaż wiedziała, że jest dobrze przygotowana na przyjazd gości. Prasowała właśnie poszewki, kiedy w drzwiach pojawił się Bartek. Położył plecak w kącie, zdjął kurtkę i buty i usiadł na sofie, trzymając w rękach reklamówkę.

- Co jest? — Miśka odłożyła żelazko i podeszła do brata.
- Nic.
- Widzę, że coś.
- Dostałem rolę archanioła Gabriela.
- To świetna wiadomość. Marzyłeś o tym, by mieć większą rolę w jasełkach. A archanioł Gabriel to ważna persona.

- Ale strój na mnie nie pasuje.
- A co z nim nie tak? — Miśka wyjęła z reklamówki anielski strój.
- Pani mi go dała, ale powiedziała, że pewnie będzie za mały.
- Chodź no tu. I przymierz.

Bartek rozebrał się i włożył spodnie i białą koszulkę, do której były przyczepione skrzydła. Kostium nie dość, że był wypłowiały, to jeszcze za mały. Bartek wyglądał w nim komicznie.

Wszystko było przyciasne i przykrótkie, a ze skrzydeł odpadły niemal wszystkie pióra.

- No i? — zapytał siostrę Bartek.
- Jest źle.
- No widzisz.
- Ale możemy temu zaradzić. Maszynę mam. Szyć umiem.
- Sama mówiłaś, że nie masz teraz na nic czasu.
- Dla ciebie zawsze znajdę czas. — Michalina pogładziła Bartka po policzku.

Miśka szyła kostium dla Bartka nocami. Przypomniła sobie czasy, kiedy szyła mu inne przebrania. Bardzo lubiła ten okres w ich życiu, kiedy Bartuś miał trzy, cztery lata. Był odkrywcą i miał plany na przyszłość. Każdego dnia inne. Raz chciał być strażakiem. Miśka uszyła mu strój strażaka. Kiedy kostium był już gotowy, chłopiec stwierdził, że przemyślał sprawę i wolałby być lekarzem. Ale nie takim ze szpitala, tylko tym, co jeździ w karetce. „Sanitariusz?” — dopytywała Michalina. „Sanitarius” — powtórzył. I Miśka uszyła dla Bartka strój sanitariusza. A babcia Zosia kupiła mu plastikowe słuchawki i strzykawkę. A teraz Miśka będzie szyć dla brata strój archanioła Gabriela. „To będzie odlotowe przebranie” — uśmiechnęła się do siebie i ucięła tasiemkę.

Niekiedy przysypiała nad maszyną, ale udało jej się skończyć kostium na czas. Kiedy odbyła się pierwsza próba do przedstawienia, Bartek miał na sobie archanielskie szaty: białe spodnie i śnieżnobiałą albę wyszywaną w złote gwiazdy, do której doczepione były rozłożyste skrzydła z białymi piórami.

- I co, podoba ci się? — zapytała brata, kiedy ten szedł na pierwszą próbę.
 - No ba, jeszcze pytasz? To najpiękniejszy strój, jaki mogłem sobie wymarzyć. Dziękuję, mamuś... — Bartek spojrział siostrze w oczy. Miśka po raz kolejny chciała go poprawić, ale ugryzła się w język. Dotknęła jego ręki.
 - Kocham cię, Bartuś.
 - Też cię kocham, chociaż czasami ci o tym nie mówię. Bo wiesz, mam już swoje lata.
 - No masz, masz...
- Roześmiali się.

Mama dla swojego dziecka potrafi zrobić wszystko: nieba uchylić, dać gwiazdkę, rozśmieszyć, otrzeć łzy, przytulić i powiedzieć, że będzie dobrze. Miśka miała wtedy osiem, może dziewięć lat, pamięta to jak dziś. Był tydzień przed Bożym Ciałem. Dziewczynka oznajmiła mamie, że będzie sypać kwiatki na procesji. Mama przez cały tydzień zbierała dla Miśki kwiaty. Biegała po łąkach, prosiła sąsiadów, czy może zerwać kilka kwiatków z ich ogrodów. Nawet poświęciła swoje róże. Miśka przez całą procesję miała co sypać, a mama, która szła obok niej, trzymała w rękach kolejne dwie siaty wypchane kwieciami. Po procesji poszły na lody. Mama wybrała dla siebie gałkę malinową, Miśce pozwoliła wyjątkowo zjeść aż trzy gałki. Wszystkie śmietankowe, ulubiony smak Miśki. Tamte lody zjedzone z mamą miały szczególny smak. Smak szczęścia.

Rozdział 6

Jadwiga Kowalik usiadła przy biurku. Otworzyła dziennik i spojrzała na oceny swoich wychowanków. Westchnęła. W jej klasie nie było orłów, ale miała to szczęście, że były tam same dobre dzieciaki.

O przeszłości Jadwigi Kowalik to i owo wiedziała jedynie dyrektorka szkoły; była jednak dyskretna i nikomu nie pisnęła ani słówka. Zatrudniając się w szkole, Jadwiga musiała podać kilka faktów ze swojego życia. Kiedy o tym mówiła, miała duszę na ramieniu. Ale dyrektorka ani słowem nie skomentowała jej prywatnych spraw.

— Zadzwoiłam do pani poprzedniego miejsca pracy i uzyskałam stamtąd dobre referencje. Tak więc zatrudniam panią u nas w szkole.

— Dziękuję.

I tak już od dziewiętnastu lat Jadwiga pracuje w podstawówce w Złotkowie.

Jadwiga lubiła swoją pracę. I w gruncie rzeczy dzieci też lubiła, ale mimo to była wymagającą belferką, może czasami zbyt szorstką. Po prostu chciała te dzieci, które były pod jej skrzydłami, czegoś nauczyć. Może przede wszystkim życia? Bo przecież życie postawi przed nimi masę przeszkód, a one będą musiały je pokonać. A wiedza jest bardzo ważna w życiu, Jadwiga nieraz sama się o tym przekonała.

Lubiła, kiedy dzieci były zdyscyplinowane, ale też gdy miały własne zdanie na różne tematy. Nawet historia nie jest do końca odkryta, a fakty historyczne są interpretowane przez różnych profesorów czy naukowców różnorako.

Czasami trudno jej było się dogadać z rodzicami. Przecież niemal wszystkich w miasteczku znała, niektórych rodziców nawet uczyła. Część z nich niechętnie przyjmowała jej krytyczne uwagi w stosunku do swoich pociech. W miasteczku miała opinię zołzy. A ona przecież naprawdę chciała dobrze. Czy powinna trochę odpuścić? Luzaccy nauczyciele są bardziej lubiani. Pomyślała o Amelii. Jaka dla niej była? Jak ją Amelia widziała? Chyba nie była dla niej dobra... — przełknęła głośno ślinę i wygładziła spódnice.

Zerknęła na wiszący na ścianie zegar. Poprawiła starannie ułożoną fryzurę. Jeszcze tylko cztery tygodnie i przerwa świąteczna. Nie lubiła wakacji ani świąt, bo nie wiedziała wtedy, co ma ze sobą zrobić. Nie miała przyjaciół. A rodzina? Znów ten ucisk w sercu. Pomasowała skronie. Od rana męczyła ją migrena. Ból rozsadał jej czaszkę. Nie chciała brać kolejnej pastylki. Wiedziała, że powinna się przespać. Tylko sen pomagał jej na bóle. Kiedy ci rodzice przyjdą? Gdy tylko o tym

pomyślała, do klasy weszli Szczepaniakowie.

— Dzień dobry — powiedzieli jednocześnie.

— Dzień dobry. Proszę usiąść. — Jadwiga wskazała rodzicom ich miejsce. Usiedli na dziecięcych krzeselkach. Kobieta jęknęła w duchu, kiedy pan Szczepaniak ociężale klapnął na siedzenie. Był potężnie zbudowanym mężczyzną i Jadwiga bała się, aby krzesło nie złamało się pod jego ciężarem.

— A więc? — zaczął pan Szczepaniak. Był wojowniczo nastawiony, choć nie wiedział jeszcze, w czym tkwi problem.

— Anetka jest bardzo zdolną dziewczynką... — zaczęła spokojnym głosem.

— Ale? — wszedł jej w zdanie.

Jadwiga nasunęła okulary na nos i spiorunowała go wzrokiem. Mężczyzna jakby spokorniał.

— Ma trudności z nauką.

— Historii?

— Z nauką w ogóle. Jestem jej wychowawczynią, chcę więc powiadomić państwa o jej problemach. Ma trudności z matematyką, z językiem polskim, nie jest przygotowana do lekcji historii.

— Wie pani, my... My... — Katarzyna Szczepaniak próbowała oznajmić Jadwidze to, o czym ona już dawno wiedziała. W miasteczku plotkowano, że między Szczepaniakami nie układa się dobrze.

— Rozwodzimy się — dokończył pan Szczepaniak.

— Tak... To może mieć wpływ na naukę Anetki. Ale córce trzeba jakoś pomóc.

— Staramy się, aby znosiła to wszystko bezboleśnie.

— Dzieci odczuwają wszystko, co dzieje się w domu. Może potrzebna jest tutaj pomoc psychologa?

— Nie sędzę — powiedział Szczepaniak.

— A może jednak? — Szczepaniakowa popatrzyła na męża błagalnie.

— A może pani Jadwiga szuka dziury w całym? — Mateusz Szczepaniak wbił wzrok w nauczycielkę. Jadwiga przypomniała sobie te lata, kiedy Szczepaniak sam był pod jej nauczycielskimi skrzydłami. Nieraz zalazł jej za skórę. Och, ile razy w duchu wyklinała tego gówniarza.

— Chcę tylko pomóc.

— Pomóc, pomóc. Nie będę chodził z córką po żadnych terapeutach. To normalna dziewczynka, która ma chwilowe problemy.

— Właśnie — wtrąciła pani Szczepaniak. — Ma problemy. Sam to przyznałeś. Nie wiem, czy wiesz, ale moczy się w nocy.

— W sensie sika?

— Tak. Z nerwów się moczy. I teraz, jak widać, nie radzi sobie z nauką.

Jadwiga była wdzięczna Kasi, że ta stanęła po jej stronie. Ją też niegdyś

uczyła. Dziewczyna była bardzo zdolna, ale już w liceum zaszła w ciążę i od tamtej pory była żoną przy mężu. Teraz jednak jej postawa zaskoczyła Jadwigę, i to pozytywnie.

Małżonkowie zaczęli się kłócić. Jadwiga wyłączyła się. Miała dość dzisiejszego dnia. Ból głowy jeszcze bardziej się nasilił. Poczła mdłości. Najchętniej by stąd wyszła. I kiedy tylko o tym pomyślała, Szczepaniak zerwał się z krzesła niczym rozjuszony byk.

— To ja już pójdę. Do widzenia.

— Do widzenia — odparły jednocześnie.

Jadwiga spojrzała na Kasię. Kobieta miała łzy w oczach.

— Wszystko dobrze?

Kasia westchnęła.

— Wie pani, jest ciężko, ale wierzę, że to tylko chwilowe. Damy sobie radę z Anetką. Kiedy mąż oznajmił mi, że odchodzi, myślałam, że tego nie przeżyję, ale już chwilę potem poczułam ulgę. Wie pani, jak to jest?

— Tak, wiem... Wiem...

Po pożegnaniu się z Kasią Jadwiga wyszła ze szkoły. Zaczął padać deszcz. Pobiegnęła do samochodu. Wyjęła z torebki tabletki przeciwbólowe i wodę. Połknęła jedną pastylkę. Siedziała chwilę bez ruchu, po czym zaczęła masować skronie. Deszcz lał się z nieba strumieniami, a jej zachciało się płakać.

Za cztery tygodnie święta? I co z tego? Przeżyła już tyle samotnych świąt. A gdyby tak? Nie, nie... Nie może naruszać spokoju tych, których zostawiła za sobą. Przeszłość jest już za nią. Łzy spływały po jej policzkach.

„Cholera jasna!” — zaklęła w duchu. Musi się wziąć w garść. Tyle już w życiu przeszła. Zawiedzione nadzieje, rozpacz, strach, samotność. Przeżyje więc kolejny dzień z migreną i kolejne święta. Nie może się rozczulać — pomyślała. Ale wspomnienia już zaczęły ją atakować ze wszystkich stron.

Przekręciła kluczyk w stacyjce. Włączyła radio, byle tylko zagłuszyć swoje myśli. Kiedy dotarła do domu, zmęczona usiadła na kanapie. Na jej kolana wskoczył kot. Pogłaskała go z czułością i nagle... znów atak. Nie, nie migreny, tylko niepotrzebnych wspomnień.

Przypomniała sobie pewne święta. Och, ten ucisk w sercu. Wróciła wtedy po ciężkim dniu w pracy. Na środku pokoju stała choinka.

— O Jezuuu! — jęknęła. — Kto ubiera choinkę trzy tygodnie przed świętami?

— Ja! — usłyszała głos Amelii.

— Dlaczego przystroiłaś ją w kolorowe lampki? Od trzech lat ich nie używamy.

— Bo mi się podobają.

— Gdzie je znalazłaś? Myślałam, że już je wyrzuciłam.

— W pudle na pawlaczu.

— I te bombki z brokatem... Obsypią mi dywan.

— I co z tego?

— Chciałam ubrać choinkę na biało.

— Ja wolę kolorową.

Jadwiga zacisnęła usta w kreskę.

Ile by dała za to, by cofnąć czas. I by na jej choince zawisły teraz tęczowe lampki i brokatowe bombki. I łańcuchy z kolorowego papieru, i aniołki z szyszek i krepiny.

Rozdział 7

Miśka wysypała czyste ubrania na łóżko i zaczęła je segregować na te do prasowania i na te, których prasować nie trzeba. W pokoju było duszno, więc otworzyła okno. Chłodny wiatr wpadł do pomieszczenia, unosząc firanki. Kobieta otarła krople potu z czoła. Kiedy skończyła segregować ubrania, wstała, rozprostowała plecy i potarła ręką kręgosłup. Otworzyła szufladę komody, ale zanim włożyła do niej rękę, sięgnęła jeszcze po fotografię. Zawsze tak robiła. Na zdjęciu byli we trójkę: ona, mama i tata. Tata tak bardzo różnił się od mamy. Byli jak ogień i woda. Mama blada z jasnymi włosami, tata ciemny, o włosach jak heban. Między nimi stała córeczka i trzymała rodziców za ręce. Miśka tak bardzo za nimi tęskniła. Poczowała ostre ukłucie w sercu. „Mama już nie wróci, a tata? Zawsze mógł, gdyby tylko chciał... Gdyby chciał”.

Jej rozmyślenia przerwało pukanie do drzwi. Uśmiechnęła się pod nosem; wiedziała, że po drugiej stronie, za zamkniętymi drzwiami, stoi jej brat.

— Kto tam?

— Hipopotam.

— To muszę zadzwonić do zoo, żeby ktoś przyjechał i go zabrał.

— Mogę wejść?

— Jasne.

Drzwi skrzypnęły i w progu stanął Bartuś, trzymając w rękach tacę. Ostrożnie ruszył z nią w stronę łóżka. Na tacy stały filiżanka z kawą, talerzyk, a na nim spalony tost, i drugi talerzyk z czymś, co przypominało jajko sadzone z rozbełtanym na środku żółtkiem, posypane wiórkami żółtego sera.

— To dla mnie? — Miśka nie kryła wzruszenia.

— Dla ciebie. Uprzedzę twoje pytanie: kuchni nie spaliłem.

Miśka już miała pouczyć brata, że nie wolno mu włączać gazu, gdy w pobliżu nie ma nikogo dorosłego, ale ugryzła się w język. Przecież się starał.

— Mam coś jeszcze.

Chłopiec wybiegł z pokoju. Po chwili był już z powrotem. Wręczył Michalinie laurkę i frezje.

— Pamiętałeś o moich urodzinach?

Bartek uśmiechnął się łobuzersko.

— Właściwie to babcia mi przypomniała.

— Ach, ta nasza babcia.

— Kochana.

— Kochana.

Miśka przyjęła kwiaty i laurkę i objęła mocno brata.

— Dziękuję.

— Nie obejrzałaś laurki.

Na pierwszej stronie był narysowany kwiat i uśmiechnięte słońce. Miśka otworzyła kartkę. W środku znajdował się rysunek przedstawiający kobietę trzymającą za rękę chłopca; z tyłu, obok drzewa, stał mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych i kurtce moro. Na chmurze siedziała uśmiechnięta kobieta.

— To ja i ty. — Bartek wskazał palcem na kobietę i chłopca.

— A ta pani na chmurze?

— To mama. A ten pan to tatuś.

Bartek czasami wyobrażał sobie, że jego tata jest tajnym agentem, który jeździ z misją po świecie i ratuje ludzi od wszelakich niebezpieczeństw. A mama? Chciał wierzyć, że jest aniołem, ale tak do końca nie był przekonany, czy anioły istnieją. Dorastał i trudno mu było uwierzyć, że ktoś tam sobie żyje w chmurkach. A tak w ogóle — anioły z tymi całymi skrzydłami, kto to w ogóle wymyślił? Nie chciał jednak sprawiać Miśce przykrości i czasami udawał przed nią, że dalej jest dzieciakiem, którym był rok czy dwa lata temu, a który wierzył w te wszystkie bajki.

„Dlaczego akurat dzisiaj?” Miśka biegała po domu i starała się wszystko ogarnąć. Budzik nie zadzwonił... albo zadzwonił, a ona wyłączyła go i na nowo zasnęła. Za dwie godziny miał przyjechać pierwszy gość, a ona była w proszku. Wleciała do łazienki i zamiast pastą umyła zęby kremem do rąk. Musiała kilka razy wypłukać usta, zanim pozbyła się smaku rumianku. Nie mogła znaleźć w szufladzie czystych grubych skarpetek. Zdjęła z kaloryfera półsuche, które uprała poprzedniego dnia. Kiedy je włożyła, wzdrygnęła się. Co jak co, ale lubiła mieć ciepłe stopy. Potem biegała po domu w poszukiwaniu kluczy. Przez chwilę pomyślała nawet, że w ogóle nie zamknie domu i pobiegnie po zakupy. W Złotkowie nie dochodziło do kradzieży. Babcia zawsze jej powtarzała, że nie można zostawiać wszystkiego na ostatnią chwilę. A Miśka jak zwykle jej nie posłuchała i stwierdziła, że jeśli wstanie o szóstej rano, to ze wszystkim zdąży. Zajrzała do pokoju brata. Jeszcze smacznie spał. No tak, była sobota, niech sobie pośpi. Rakiem wycofała się do przedpokoju. Na stole zostawiła chłopcu notatkę z informacją, że wyszła do sklepu.

— Kurwa mać! — zaklął siarczyście Artur Niemecki, stając przy furtce Miśkowego domu. — Co to jest?

Dom był upstrzony światełkami. Na dwóch świerkach przy wejściu wisały kolorowe ozdoby, łańcuchy i girlandy. A na wejściowych drzwiach — stroik i

dzwoneczek. Artur wzdrygnął się. Przecież dlatego uciekł z Wrocławia, przed całym tym świątecznym chaosem i zgiełkiem. Kobieta, która wynajmowała pokoje, zapewniła go, że to ciche i spokojne miejsce. A on właśnie zwątpił w jej słowa, kiedy usłyszał przez otwarte okno dźwięki kolęd.

Westchnął głęboko. I nagle, nie wiadomo czemu, pomyślał o Darku, ojczymie jego dzieci.

Na samą myśl o tym złamanym fiucie Artur poczuł, jak żółć podchodzi mu do gardła. Splunął. Darek znakomicie odgrywał rolę przyszywanego tatusia, za co Artur go szczerze nie cierpiał. On sam kochał swoje dzieci, ale nie potrafił dać im tego, co dawał im Darek. Ojczym zapewniał im wszystkie atrakcje, o jakich marzyły, począwszy od lepienia bałwanów, kuligów, łażenia po kościołach i oglądania szopek. On się do tego nie nadawał. Darek zapewne też nie, ale chciał się wkupić w łaski Małgośki i dzieci, tak przynajmniej sądził Artur.

Zapukał do drzwi. Usłyszał dźwięk otwieranego zamka. Po chwili w progu stanął chłopiec.

„Nie wierzę” — jęknął w duchu mężczyzna. Nie przepadał za dziećmi, nie licząc własnych. Mógł zapytać właścicielkę, czy w tym czasie będą tutaj przebywały jakieś dzieci.

— Dzień dobry! — Chłopiec uśmiechnął się do niego szeroko.

— Cześć. — Artur posłał dzieciakowi wymuszony uśmiech. Jakoś nie chciał wyjść przed nim na starego zgreda.

— Ja tutaj mieszkam, a pan?

— Chyba też będę tu mieszkał. Czy mogę porozmawiać z twoją mamą?

— A dlaczego?

Artur poczuł, że zaczyna się pocić.

— Tak jak mówiłem, będę tutaj mieszkał przez jakiś czas. Twoja mama...

— Nie dokończył, bo w drzwiach pojawiła się młoda kobieta. Młoda, bardzo młoda i bardzo ładna, o egzotycznej urodzie.

— Dzień dobry. Pan Niemecki? — Wyciągnęła w jego kierunku drobną dłoń o długich palcach.

— Tak. Artur, miło mi. — Odwzajemnił uścisk.

— Michalina.

— Wszyscy mówimy na nią Miśka — wtrącił się malec.

— A to Bartek. — Kobieta wskazała na chłopca.

— No cześć — przywitał się ponownie Artur.

— Zaprowadzę pana do pokoju. Mam nadzieję, że się panu spodoba. Jest na poddaszu, na końcu korytarza. Tam będzie panu wygodnie.

— I spokojnie, i cicho? — Chciał się upewnić. — Jedyne, czego pragnę, to spokoju.

— Rozumiem. — Miśka spojrzała na niego kątem oka. „Co za bufon” —

pomyślała.

Weszli do pokoju. Było w nim łóżko, szafa, stolik. W prawym rogu stała mała choinka, upstrzona światełkami w kolorze tęczy, kolorowymi sercami i gwiazdami. Na stoliku stał elektryczny czajnik, obok talerzyk z kilkoma torebkami herbaty, cukierniczka i mlecznik. Meble ciężkie i staroświeckie, wykonane z orchy, jak osądził fachowym okiem Artur. Na łóżku leżała puchowa kołdra powleczone w poszewkę, zapewne ręcznie haftowaną. Haft przedstawiał Mikołaja i renifery ciągnące sanie z podarkami. Artur przez dłuższą chwilę nie mógł oderwać oczu od pościeli. „Co za groteskowe miejsce” — pomyślał w duchu.

— I jak? — zapytała Michalina.

— W porządku. Jest Wi-Fi?

— Wi-Fi? — Dziewczyna spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby oznajmił jej, że właśnie wylądował tutaj na statku kosmicznym. — Nie ma. Myślałam, że pragnął pan spokoju i odpoczynku.

— Mam zaległą pracę do nadrobienia.

— Niestety nie mamy internetu. — Wzruszyła ramionami. — Ale tuż za rogiem jest kawiarenka internetowa.

— Nie ma pani w domu komputera?

— Nie. Czy to problem?

— No cóż... — Machnął ręką.

— Odpocznie pan. — Właścicielka uśmiechnęła się do niego promiennie.

— Nieważne. — Znow machnął ręką.

Miśka poczuła się tak, jakby była natrętną muchą.

— Kolację serwuję o dziewiętnastej, w salonie na dole, śniadanie od ósmej do dziewiętej. Obiad o drugiej.

— Będę jadł tylko śniadania i kolacje.

— Ale obiady... — Miśka nie wiedziała, co ma powiedzieć. — Naprawdę dobrze gotuję.

— Proszę pani, może i tak, ale nie będę miał czasu na obiady.

— Jeździ pan na nartach? — Uśmiechnęła się.

Ta jej życzliwość go drażniła. Sam nie wiedział dlaczego.

— Będę spędzał czas w pokoju. Mam kilka projektów do nadrobienia. Kupię tylko kartę do komputera, żeby móc na nim pracować.

— Ooo! — Zakryła usta dłonią. — Mamy piękną okolicę. I sypnęło śniegiem. Pan Woźniak robi kuligi dla turystów.

— Nie! — powiedział odrobinę za ostro.

— Przepraszam.

— Spokój i cisza. Święty spokój. Tego pragnę.

— Tak, rozumiem. — Dziewczyna skierowała się w stronę drzwi, a Arturowi wydawało się, że ona nic a nic go nie rozumie.

Kiedy Michalina wyszła z pokoju, rozpakował swoje rzeczy i poukładał je równiutko w szafie. Cenił w życiu ład i porządek. Żadnego bałaganiarstwa. Zrobiło mu się jakoś gorąco. Otworzył okno. Ulicą przejechały sanie, na których siedział Mikołaj i elfy. Elfy dzwoniły dzwoneczkami, a Mikołaj nawoływał głośno dzieciaki, by biegły za saniami. I faktycznie już po chwili koło sań zgromadziły się maluchy. Artur usłyszał ich śmiech. „O, nie!” — pomyślał poirytowany. „Gdzie ja, kurwa, jestem? W miasteczku Świętego Mikołaja czy co?”

Opadł ciężko na łóżko. Po chwili usłyszał pukanie do drzwi. Postanowił je zignorować.

— Halo? — usłyszał za drzwiami szuranie i chłopięcy głosik. Po chwili pukanie się powtórzyło. — Przecież wiem, że pan tam jest.

„Jezuuu przenajświętszy, uchronń mnie przed dziećmiakami” — jęknął w duchu Artur.

— Śpię.

— Nie może pan spać, skoro pan ze mną rozmawia.

— Próbuję spać.

— Już chyba nie.

Drzwi się uchyliły i w szparze pojawiła się głowa chłopca.

— Słucham cię?

— Pomyślałem, że przyniosę panu wypieki mojej babci.

— Dzięki, ale nie mam ochoty na słodkości.

— Za późno, już przyniosłem. — Chłopak wszedł do pokoju i postawił na stoliku talerz z kilkoma kawałkami różnych ciast. — Babcia prowadzi kawiarenkę po drugiej stronie ulicy. Jeśli posmakują panu jej wypieki, to może pan się tam stołować i dać babci zarobić.

— Nie mam zamiaru wychodzić z pokoju.

Chłopiec, podobnie jak jego matka, wytrzeszczył oczy.

— Ma pan zamiar siedzieć w pokoju?

— Tak, taki mam zamiar — wycedził Artur przez zaciśnięte zęby. — I nie chcę, by mi przeszkadzano.

— Niedługo są święta.

— Wiem. Ale nic mnie to nie obchodzi.

— O losie!

— Co?

— Dziwny pan jest.

— Uszanuj zatem moją odmienność. A teraz cię przeproszę, potrzebuję chwili dla siebie.

Malec wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami, jakby nie zrozumiał aluzji. Po chwili jednak odzyskał głos.

— Mam sobie pójść?

Artur skinął głową.

Następnego dnia Artur zjadł śniadanie. Na szczęście w domu nie było tego natrętnego chłopaka. Kiedy o niego zapytał, Michalina odparła, że Bartek od samego rana biega po podwórku. „O bogowie” — pomyślał. „Dzięki wam, za ten dar ciszy i spokoju”.

Po śniadaniu Artur poszedł do siebie, dziękując im jeszcze w duchu, że kobieta również za dużo się do niego nie odzywała. Usiadł do komputera. Co prawda nie miał jeszcze internetu, ale postanowił dokończyć inną robotę. Koło południa usłyszał pukanie do drzwi.

— To ja.

— Kto?

— Bartek.

— Pracuję.

— Mogę na chwilę?

— Skoro musisz.

— Muszę.

W drzwiach pojawił się chłopiec ubrany w puchową kurtkę. Na głowie miał niebieską czapkę, a jego szyję opatulał szalik.

— Mamy bitwę śnieżną.

— Kto?

— My, dzieciaki, przeciwko dorosłym.

— I co?

— Pomyślałem, że może pan chciałby...

— Nie, nie chciałbym. Prosiłem, żebyś mi nie przeszkadzał.

— Przepraszam. — Chłopak odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Rany, gdzie on się znalazł? Czy w tym pensjonaciku nikt nie wie, że ludzie cenią sobie prywatność? Że kiedy się wynajmuje pokoje gościom, to nie można ich nagabywać? Wygarnie wszystko pani Michalinie, niech tylko ją spotka.

Artur miał ochotę jeszcze chwilę popracować, ale wiedział, że musi jak najszybciej kupić kartę do internetu. Wstał, zamknął laptopa, przeciągnął się, po czym otworzył szafę. Sięgnął po płaszcz. Włożył go, owinął szyję gryzącym wełnianym szalikiem, który zrobiła mu na drutach kilka lat temu jego była żona, i wyszedł z pokoju.

W saloniku siedział chłopiec i jego mama. Wycinali coś z kolorowego papieru.

— Robimy ozdoby choinkowe na sprzedaż — rzucił podekscytowany chłopak.

— Aaaa — westchnął Artur. Nie miał ochoty wdawać się w rozmowę.

— Może zechce się pan do nas przyłączyć?

— Wychodzę — burknął. — Ale wie pani co? Chciałbym z panią pomówić.
— Słucham? — Kobieta odłożyła nożyczki i wstała.
— Zaznaczałem, że cenię spokój i ciszę... — Spojrzał na nią. Michalina również utkwiała w nim spojrzenie. Miała piękne oczy o odcieniu kawy.
— I?
— Nic już. — Machnął ręką, po czym wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Kiedy Miśka i Bartek zostali sami, parsknęli śmiechem.

— Dziwny jest.
— Samotnik — westchnęła Michalina.
— Lubi pracować.
— Niektórzy mają taki sposób na życie.

Artur szybkim krokiem zmierzał w kierunku centrum miasteczka. W końcu dostrzegł sklep, w którym miał zamiar kupić kartę. Wszedł do środka z impetem. Sklep był dość duży. Pod jedną ze ścian stały lodówki z kartonami mleka, napojami, masłem i serami. Po prawej ustawiono kosze z pieczywem, a po przeciwnej półki na słodycze, paluszki, krakersy i puszki z jedzeniem dla zwierząt. W głębi sklepu wyeksponowano pamiątki z gór, obrazki, świeczki i kubeczki ze śmiesznymi napisami.

Za ladą stała starsza kobieta w stroju elfa i gawędziła z inną kobietą, zapewne klientką, która miała na głowie czapkę Świętego Mikołaja i długi czerwony płaszcz w gwiazdki narzucony na ramiona. Artur zamrugał kilkakrotnie. „O co tu, do cholery, chodzi?” Nie wierzył własnym oczom.

— Ho! Ho! Ho! — pozdrowiła go ekspedientka, a on stał oniemiały, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Dzień dobry — wydukał w końcu.
— Ho! Ho! Ho! Co pana do nas sprowadza?
— Chciałem kupić kartę mobilnego internetu.
— Ho! Ho! Ho! Oczywiście służymy pomocą.

Kobiety ryknęły śmiechem, a Artur postanowił czmychnąć między półki.

— To ja się jeszcze rozejrzę — rzucił w stronę kobiet. Złapał w ręce koszyk i skierował się w głąb sklepu. Chwycił karton mleka i włożył go do koszyka, a następnie dwa pudełka ciasteczek i czekoladę. Kiedy sięgał po kolejną czekoladę, u jego boku pojawiła się gromadka dzieciaków; odgrywały scenę objawienia Maryi cudownych wieści przez archanioła Gabriela.

— Ćwiczmy kwestię do jasełek — oznajmiła mu dziewczynka, która zapewne była Maryją. Miała złożone ręce i rozanieloną minę.

„Nie wierzę. Po prostu w to nie wierzę” — pokręcił głową Artur, po czym udał się do kasy. Poprosił o kartę do internetu.

— Nie wiem, czy ją panu sprzedam — odrzekła elfica.

— A to dlaczego? — Artur zmarszczył brwi.

— Bo internet to zło.

— Słucham?

— Zło. Dobrze pan słyszał. — Czerwone usta elficy poruszały się szybko. —

Zbliżają się święta, po co panu siedzieć przed komputerem?

— Droga pani, muszę pracować. — Irytacja Artura sięgała zenitu.

— A samotny pan jest?

— To jest moja prywatna sprawa.

— Bez żony i dzieci tak przyjechał — zawtórowała kobieta w gwieździstym płaszczu. — A z Michaliny ładna dziewczyna, oj ładna.

Artur nie miał ochoty wdawać się w dyskusję. Był tak poirytowany, że powstrzymywał się, by nie wybuchnąć. Zapłacił za zakupy. Wyszedł ze sklepu bez karty.

Miał ochotę na kieliszek koniaku. Przypomnił sobie, że gdzieś widział jakąś kawiarnię. Może tam sprzedają alkohol? Posiedzi w spokoju i ciszy, sącząc trunek.

Po kilku minutach marszu doszedł do „Cynamonowych Serc”. Wszedł do środka. Za ladą stała nobliwa starsza pani, ubrana w zwiewną sukienkę w kolorze wina.

— Dzień dobry.

— O, pan Artur — powiedziała ekspedientka z uśmiechem, niczym do starego znajomego.

— Poznaliśmy się?

— Nie. Ale miasteczko jest małe, wszyscy się znamy i...

— Wszyscy o sobie wszystko wiedzą.

— Nie wszystko. — Kobieta nie przestawała się uśmiechać. — Proszę usiąść, zaraz do pana podejść.

— A nie mogę złożyć zamówienia przy ladzie?

— Zaraz podejść.

Artur usiadł przy stoliku w głębi sali. Zdjął płaszcz i rozejrzał się po wnętrzu. Oczywiście nie zdziwiło go, że wystrój kawiarni był typowo świąteczny. Co ciekawe, nawet mu się spodobał. W wielkiej donicy przy wejściu stał rozłożysty kwiat, na którym wisały ptaszki uszyte z pastelowego materiału. Każdy ptaszek trzymał w dzióbku gwiazdkę. Na parapetach w doniczkach stały malutkie choineczki, udekorowane srebrnymi gwiazdkami i czerwonymi serduszkami. Dekoracja nie kłuła w oczy, a dodawała wnętrzu ciepła i jakiejś nostalgii. Artur uśmiechnął się pod nosem.

— Czym mogę służyć? — Przy stoliku pojawiła się starsza kobieta, przepasana się białym kelnerskim fartuszkiem.

— Nie widzę menu, a chciałbym się czegoś napić.

— Polecam gorącą czekoladę ze śmietankowymi pralinkami.
— Wolałbym coś z procentami.
— Chodzi o alkohol?
— Tak.
— Nie sprzedaję alkoholu. Ale Michalinka ma w spiżarce dobrą naleweczkę.
— Michalina?
— Miśka, moja wnuczka, ta, u której pan mieszka.
— To pani jest jej babcią? — Artur przypomniał sobie Bartka, który już pierwszego dnia pobytu uraczył go smaczными wypiekami.
— Tak, owszem. — Z ust kobiety nie zniknął uśmiech.
— To w takim razie zamówię czekoladę.
— A do czekolady?
— Muszę pilnować diety. Wie pani, w tym wieku...
— Powiem coś panu. Jestem od pana z dwadzieścia lat starsza i proszę mi wierzyć, życie za szybko mija, by rezygnować z takich pyszności jak słodycze.
— Hmm...
— Proszę mi tu nie wzdychać, tylko spróbować moich wypieków.
— Już próbowałem, są wyśmienite, ale... Dobrze. W takim razie...
— Zamówi pan półmisek łasucha.
— Półmisek łasucha?
— Dziesięć kawałków ciast i ciasteczek. Palce lizać. W końcu zbliżają się święta. A człowiek na święta powinien się trochę porozpieszczać.

Ile razy Artur słyszał o „zbliżających się świętach”. Od ładnych kilku dni świąteczna atmosfera go prześladowała. Nie czekając na odpowiedź, starsza pani zniknęła na zapleczu. Po chwili z głośników wydobyły się dźwięki świątecznych piosenek.

Kiedy Artur jadł ciasto, które notabene bardzo mu smakowało, do kawiarni zaczęli napływać goście. Wszyscy z uśmiechem witali się z babcią Michaliny. Weszła też elfica ze sklepu, która nie sprzedała mu karty, i jej koleżanka w gwieździstym płaszczu.

Kiedy go ujrzały, pomachały do niego. Artur nieśmiało odmachał.
— Pan tutaj? — Elfica podeszła do stolika.
— Jak widzę, pani też.
— Mam godzinną przerwę w sklepie.
— Chyba nie tylko pani. — Artur rozejrzał się po zgromadzonych.
— Tak, w okresie świątecznym wielu z nas robi sobie przerwę w okolicy południa. Taka nasza miasteczkowa sjesta. Bo nie samą pracą człowiek żyje. Trzeba też zjeść coś dobrego i napić się kawy.

Artur uśmiechnął się do elficy.

— Może i ma pani rację.

— Pewnie, że mam. Ho! Ho! Ho! — zaśmiała się na głos elfica.

Rozdział 8

Artur wyszedł z kawiarni pół godziny później. Był tak najedzony, że ledwo się ruszał, ale musiał przyznać, że wszystkie wypieki bardzo mu smakowały. Tak dobre ciasta jadł jako dzieciak, kiedy jeszcze żyła jego babcia. Przed pensjonatem zobaczył Bartka.

— Ulepi pan ze mną bałwana? — zapytał chłopiec.

— A ty nie w szkole? — odpowiedział pytaniem na pytanie Artur.

— Dzisiaj idę na popołudnie. I mam tylko trzy lekcje. Wie pan, przed świętami nauczyciele trochę odpuszczają.

— Aha...

— A jutro mam próbę do jasełek. Może przyjdzie pan do kościoła? Gram archanioła Gabriela. Nie to, że wierzę w anioły... — Bartek zaczął się tłumaczyć — ...ale w niego jakoś wierzę. A pan?

— Co ja?

— Wierzy pan?

— Nie jestem specjalnie wierzący.

— Bywa różnie... z tą wiarą.

— Zgadza się.

— Ale może pan wpaść. Po próbie śpiewamy wspólnie kolędy.

— Raczej nie.

— Dlaczego? — Chłopiec zmarszczył zabawnie nosek.

— Nie lubię kolędowania.

— A czemu?

— Po prostu.

— To nie jest odpowiedź.

— Dobra, kolego, zostaw mnie w spokoju. — Nie chciał być nieuprzejmy, ale miał już dość tego wszędobylskiego świątecznego nastroju, tysiąca pytań i rozmów nie wiadomo o czym.

Chłopiec wzruszył ramionami i zaczął toczyć kulę po śniegu.

Miśka w milczeniu podała kolację. Atmosfera przy stole była gęsta. Nawet Bartek, który zazwyczaj paplał jak najęty, tym razem siedział cicho. Jako pierwszy wstał od stołu, podziękował i poszedł do swojego pokoju. Michalina została sama z tym dziwnym człowiekiem. Chciała coś mądrego powiedzieć lub rzucić jakimś żartem, ale była zbyt spięta. Nałożyła na widelec kawałek kurczaka i zaczęła jeść.

Posiłek zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Może ona i Bartek powinni jeść osobno, nie z gośćmi? — zastanawiała się.

Po kolacji Michalina poszła do kuchni i zaczęła zmywać talerze. Gość przesiadł się na fotel i zapatrzył w ogień, który buchał w kominku. Kiedy Miśka skończyła, włożyła puchową kurtkę i wyszła na zewnątrz. Nie chciała przeszkadzać panu Arturowi, a najwidoczniej razem z bratem nieustannie wchodzili mu w drogę. Nie chciała, by gość obsmarował ją później w internecie. Powietrze było tak mroźne, że szczypało ją w policzki. Mimo to przyjemnie się tak stało i patrzyło w bezchmurne, rozgwieżdżone niebo. Westchnęła. Za plecami usłyszała skrzypnięcie drzwi. Nie odwróciła się. Po chwili u jej boku pojawił się Artur. Zapalił papierosa. Milczał, a dziewczyna poczuła się skrępowana.

— Lubi pani zimowe wieczory? — zapytał po chwili.

— Lubię i zimowe, i letnie. Wiosenne i jesienne.

— Wychodzi na to, że wszystkie?

— W każdym z nich jest jakiś urok.

— Taaak — westchnął przeciągle i zaciągnął się papierosem.

Dziewczyna wycofała się w stronę domu.

Artur poszedł na spacer. Po kilkunastominutowym marszu postanowił jednak chwilę odpocząć. Doszedł do placu przed zegarem. Odgarnął grubą warstwę śniegu z ławki i usiadł. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalniczkę. Palił okazjonalnie, ale dzisiejszego wieczoru miał ochotę puszczać dymki. Nie tak wyobrażał sobie ciszę i spokój. W ogóle nie mógł się skupić na pracy. Zaciągnął się papierosem, podniósł do góry wzrok i o mało co nie zakrztusił się dymem. Obok niego nie wiadomo skąd znalazła się grupa kołędników. Zupełnie jakby był głównym bohaterem komedii pomyłek, uciekającym przed świętami. Kołędnicy zaczęli śpiewać *Przybieżeli do Betlejem pasterze*. W żywym tempie, ile sił w płucach. Momentalnie zaczęli schodzić się ludzie i wtórować kołędnikom. Co i raz ktoś zerkał w stronę Artura. A on siedział na samym środku tego spektaklu i gapił się na zgromadzonych. Oni śpiewali, on palił. Poczul się głupio, bo coraz więcej par oczu było skierowanych w jego stronę.

— Ho! Ho! Ho! — O nie. Tego było już za wiele dla jego zszarganych nerwów. Skąd, u diabła, wzięła się tu elfica ze sklepu? Chwyła go pod ramię i postawiła do pionu. — Może pan z nami pośpiewa? — To nawet nie było pytanie, a nakaz.

— Yyyy. Niekoniecznie.

— Pasterzeeee! — wydarła mu się do ucha. — No już, młody człowieku, śpiewaj z nami!

Artur Niemecki, chcąc nie chcąc, dołączył do chóru kołędników. Mieszkańców Złotkowa przybywało. Wśród tłumu wypatrzył Miśkę i Bartka.

— Myślałam, że nie lubi pan świąt? — Miśka puściła do niego oko, kiedy zakończyli kolędowanie.

Niemecki wyminął ją i udał się w stronę domu.

Usłyszał za sobą śmiech.

„A niech ich wszystkich szlag!” — pomyślał.

Kawiarnia w niedzielę była zamknięta. To znaczy Zosia otwierała ją tylko po sumie, kiedy to ludzie, wracając z kościoła, wstępowali po „ciasto do obiadu”. Po dwóch godzinach zamykała „Cynamonowe Serca”. Niedziela była dla niej dniem odpoczynku. Wnuki coraz mniej jej potrzebowały, a i ona była coraz starsza i coraz mniej jej się chciało. Ta niedziela była mroźna, z nieba padały wielkie płatki śniegu. Zosia usiadła w fotelu, nakryła nogi ciepłym kocem i zaczęła rozmyślać. Jej głowa wypełniła się wspomnieniami. Kiedyś jej mama powiedziała, że im człowiek starszy, tym więcej wspomina. I ona w ostatnim czasie stała się jakaś bardziej nostalgiczna. Kiedy wypila herbatę z sokiem malinowym, wstała i ruszyła w stronę drzwi prowadzących do piwnicy. Ludwik, jej świętej pamięci mąż, zrobił piwnicę w domku gościnnym. Zapaliła światło i zeszła po skrzypiących schodach na dół. Stała przed pudłami, gdzie chowała rzeczy, do których miała ogromny sentyment. Otworzyła wieko jednego z pudeł. Zakaszła, kiedy uniosły się tumany kurzu. Wyjmowała po kolei stare fotografie, buciki i sukieneczkę, które miała na sobie Miśka w dniu chrztu. Stos pocztówek i listów obwiązanych wstążkami. Aż w końcu wyjęła fotografię córki. Poczula ukłucie w sercu. Miała trójkę dzieci. Jedna córka zmarła przy porodzie. Mirek urodził się trzy lata po śmierci siostry. A po kolejnym roku na świat przyszła Ilonka. Jej kochana córeczka, która odeszła zbyt wcześnie. Zosia westchnęła. Wzięła do rąk inną fotografię. Ślubną. Ona, młoda dziewczyna, i on, jej mąż, przystojny wówczas chłopak. Może zbyt szczupły, ale wciąż przystojny. Opuszkami palców dotknęła twarzy Ludwika. Przypomniała sobie ich rodzinne obiady. I że jej mąż siorbał rosół. I kiedyś ją to siorbanie tak denerwowało, a teraz wszystko by dała, żeby zjeść z Ludwikiem niedzielny rosół, nawet jeśli miałby siorbać.

Ludwiś zawsze dolewał do rosółu tyle maggi, że robił się jasnobrazowy. A potem obficie go pieprzył. Ale natki pietruszki to już nie chciał jeść. Kręcił głową na prośby żony, kiedy ta próbowała mu przemycić trochę „trawska”, jak nazywał pietruszkę.

Zośka wybuchnęła śmiechem. A jak on ją kochał. Ile to razy ni z tego, ni z owego łapał ją w pól i całował. Nawet jak byli blisko sześćdziesiątki, to też ją obcałowywał. I jajecznice robił na śniadanie. Ludwiś tylko umiał jajecznice zrobić, bo nawet wodę na herbatę przypalał. Ale ta jego jajeczniczka była taka dobra, robiona z sercem. Na boczusiu i cebulce. Och, jaki to był smak. Po wiejskie jajka

Ludwik na targ chodził.

I podszczypywał ją przy ludziach, to z boczku, to za kolanko. I śmiali się wtedy oboje. A ludzie kiwali głowami ze zrozumieniem. Niekiedy z zazdrością, że jeszcze jest między nimi taka miłość. Że dwoje ludzi w tym wieku może tak bardzo się kochać.

— Babciu! Babciu! Gdzie jesteś? — dobiegło ją wołanie.

— Na dole.

Usłyszała skrzypnięcie i tupot stóp.

Do piwnicy zeszła Miśka.

— Co tu robisz?

— Wspominam.

Zofia wyciągnęła w kierunku wnuczki stare zdjęcie.

— Ty i dziadziuś?

— Ja i dziadziuś.

Miśka zamknęła oczy; przypomniała sobie dziadków, gdy odnawiali przysięgę małżeńską. To było dwanaście lat temu.

Babcia w kremowej garsonce i dziadek ze srebrnymi włosami, w stalowym garniturze. Z trudem kroczyli do ołtarza. Dziadek wspierał się o laskę, a babcia o niego. Była wtedy po chorobie, która trzymała ją przez kilka tygodni. Dziadek był starszy od babci o szesnaście lat. Kiedy stanęli naprzeciwko siebie, spojrzeli sobie głęboko w oczy. Skrzypek zagrał *Ave Maria*. A Miśka z mamą nie kryły wzruszenia.

— Poznałam dziadka w kawiarni. Wraz z moją siostrą jadłyśmy lody. Wszedł twój dziadek z kolegami. I tylko na niego spojrzałam, i już wiedziałam, że chcę się z nim spotykać.

— Był taki przystojny?

— A gdzie tam. — Babcia machnęła ręką. — Chudy jak patyk, wysoki. Miał długie ręce. Ale kiedy na mnie spojrzał... On miał takie spojrzenie jak Robert Redford. Coś było w jego oczach... Jakaś melancholia. Od tamtej chwili byliśmy nierozłączni. Rozdzielił nas tylko mój pobyt w szpitalu. Dziadek nie mógł wtedy spać. Jakoś pusto mu było w naszym łóżku.

Babcia zachichotała.

Miśka przypomniała sobie ten szpital. Połamała się biedaczka, kiedy wieszala firanki. Zawieźli ją do szpitala. Lamentowała wtedy: „Ja nie mogę tu zostać... Nie mogę...”. „Dlaczego?” — dopytywała mama. „A jak Ludwik sobie poradzi beze mnie? No jak?” „Będziemy się nim opiekować” — zapewniła babcię. I kiedy przychodzili do niej w odwiedziny, ścisnęła rękę dziadka i pytała o jego zdrowie, samopoczucie, czy pojadł, czy mu niczego nie brakuje. To była miłość. A kiedy babcia wyszła ze szpitala, dziadek jeździł z nią na rehabilitację, a potem

wyjechali razem nad morze. Chodzili piaszczystą plażą na długie spacerunki, rozmawiali, śmiali się i... patrzyli sobie w oczy. Dziadek zawsze powtarzał Miśce, że wolałby umrzeć przed babcią, bo jeśli ją pierwszą zabrałaby ta „kostucha”, on nie dałby rady dalej żyć. Odszedł pierwszy.

Miśka spojrzała na babcię. Była zanurzona we wspomnieniach. Istniał w nich świat, którego Miśka nigdy nie zobaczy.

— Babciu... opowiesz o waszym ślubie?

— Była zima, bardzo mroźna. Z nieba płatami sypał śnieg. Moja mama powtarzała, że to nie jest dobry czas na ślub. A my chcieliśmy wziąć ślub w drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia. Chcieliśmy jak najszybciej się pobrać. Nie mieliśmy za dużo pieniędzy, więc na wszystkim oszczędzaliśmy i kombinowaliśmy, ile się dało. Przyjęcie zorganizowaliśmy w domu rodzinnym. W jednym pokoju ustawiono stoły w podkowie, drugi był salą do tańców. Na wesele zaprosiliśmy tylko rodzinę, a i tak był to spory tłum. Pięćdziesiąt osób. Tatuś na miesiąc przed weselem pojechał do swojego brata. Zabili prosiaka i z mięsa zrobili przetwory. Ciocia Jasia, niech spoczywa w spokoju — babcia uczyniła znak krzyża — już tydzień przed weselem piekła ciasta. A ja przerabiałam maminią sukienkę. Była piękna, falbaniasta, z długim trenem. Musiałam ją trochę skrócić, bo mama była ode mnie kilka centymetrów wyższa. A dziadek wyglądał bardzo przystojnie. Ojciec poszedł z nim do krawcy, żeby uszył mu garnitur na miarę. Stalowy. Pasował do jego chmurnych oczu. Oboje byliśmy bardzo zdenerwowani. Ślub był dla nas bardzo ważną uroczystością. A może dawniej inaczej się do tego wszystkiego podchodziło? Przysięgaliśmy sobie miłość i wierność nie na chwilę, a na całe życie.

Miśka spojrzała na babcię. Zosia miała łzy w oczach. Michalina rzadko widziała babcię rozrzewnioną czy płaczącą. Raz, kiedy pochowała dziadka, drugi raz, kiedy odchodziła jej córka. Ale kiedy jeszcze odwiedzały mamę w szpitalu, babcia była silna. Ktoś musiał być, bo ona, Miśka, cała dygotała. Kiedy mama była słaba, babcia była silna, jakby chciała oddać trochę siły mamie. Kiedy mama upadała na duchu, babcia wierzyła. Do samego końca miała nadzieję, że jakimś cudem mama wyzdrowieje. Babcia była jak lwica walcząca o swoje małe. Chodziła od lekarza do lekarza, wierząc, że któryś powie jej, że jest szansa dla jej córki. Przynosiła im swoje ciasta, które piekła po nocach. „Taka łapówka” — mówiła do wnuczki. Stawała na rżęsach, by coś zrobić. Babcia nie pozwalała mamie myśleć, że umiera. Może to trochę było nie fair wobec mamy, ale dzięki temu mama była uśmiechnięta do końca. Gdybyśmy tam wszyscy siedzieli i ryczeli, mama umarłaby smutna. A tak wiedziała, że mamy radę. Że nie zostawia Miśki i Bartusia samych, bo jest lwica, ta nasza babcia. Kobieta waleczna.

Miśka patrzyła z czułością na babcię, która już o piątej rano przynosiła wnukom ciepłe bułeczki, żeby mieli na śniadanie. Tyle miłości miała w sobie ta

kobieta. Miśka pamiętała, że kiedyś, przez krótką chwilę, chciała mieć taką babcię, jaką miała Julka. Julka była jej koleżanką z podstawówki. Babcia Julki zawsze przysyłała wnuczce odlotowe prezenty. Rzadko się widywały, bo babcia wolała jeździć na zagraniczne wycieczki niż spędzać czas z wnukami. Ale za to obdarowywała wnuki najpiękniejszymi prezentami. Nie to, co babcia Zosia. Babcia Zosia czytała jej bajki, tuliła ją do snu, kiedy mama z tatą szli do kina. Opowiadała różne historie. Piekła dla niej ciasta. Bawiła się z nią. Julkowa babcia była modnie ubrana, miała taką gładką skórę, chodziła na wysokich obcasach. A babcia Zosia wydawała się Miśce zawsze stara i niemodna. Odkąd pamięta, zawiązywała chustkę na głowie. Oj, jak ta chustka Miśkę drażniła. Kiedyś zaprosiła do domu Julkę. Nie pamięta, dlaczego nie było rodziców w domu, a może była tylko mama, a tata ruszył w świat? W ciągu tych dwóch dni, które Julka u niej spędziła, babcia się nimi opiekowała. Bawiła się z nimi, wymyślała konkursy, opowiadała straszne historie, które zapierały dziewczynkom dech w piersiach. Kiedy w niedzielę wieczorem Julka pakowała się do domu, powiedziała do Miśki:

— Jaką ty masz odlotową babcię. Wiesz co ja bym dała, żeby moja babcia się ze mną pobawiła?

— Jak, to? Twoja babcia się z tobą nie bawi? — odparła zdziwiona.

— Nie. Nie bawi. Nie spędza ze mną czasu. — Julka nie potrafiła ukryć smutku w głosie.

— Ale przysyła odlotowe prezenty?

— I co mi po tych prezentach? To są tylko bezwartościowe rzeczy, Miśka. Bezwartościowe rzeczy.

Dziewczyna zrozumiała to później, kiedy tata wyjechał na dobre. Prezenty nie zastąpią niczyjej obecności, śmiechu, dotyku, rozmowy czy przytulańca. Czasami Miśka spotyka babcię Julki; kobieta nadal chodzi na wysokich obcasach, ma różowe tipsy, naciągniętą twarz. Jest smutna. Wnuki i dzieci jej nie odwiedzają...

Rozdział 9

„Deptak nad strumykiem w Złotkowie to takie nostalgiczne miejsce” — pomyślała Miśka. Lubiła tam chodzić, szczególnie w zimie. Szare, kłębiaste chmury, które wisiały nisko, odbijały się w srebrzystym, przymarzniętym strumyku otoczonym wielkimi zaspami śniegu. W tym roku, na przekór prognozom, spadło go dość sporo. Wydychane powietrze zmieniało się w kłębuszki pary. Śnieg chrząścił pod ciężarem każdego stąpięcia. Miśka lubiła swoje poranne spacerunki. Czasami specjalnie nadkładała drogi, byle tylko przejść się deptakiem wzdłuż strumyka. Dzisiaj wracała do domu z zakupami. Zauważyła go od razu. Biegł w jej stronę. Miał mocne nogi i czapkę nasuniętą niemal na oczy. „Czy on coś widzi?” — zastanawiała się. Wyglądał tak, jakby się ukrywał. Nie powinno jej to dziwić, przecież ten facet nie lubił towarzystwa. Kiedy się zrównali, skinął jej głową.

— Dzień dobry! — Miśka uśmiechnęła się do Artura. Nawet nie przystanął. Co za gbur. Wkurzał ją, a jednocześnie intrygował. I musiała sama przed sobą przyznać, że bardzo jej się podobał.

Następnego dnia Miśka znów szła wzdłuż strumyka. Specjalnie wybrała się na spacer, żeby zobaczyć Artura podczas porannego treningu. Kiedy zobaczyła, że wylania się z pobliskiego parku, uśmiechnęła się. Poczowała narastające napięcie. Wyprostowała się niczym struna. On w tym samym czasie był już bliżej. I kiedy spojrział na nią, poślizgnął się i upadł. Miśka podbiegła do niego.

— Wszystko w porządku? — zapytała.

— To przez panią.

— Przeze mnie? Jak to przeze mnie?

— Łazi pani za mną.

— Oj, wypraszam sobie. Łażę tędy od lat. Skąd mogłam wiedzieć, że wybierze pan właśnie tę drogę do swojego joggingu?

— Ałaaa!!! — jęknął.

— Niech pan nie przesadza. Jest większy ból na tym świecie.

— Jaki? — syknął mężczyzna.

— Na przykład porodowy.

— Co mi tu pani z bólami porodowymi? Niech to szlag! — Machnął ręką.

— Czy coś się panu stało?

— Moja kość ogonowa. — Mężczyzna potarł dłonią plecy.

— Stukł pan sobie zadek, ale będzie pan żył. — Miśka wyciągnęła do niego

rękę.

Złapał za nią i się dźwignął.

— Może powinien pan pojechać do szpitala, na prześwietlenie?

— Powiniennem wrócić do pokoju i wziąć prysznic. Nic mi nie jest. To przecież nie bóle porodowe — rzucił, a Miśka zaśmiała się z jego przytyku.

— Mam w domu takie kółko pompowane.

— Kółko pompowane?

— No, żeby pan na nim sobie usiadł, kiedy będzie pan pracował. Wie pan...

— Miśka nie mogła już dłużej utrzymać powagi. Zaczęła się tak śmiać, że łzy spływały jej po policzkach.

— Nie będę siedział na żadnym pompowanym kółku.

Wyminął ją i pokuśtykał w kierunku Miśkowego domu.

— To nie! — Miśka ponownie wybuchnęła śmiechem.

„Twardy z niego gość” — pomyślała. „A jaki przystojny...”

Bartek usiadł obok Miśki i oparł głowę na jej ramieniu. Siostra dotknęła jego policzka.

— To co? Piszemy? — zapytała brata.

Odkąd Bartek zaczął pojmować świat, wspólnie z Miśką pisali list do mamy. Inne dzieci o tej porze roku kreśliły listy do Świętego Mikołaja. A oni do mamy.

— Sam nie wiem. — Bartek wzruszył ramionami.

— Dlaczego?

— Po prostu tego nie czuję.

— Nie czujesz się dobrze z tym, że piszemy listy do mamy?

— Nie znałem jej. Jedyłą mamę, jaką znam, jesteś ty — odpowiedział szczerze.

— Tak. Wiem. — Miśka poczuła, jak ogarnia ją wzruszenie. — Ale to dzięki mamie przyszedłeś na świat. Ona tak bardzo cię kochała.

— Ale przecież nie za dobrze mnie znała. Umarła, jak miałem pół roku.

— To wystarczy. Nie chcę cię do niczego zmuszać. Ja mamę znałam i dlatego chcę to robić. Może dlatego jest mi łatwiej. Ale jeśli ty nie chcesz...

— Jaka była? — Bartek pytał o to Miśkę już tyle razy.

— Radosna, porywcza, świrnięta. Kochana.

— Taka jak ty?

— Fajniejsza.

— Nikt nie może być fajniejszy od ciebie.

— Uwierz mi, może. Mama. Buzia jej się nie zamykała. Gadała niemal bez przerwy.

— Więcej ode mnie?

— Więcej ode mnie i ciebie razem wziętych.

— To naprawdę musiała być fajna. O czym gadała?

— O ptaszku, który ją obudził rano swoim śpiewem, o cieście drożdżowym, które tak wyrosło, że wypłynęło z miski, o uczuciach, o tym, że trzeba pomagać innym ludziom, że nie wolno gapić się bez przerwy w telewizor, bo tam głupotki niekiedy gadają. A jak się śmiała, to tak, że łyzy kapały jej po policzkach. Mama nauczyła mnie szyć, wycinać, dekorować. Ile to serc i gwiazdek wykroiliśmy z resztek materiału, a potem je wypchałyśmy i obwiesiłyśmy nimi naszą choinkę. Aż gałązki się uginały. Ile aniołów z masy solnej zrobiliśmy. Mama kochała anioły, może dlatego, że sama miała anielską duszę. Nie umiała robić nic na pół gwizdka. Ona nawet gwizdała na dwóch palcach.

— Serio? Jak chłopak?

— Jak chłopak.

— A tatuś?

Miśka przełknęła ślinę. Wiedziała, że Bartek bardzo potrzebuje ojca. Mamę mogła mu zastąpić, ale taty raczej nie.

— *Niektórym ludziom należy pozwolić podążać własnymi ścieżkami.*

— *Nie rozumiem.*

Miśka ponownie dotknęła ciepłego policzka brata.

— *Ja też nie zawsze rozumiem. Staram się, ale nie zawsze mi to wychodzi.*

Tej nocy Miśka nie mogła zasnąć. Długo wierciła się na łóżku, aż w końcu wstała i zeszła do salonu. Zapaliła świece i okryła się kocem. Kiedyś mama powiedziała jej: „Wszyscy jesteśmy ulepieni z jednej gliny, w środku której bije złote serce. A ta glina to nasz pancerz ochronny, budowany latami z nieczułości, arogancji, złych doświadczeń, drobnych zranień. Boimy się, żeby ktoś nie ukradł nam tego naszego złotego serca”.

Miśka siedziała wtedy z mamą na tarasie, popijały herbatę z cytryną. Mama była w ósmym miesiącu ciąży. Choroba postępowała, a ona coraz gorzej się czuła. Tamtego dnia jednak dużo się uśmiechała.

— Tyle chciałabym ci jeszcze przekazać — odezwała się do córki. — Ale najważniejsze, o czym musisz pamiętać, to żeby być sobą. Nie daj się innym ludziom, którzy nieraz na pewno powiedzą, że z tobą jest coś nie tak. Bo przecież znajdą się tacy, którym coś w tobie nie będzie pasowało. Przeczytałam kiedyś, że ludziom niekiedy przeszkadza trzepot anielskich skrzydeł. Tak to już jest. Ale ty masz się nie dawać. Masz kroczyć swoją ścieżką i nie słuchać złych doradców. Pamiętaj, że na całym świecie nie ma drugiej takiej jak ty.

— Czyli jestem wyjątkowa?

— Jeszcze w to wątpisz? Twoje marzenia, wyobrażenia, wizja świata, twoje ciało, myśli, spostrzeżenia... to wszystko jest niepowtarzalne, twoje. Zapewne popełnisz w życiu kilka głupstw. A kto ich nie popełnił? Zapewne nieraz będziesz

się na siebie wkurzać. Nieraz wylejesz morze łez. Ale to wszystko będzie twoje i czegoś cię nauczy. A czasami nie. Niekiedy kilka razy się podtopisz, niekiedy wywalisz na tym samym zakręcie trzeci czy któryś tam raz. Niekiedy zaufasz niewłaściwej osobie. Ale takie właśnie jest życie. niesprawiedliwe? Sprawiedliwe, pewnie, że tak... Czegoś musimy się od tego życia nauczyć. Czasami nie zgodzimy się z tymi naukami. Pamiętaj, że wiele potrafisz i wiele możesz. Nigdy nie przestawaj słuchać swojego serca.

— Mamuniu, skąd tyle wiesz? Jesteś bardzo mądra.

— To dzięki twojemu dziadkowi. Był prostym człowiekiem, ale niesłychanie mądrym życiowo. Pamiętasz, jakim był gadułą? Miał swoje zdanie na różne tematy. Mimo iż czasami się z nim nie zgadzałam. „Masz prawo” — mówił. „Szczęście — powtarzał mi do znudzenia — to nie posiadanie i branie. To bycie. To nasze jestestwo, nasze postępowanie sprawia, że jesteśmy szczęśliwi albo nie. To rodzina. Nieważne, co się w życiu stanie, rodzina jest fundamentem wszystkiego”.

— Mądry był ten nasz dziadziuś.

— Tak, tak... Nie wiem, co się ze mną stanie, ale chcę, byś o tym wszystkim pamiętała. I chciałabym, żebyś wpoila te wartości Bartkowi. Wiem, że będzie to dla ciebie trudne, ale pamiętaj, nie jesteś sama. Masz rodzinę: babcię Zosię, Bartusia i tatę.

— Znasz tatę. — Miśka prychnęła.

— Znam. Ale to wciąż twój tata. On kiedyś wróci... Zobaczysz, wróci do was na zawsze.

Miśka poczuła, jak jej powieki opadają. Zdmuchnęła świece. Na palcach weszła do pokoju Bartka. Spał zwinięty w kłębek. Zasympiał tak od drugiego roku życia. Oddychał równo. Miśka dotknęła jego główki. Czas tak szybko mijał. Tyle razem przeżyli. I Michalina doskonale pamiętała te nieprzespane noce, kiedy w duchu klęła, na czym świat stoi, by już zasnął. A teraz ile by dała za to, żeby cofnąć czas. By te małe rączki ją objęły, by braciszek wtulał się w nią niczym miś koala. Tęskni za zabawą w kangurzyce. Ona, mama małego kangurka, nosiła swojego synka w torbie zrobionej z koca. I mały kangurek Bartuś tulił się do jej brzucha. A teraz... jest już niezależnym małym mężczyzną. Żywym srebrem. Ma czasami swoje humorki, ale i pokłady niespożytej energii. Miśka odnosiła wrażenie, że ostatnio za rzadko się widywali, za mało rozmawiali, bo szkoła, bo koledzy, bo ona nie była już w jego życiu taka ważna... I w jednej chwili dziewczyna poczuła dojmujący smutek. Musiała się nerwowo poruszyć, bo zaskrzypiały sprężyny. Bartuś otworzył oczy i odruchowo złapał siostrę za rękę. Poczuła ciepło jego spoczonej dłoni. Chłopiec po chwili znów oddychał równo, a ona uśmiechnęła się pod nosem. Jak dobrze, że go ma. Jak dobrze...

Nie wiedzieć czemu Miśce przypomniało się pewne zdarzenie. To było trzy lata temu, tuż przed świętami, pierwszy rok, w którym Bartek dowiedział się, że Święty Mikołaj nie przynosi prezentów. Chłopczyk był rozczarowany, ale powiedział dzielnie: „Muszę pogodzić się ze smutną prawdą”. Miśka długo się zastanawiała, czy mu o tym powiedzieć, ale niemal wszystkie dzieciaki dookoła już wiedziały, że Świętego Mikołaja nie ma, tylko jej brat nie był uświadomiony. Tamtego roku dostał od babci pieniążki. Chłopiec uznał, że sam kupi sobie prezent. Od kilku miesięcy męczył Miškę, że chce mieć psa.

— Czy ty wiesz, że pies to nie zabawka? I ile jest przy nim roboty?

— Będę wstawał o piątej rano i wychodził z nim na spacer. Cesał go, chodził z nim do weterynarza, obcinał mu pazury. Słowo harcerza.

— Przecież ty nie jesteś harcerzem.

— Oj, Miśka, nie czepiaj się szczegółów. Przyrzekam.

Kobieta westchnęła.

W tym czasie dwa domy dalej oszczeniła się suczka. We dwójkę poszli do sąsiada.

— To, że zobaczymy małe, nie znaczy, że od razu kupimy pieska — zastrzegła Miśka.

Bartek w ogóle jej nie słuchał, podskakiwał niczym mały kangurek. Był bardzo podekscytowany.

Kiedy weszli do środka, Bartek od razu podszedł do koszyka, w którym leżała suka i jej maleństwa. Wszystkie szczeniaki były dość ruchliwe i żwawe, oprócz jednego rudego, który osamotniony leżał sobie w kąciuku.

— Co mu jest? — Bartek wskazał na nieboraka.

— Ostatni z miotu. Słabiutki. Ma chorą nóżkę i biodro. Byłem z nim u weterynarza i... — Stary Chojnowski wzruszył ramionami.

— On umrze? — Bartuś otworzył szerzej oczy.

— Najprawdopodobniej tak.

— Ale teraz żyje.

— Żyje, ale jest bardzo słabiutki. Może chcesz zobaczyć tego czarnego, popatrz, jaki rozbrykany łobuziak. — Mężczyzna złapał za grzbiet czarnego szczeniaka. Ale Bartek w ogóle nie zwracał na niego uwagi; wpatrywał się w rudy kłębek.

— Chciałbym kupić tego rudaska.

— On jest chory.

— I co z tego? Czy to znaczy, że jest gorszy? — Miškę zaskoczyły słowa brata. Mówił dobitnie, twardym, choć piskliwym głosem.

— On nigdy nie będzie biegał ani skakał...

— I właśnie dlatego potrzebuje kogoś, kto go będzie kochał.

Wyszli od Chojnowskiego z rudym szczeniakiem. Miśka patrzyła na brata z

podziwem. Była z niego dumna, i z siebie też. Dobrze go wychowała.

Rudasek, bo tak ostatecznie nazwali psiaka, mimo iż schorowany, psocił jak szalony i wbrew prognozom weterynarza zaczął nawet biegać. Na trzech łapkach, z jedną podkuloną, ale mimo to wcale nie był wolniejszy od innych piesków. Co to, to nie. Biegał jak wariat po podwórku i gdy wychodził na spacer. Któregoś dnia Bartek wparował do domu.

— Rudasek zniknął! — wykrzyknął.

— Jak to zniknął? — Miśka się przestraszyła. Też pokochała pieska.

— Bawiłem się z Michałem, Rudasek skakał obok nas i nagle zniknął.

Miśka złapała kurtkę i wybiegła z Bartkiem na poszukiwanie psa. Nie uszli daleko, kiedy zobaczyli, jak naprzeciwko nich kroczy Rudasek. Trzymał coś w pysku. Kiedy do nich doszedł, pochylił łeb i położył przed nimi mysz.

— Mysz?

— Rudasek, no co ty? W kota się bawisz?

Łobuz zaszczekał, jakby był dumny z efektów swoich łowów. A to, co się wydarzyło miesiąc później w Wigilię, jedynie potwierdziło, że Miśka dobrze zrobiła, biorąc do siebie psiaka.

Bartek wyznał jej, że o północy Rudasek przemówił ludzkim głosem. Powiedział mu, że chłopiec ma rodzinę.

— Wiesz, Miśka, ja do tej pory tak w to nie wierzyłem. Przecież nie mam mamy i taty, ale Rudasek... On mi powiedział, że ty i babcia, i on tworzymy rodzinę. To prawda?

— Tak, kochanie. Jesteśmy rodziną i nigdy nie możesz w to wątpić.

— No, ba. Rudaskowi to ja zawsze wierzę.

Rozdział 10

Anastazja wpadła do kuchni jak burza.

— Cześć, kochana! — Wyciąowała kuzynkę w oba policzki.

— Cześć.

Nastka ciężko opadła na taboret. Rozpięła płaszczyk i westchnęła.

— Co mi nic nie mówisz?

— Ale o czym?

— Że w twoim domu mieszka takie ciacho.

Miśka zaczęła się śmiać.

— Już ci o nim donieśli?

— Nie musieli mi mówić. Widziałam na własne oczy.

— Ładniutki i gbur.

— Już ja bym go rozruszała.

— Wątpię. Pracuje od świtu do nocy. Poza tym chyba ma żonę.

— A gdzie ona jest?

Miśka wzruszyła ramionami.

Anastazja była najbliższą kuzynką Miśki. Trochę postrzeloną. Piękną. Lekkomyślną. To ona potrafiła zawsze rozśmieszyć Miśkę, kiedy ta była w dołku. To ona wyciągała ją na zabawy, kiedy Miśka zagrzebała się w pieluchach. „Babcia powiedziała, że zajmie się Bartusiem. Chodź. Rozerwiesz się. Może kogoś poznasz?” — mówiła do niej kilka lat temu. Miśka nie miała ochoty na zawieranie bliższych znajomości z facetami. Po śmierci mamy szybko dojrzała. I od tamtej pory to Bartek i dom byli dla niej najważniejsi. Anastazja tego nie rozumiała. Kuzynka była kochliwa. Bywały czasy, że co miesiąc chodziła z innym chłopakiem. Miśka nie osądzała jej, ale wiedziała, że ona by tak nie potrafiła. A przede wszystkim na pewno by nie chciała.

Kiedy Bartuś miał cztery lata, Anastazja wpadła do -Miśki jak zwykle bez zapowiedzi.

— Dzisiaj niedziela, babcia ma wolne, więc idziemy na kawę.

— Nie chce mi się.

— Wyglądasz jak kloszard. Weź prysznic i spróbuj doprowadzić się do porządku.

Miśka włożyła dzinsy i obcisły czarny top. Kuzynka stwierdziła, że przypomina śmierć, dlatego postanowiła zrobić jej makijaż.

— Teraz wyglądam jak przydrożna dziwka — zawyrokowała Miśka, kiedy

Nastka skończyła ją malować.

Anastazja wydeła usta.

— Według mnie wyglądasz bosko.

Miśka wytarła w chusteczkę krwistoczerwone usta. Podkreślone oczy bardzo jej się podobały, ale takie usta to już było dla niej za wiele.

Pojechały do Sadowej, miejscowości oddalonej od Złotkowa o pięć kilometrów. Weszły do kawiarni. Anastazja machnęła ręką w stronę grupki młodych mężczyzn.

— O nie, ty znowu swoje. Chcesz mnie swatać? — Już nie pierwszy raz Nastka wyciągała gdzieś Miśkę, a potem niby przypadkiem spotykała jakiegoś swojego znajomego, którego jej przedstawiała w nadziei, że kuzynka poczuje do niego mięty.

— Nie, kochana, chcę ci zapewnić rozrywkę.

Miśka przewróciła oczami.

Przy stoliku siedziało czterech chłopaków i jedna dziewczyna. Dosiadły się do nich.

Towarzystwo śmiało się i gadało o rzeczach, które Miśki nie interesowały. Dziewczyna popijała sok i w ogóle się nie odzywała. Marzyła tylko o tym, by z powrotem znaleźć się w domowych pieleszach. Naprzeciwko niej siedział barczysty chłopak. Miał na sobie koszulkę, która odsłaniała ramię z wytatuowanym smokiem, przenikliwe spojrzenie i pewny siebie wyraz twarzy. Od takich jak on Miśka trzymała się z daleka. Tacy jak on nie interesowali się Miśką. A mimo to co i raz ich spojrzenia krzyżowały się nad stolikiem. Kiedy Miśka poszła zamówić kolejny sok, barczysty chłopak stanął za nią.

— Cześć. — Jego ciepły oddech owiał jej szyję.

— Cześć.

— Carlos — przedstawił się.

— Michalina. Carlos to... twój pseudonim artystyczny?

Chłopak zaśmiał się gardłowo.

— Raczej pseudonim z podwórka.

— Z piaskownicy?

— Jak zwał, tak zwał.

*

Godzinę później zmienili lokal. Poszli do klubu. Muzyka zagłuszała rozmowy. Miśka wypijała kilka drinków. Carlos nie odstępował jej na krok. O dziwo, Miśce to nie przeszkadzało. Dziewczyna śmiała się i żartowała. W pewnej chwili Carlos wyciągnął w jej kierunku rękę.

— Zatańczymy? — zaproponował.

— Chętnie.

Akurat puścili jakiś wolny kawałek. Carlos obrócił ją w tańcu i wygiął do tyłu tak mocno, że jej włosy dotknęły parkietu. Potem jednym ruchem postawił ją do pionu. Jego dłonie objęły ją w talii. A ona poczuła się fantastycznie.

Nad ranem chłopcy odprowadzili dziewczyny do samochodu.

— Spotkamy się jeszcze? — zapytał Carlos.

— To skomplikowane.

— Tylko mi nie mów, że jesteś mężatką?

— Nie. — Miśka uśmiechnęła się do niego.

— Żadne przeszkody nie są mi straszne.

— Tak przypuszczałam. — Puściła do niego oko.

— A więc?

Miśka nie odpowiedziała. Wsiadła do samochodu, zamknęła drzwi i pomachała do niego.

„Było miło, ale się skończyło” — pomyślała.

W drodze do domu Anastazja kątem oka spojrzała na Miśkę; kuzynka szczerzyła się jak głupia.

— Tylko uważaj.

— Na co?

— Nie na co, a na kogo.

— Na kogo?

— Na Carlosa.

— Coś z nim nie tak?

— To nie jest facet dla ciebie.

— To po co mi go przedstawiałaś?

— Bo wiedziałam, że z nim nie będziesz się nudziła. Rozerwiesz się, zapomnisz o problemach, a potem wrócisz do swojego życia. Wiesz, jedna noc i tyle.

— Mam ci dziękować?

— Masz się nie zakochiwać w Carlosie.

— A co? Ma jakiś defekt?

Anastazja się roześmiała.

— Oj, Miśka, Miśka... Jak ty mało wiesz o życiu.

Michalinę dotknęły te słowa. Postanowiła już nie rozwijać tematu.

Dwa dni później odebrała telefon.

— Cześć, to ja — usłyszała w słuchawce znajomy głos.

— Co za „ja”? — Udawała, że nie rozpoznaje.

— Carlos.

Dziewczyna poczuła, jak w jednej chwili jej serce przyspieszyło, a twarz oblała się rumieńcem.

— Skąd masz mój numer?

— Nie pytaj.

— Anastazja?

— Nie ważne skąd. Nie cieszysz się, że dzwonię?

— To miłe. — Miśka usiadła w fotelu. Uśmiechnęła się do siebie.

— Co robisz?

Dziewczyna rozejrzała się. Właśnie zamierzała przyrządzić obiad dla siebie i Bartusia. Chłopiec siedział na podłodze i budował garaż z klocków.

— Obiad. Opiekuję się Bartusiem.

— Czy Bartuś jest twoim chłopakiem?

— Nie. Dzieckiem. — Nie zamierzała owijać w bawełnę.

— Jesteś samotną mamą?

— Powiedzmy.

Miśka pomyślała, że po takim wyznaniu Carlos się rozłączy. Chłopak jednak kontynuował rozmowę.

— A co powiecie na to, żebyśmy pojechali razem na obiad?

— We trójkę?

— Tak.

— Tylko że zanim przyjedziesz...

— Stoję pod twoimi drzwiami.

— Żartujesz?

— Otwórz.

Miśka podeszła do drzwi i otworzyła je. Na progu stał Carlos.

— Ooo...

Chłopak uśmiechnął się do niej.

— Możesz to nazwać prześladowaniem, ale nie mogłem o tobie zapomnieć.

Miśka wybuchnęła śmiechem. Jeszcze żaden chłopak tak o nią nie zabiegał. Ba. Miśka do tej pory miała tylko jednego chłopaka. Ale to było całe wieki temu.

Godzinę później znaleźli się w małej restauracji, w której był też kącik zabaw dla najmłodszych dzieci. Stała tam tablica i leżały kawałki kredy. Na podłodze walały się klocki, a w dużych pojemnikach była plastelina. Carlos zaprowadził tam Bartka i przez chwilę razem się bawili. O dziwo, malec chyba polubił osiłka, bo cały czas wybuchał niekontrolowanym śmiechem. Po kilku minutach Carlos dołączył do Miśki.

— Na co masz ochotę? — zapytał.

Dziewczyna roześmiała się. Miała ochotę na niego. Jakkolwiek to brzmiało.

- Na coś konkretnego.
- Mają tutaj dobrego schabowego i frytki.
- Może być. Z frytkami i surówką.
- A dla Bartka?

Ujął ją tym, że zapytał o jej braciszka.

- Frytki i wodę.

Złożyli zamówienie. Zjedli w ciszy, a potem popijali kawę. Bartek rysował kredą po tablicy.

- Dlaczego się ze mną umówiłeś? — Michalina odgarnęła włosy do tyłu.

- Bo mi się podobasz.

- I to jedyny powód?

- A to mało?

Uśmiechnęła się.

- Intrygujesz mnie. Wydajesz mi się ciekawą osobą.

- Będę z tobą szczerą.

- Tak? — Przekrzywił głowę i spojrzał na nią przenikliwie.

— Nie mam czasu na randki. Muszę zajmować się Bartkiem. Pomagam babci w kawiarni. Więc sam widzisz...

- Możemy we trójkę chodzić na spacer, do kawiarni, oglądać bajki.

- Nie dajesz łatwo za wygraną.

— Jeśli mi na czymś zależy, nie odpuszczam. A takiej dziewczyny jak ty nigdy nie spotkałem.

Miśka myślała, że za chwilę serce wyskoczy jej z piersi. Dawno nie słyszała tylu komplementów naraz. Jeszcze chwila i wstanie, by rzucić mu się na szyję.

- Każdej to mówisz?

- Nie, tylko tobie. Tylko tobie... — powtórzył.

Kiedy Miśka wróciła do domu, zadzwoniła do kuzynki.

— Słuchaj, nie chciałam ci o nim za dużo opowiadać, ale ... to typek spod ciemnej gwiazdy — zaczęła Nastka, wysłuchawszy opowieści Miśki.

- Skąd wiesz?

- Ludzie gadają.

- Ludzie gadają wiele rzeczy...

— Tak, to prawda. Ale nie ufałabym mu. Jest... — Anastazja szukała odpowiednich słów. Nie chciała mówić Miśce wprost, że Carlos miał już wiele dziewczyn. Bardzo wiele. — No, jest kochliwy.

- Ty też.

- Miśka, daj sobie z nim spokój.

- A może się zmieni? Jest czarujący.

- Bo chce cię zdobyć. Powiem tak: zanim rozłożysz przed nim nogi, a

potem się zaangażujesz, sprawdź go. Daj mu na wstrzymanie i uważaj.

Miśka zaczerwieniła się po same koniuszki uszu.

— A kto tu mówi o rozkładaniu nóg?

— Dziewczyno, ja znam życie.

Miśka próbowała zapomnieć o Carlosie na wszystkie możliwe sposoby, ale on jej tego nie ułatwiał. Obsypywał kwiatami, zabierał na przejażdżki i spacer.

— Czym się zajmujesz? — zapytała go, kiedy po kolejnej randce siedzieli pod jej domem w samochodzie.

Carlos pociągnął łyk soku.

— Znasz takie powiedzenie, że im mniej wiesz, tym dłużej żyjesz?

— Skoro się z tobą spotykam, to po prostu chcę wiedzieć.

Roześmiał się.

— Jestem właścicielem siłowni. Kilku.

— To dochodowy interes?

Carlos jakby się spał.

— Jak widać. — Wskazał głową na deskę rozdzielczą nowej beemki.

Miśce nigdy nie imponowały kasa czy najnowszy model samochodu. Mama wychowała ją inaczej. Ale imponowało jej to, że taki facet jak Carlos zwrócił na nią uwagę i wyraźnie o nią zabiegał.

— Coś jeszcze chciałabyś wiedzieć?

— A skąd ten „Carlos”?

— Mam hiszpańską urodę.

Roześmiał się. Ale Miśkę coś zaniepokoiło. Ten śmiech był sztuczny. A może tylko jej się zdawało?

— Muszę już iść. Babcia zajmuje się Bartkiem.

— Nie idź jeszcze. — Przytrzymał jej rękę.

Spojrzała Carlosowi prosto w oczy. Oczarował ją i wkradł się w jej życie.

— No dobrze, jeszcze dziesięć minut. A może chciałbyś wejść do domu?

— Nie. Chciałbym z tobą tutaj posiedzieć.

Miśka położyła głowę na jego ramieniu, a on gładził jej włosy.

Nagle zadzwonił jego telefon. Chłopak spojrzał na ekran wyświetlacza. Nie odebrał.

— Nie odbierzesz? — zapytała Michalina. Poczwała ukłucie zazdrości.

— Nie. To ojciec.

— Ojciec? — Ile ona dałaby za to, żeby jej ojciec do niej zadzwonił.

— Tak. Nie mam z nim dobrego kontaktu.

— Dlaczego?

— Jak by to powiedzieć... Nie popiera tego, co robię.

— Masz sieć siłowni.

Carlos roześmiał się gardłowo.

— Nie lubi napakowanych kolesi.

— Ja nie widziałam swojego ojca tyle lat... Tyle lat...

— Co z nim?

Miśka przełknęła ślinę.

— Muszę już iść. Przepraszam. — Poczowała, jak łzy napływają jej do oczu.

— Powiedziałem coś niewłaściwego?

— Nie.

Miśka otworzyła drzwi.

— Cześć — rzuciła jeszcze, czując wzbierający płacz.

— Cześć.

Kiedy weszła do domu, odpuściła sobie i rozplakała się. Dobrze, że babcia z Bartkiem już spali. Nie widzieli jej łez.

Michalinę obudziło pukanie do drzwi. Zeszła na dół. Na stole leżała kartka z informacją, że babcia zaprowadziła Bartka do przedszkola. Pukanie powtórzyło się. Miśka otworzyła. Po drugiej stronie stał Carlos. Miał zaniepokojoną minę.

— Musiałem cię zobaczyć. Czy czymś cię dotknąłem?

— Nie lubię rozmawiać o ojcu.

— Okej. Nie będziemy o nim rozmawiać.

— Wejdz. — Cofnęła się o krok i wpuściła go do środka.

Weszli do kuchni. Michalina zaparzyła kawę. Babcia jak zwykle zostawiła na talerzu ciepłe bułeczki.

— Zjesz ze mną śniadanie? — zaproponowała Carlosowi.

— Tak.

— Nie musisz być w pracy? — zapytała go Miśka, rozkrajając bułki.

— To mój biznes, więc mogę się spóźnić.

— Ach, rozumiem. — Miśka nalała do kubków kawy i postawiła przed Carlosem talerz z bułkami i konfiturą, a na drugim podała wędlinę i pokrojone w plasterki pomidory.

Zjedli w milczeniu.

— Dlaczego tak cię obchodzi? — Michalina spojrzała chłopakowi prosto w oczy.

— Jesteś wyjątkowa. Ile razy mam ci to powtarzać?

Na te słowa Miśce забиło mocniej serce.

— Chciałbym się z tobą spotykać.

— Na poważnie?

Zaśmiał się. Podobała mu się ta jej dziecięca naiwność.

— Na poważnie.

Z każdym spotkaniem atmosfera między nimi stawała się bardziej gorąca.

— Przy tobie nie da się zachowywać przyzwoicie — wyszeptał Carlos, kiedy leżeli na kanapie i oglądali film.

Podciągnął jej bluzkę. Dziewczyna złapała oddech i z trudem przełknęła ślinę. Chłopak pocałował ją w płaski brzuch.

— Nie wiem, czy tego chcę — powiedziała.

Carlos wsparł się na łokciu i pocałował ją w usta. Ich języki dotknęły się. Zaczęli się całować. Kiedy ręka Carlosa ponownie znalazła się pod jej bluzką, dziewczyna lekko go odepchnęła.

— Nie chcę.

— W porządku.

Widziała, że jest rozczarowany.

— Jeszcze nie teraz.

— Nie ma sprawy. Rozumiem.

Miśka poczuła, że się czerwieni. A jednak była mu wdzięczna za wyrozumiałość. Wyszedł od niej po północy.

Anastazja odwiedziła Miśkę w sobotę.

— Żałuję, że ci go przedstawiłam — rzuciła na dzień dobry i rozsiadła się na kanapie. Miśka usiadła obok niej.

— Dlaczego?

— Miśka, ten koleś prowadzi nielegalne interesy.

— O czym ty mówisz? Ma sieć siłowni.

— Ma! — Anastazja prychnęła. — A na tyłach siłowni magazyn.

— No i?

— No i ponoć w tym magazynie dzieją się różne rzeczy. Prochy sprzedaje...

— Wygląda na przyzwoitego faceta. Ubiera się jak normalny facet. Zachowuje jak normalny facet. Ma poukładane w głowie. Jakoś nie wygląda na dilerę czy gangstera! — Miśka oburzyła się.

— A ja jestem wróżką. Jak ty to sobie wyobrażasz? Że włoży na szyję łańcuch i będzie paradował w dresie? Dresiarze już dawno odeszli do lamusa, razem z kolesiami, którzy udawali bandziorów. Teraz to wszystko wygląda inaczej. Pseudobiznesmeni, którzy piorą brudną kasę w białych rękawiczkach.

— Skąd go znasz?

— Chodził ze mną na uczelnię. Na drugim roku rzucił studia, bo mu się znudziły. Wolał zarabiać prawdziwe pieniądze. To typ faceta, który dzieli dziewczyny na dwie grupy: na te, z którymi łatwo mu pójdzie, czyli takie, które lubią się bzykać z takimi jak on, i na te, które szukają miłości. Te drugie bardziej go kręcą.

— I niby ja się do nich zaliczam?

— Tak, Miśka.

— A może on się zmienił? Może mu się podobam i... chce stworzyć ze mną jakąś trwalszą relację?

— Marlena też tak myślała.

— Kim jest Marlena?

— Dziewczyną z jego paczki. To znaczy, już się z nimi nie buja, ale kiedyś, przez przypadek, znalazła się w jego kręgach. Przyszła do pubu ze swoim bratem, wpadła na Carlosa. Jego trafił amor. Ją też, i bach. Łaził za nią i łąził. A potem złamał jej serce.

— Po co mi to mówisz?

— Po to, żebyś odpuściła. To zły człowiek.

Carlos wpadł do Miśki w piątek po południu. Pobawił się z Bartkiem, a potem zjedli razem kolację.

— Nie wiem, czy powinniśmy się spotykać — zaczęła Miśka.

— Dlaczego?

— Carlos... nie jesteś dla mnie odpowiednim facetem.

— Anastazja coś ci naopowiadała?

Michalina pokręciła głową.

— Nie chodzi o Nastkę. Ja po prostu nie mam czasu.

Carlos poderwał się od stołu. Miśka również wstała. Złapał ją za ramiona.

— O co chodzi? Miśka! O co chodzi?

— Jesteś facetem, który... — Miśka sama nie wiedziała, co ma powiedzieć.

Carlos zmrużył powieki; w jego oczach zobaczyła gniew.

— Nic o mnie nie wiesz, dzieciaku. Nic! Bo gdybyś wiedziała, to byś mnie nie osądzała.

— Ale...

Carlos chwycił kurtkę i wyszedł.

Przez kolejne dni Carlos milczał, a Miśka głupio tęskniła. Z jednej strony cieszyła się z takiego obrotu sprawy, z drugiej — bardzo ją to martwiło. Wiedziała, że się zakochała.

Dziesięć dni później Carlos wrócił do niej z naręczem kwiatów.

— Pięćdziesiąt krwistoczerwonych róż — powiedział, ruchem głowy wskazując na bukiet. — Przepraszam.

— Ja też.

Znów zaczęli się spotykać. Carlos był wspaniałym kompanem zabaw z Bartusiem. Miśka coraz bardziej była nim zauroczona. Niekiedy porywał ich na wycieczki. Kiedy indziej wszyscy razem leżeli pod kocem i zajadali się chipsami, oglądając jakiś film familijny. Chodzili we trójkę na wieczorne spacer. Pokazywał

im gwiazdy. Znał się na gwiazdozbiorach, podobnie jak ich mama. I tym też ją zauroczył. Niekiedy jednak zniknął na kilka dni. „W interesach” — mówił. Miśka nie pytała go o te rzeczy. Bała się to zrobić, bo chciała wierzyć, że jest dobrym człowiekiem. Bo przecież w jej mniemaniu był.

*

— Muszę poszukać sobie jakiejś pracy — powiedziała do Carlosa, kiedy leżeli na łóżku.

— Przecież pomagasz babci w kawiarni.

— Tak, ale kawiarnia od jakiegoś czasu nie przynosi odpowiednich zysków.

Więc...

— Pracowałaś już kiedyś?

— Tak. Jako kelnerka w klubie nocnym. Poza tym tato przesyła nam pieniądze. Czasami mniej, innym razem więcej.

— Nie masz kasy?

— Nie chodzi tylko o kasę. Chciałabym być niezależna.

Carlos skinął głową.

Następnego dnia rano, kiedy Miśka zabrała się do sprzątanania mieszkania, zobaczyła, że na stole leży koperta z jej imieniem. Otworzyła. W środku były banknoty stużłotowe.

Wiedziała, kto je zostawił. Rzuciła kopertę i pieniądze na stół i wybrała numer Carlosa.

— Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz?! — krzyczała. Carlos pierwszy raz słyszał, jak Miśka klnie.

— O co ci chodzi?

— Zostawiasz mi pieniądze, jakbym była twoją utrzymanką?

— Nie o to mi chodziło.

— A o co?

— Chciałem pomóc. Sama mówiłaś, że nie masz pracy.

— Pracy nie mam, ale na chleb mi jeszcze starcza. Nie chcę tej kasy! Nie chcę jej!

Rozłączyła się.

Po kilkunastu minutach Carlos był już u Miśki.

— Czy ja cię prosiłam o kasę? — zapytała, kiedy stanął w progu.

— Nie. — Wyglądał na zgaszonego.

— Mówiłam ci, że chcę znaleźć pracę.

— Tak. Przepraszam... Przepraszam... Nigdy nie spotkałem takiej dziewczyny jak ty. Jesteś inna. I może dlatego cały czas robię coś nie tak i mówię

też niepotrzebne rzeczy. Musisz mnie zrozumieć. Inne kobiety, wiesz, one chętnie...

— Nie jestem jedną z wielu.

— Tak. Popytam o pracę dla ciebie.

Miśka mu się podobała. Intrygowała go i dlatego postanowił sobie, że ją zdobędzie.

— Mogę zostać? — zapytał.

— Jak to zostać?

— Chciałbym spędzić z tobą ten weekend.

— Nie musisz wracać do pracy?

Pokręcił głową.

— Zadzwoń i powiem, że już nie wrócę.

Został.

Od tej pory byli nierozłączni.

— Uważaj, Miśka. — Anastazja w kółko jej to powtarzała.

— On się przy mnie zmienił.

Nastka uśmiechała się pod nosem.

— Co ty o nim wiesz?

— Spędzamy ze sobą mnóstwo czasu.

— Znasz jego rodzinę?

— Nie.

— To może czas poznać.

Nastka po raz kolejny zasiała w sercu Miśki ziarno niepewności.

Kiedy Bartek już spał, a Michalina z Carlosem leżeli w łóżku, dziewczyna zaproponowała mu rodzinne spotkanie.

— Chcesz poznać moją rodzinę? — zapytał z przerażeniem.

— Nie to, żeby planowała ślub. — Miśka zachichotała nerwowo. — Ale... chciałabym poznać ich bliżej. Twoich rodziców.

— Wiesz, że nie mam dobrego kontaktu z ojcem — zaczął się wymigiwać.

— Tak, wspominałeś o tym. A z mamą?

— Z mamą tak. Coś wymyślimy.

— Po prostu zaproś ich do mnie na kolację albo na obiad..

— Tak, tak... — Sięgnął po paczkę papierosów. — Idę zapalić.

Przez chwilę miała wrażenie, że chłopak chce ją spławić, ale kiedy wrócił z powrotem do łóżka, powiedział, że zorganizuje rodzinną kolację.

Umówili się w domu rodzinnym Carlosa, ale dzień przed planowaną wizytą mężczyzna odwołał spotkanie, bo jego mama zachorowała. Potem przyjechali jego dalecy krewni ze Stanów, potem tata złamał nogę, a potem to już Miśka nie pytała.

Żyła jak w letargu, a jej myśli były przesączone Carlosem. Pamiętała doskonale, że kiedy się rozstawali, bardzo za sobą tęsknili. Zdarzało się, że leżała już w łóżku, gdy nagle rozległ się dźwięk informujący o nadejściu wiadomości. Za chwilę kolejny sygnał i jeszcze jeden. Michalina sięgnęła po telefon i dotknęła ikonkę migającej koperty. Kiedy zobaczyła nadawcę, poczuła przyjemne ciepło rozlewające się po całym ciele.

Śpisz? Ja już spałem, ale nawiedziłaś mnie we śnie. Nawet spać spokojnie już przez Ciebie nie mogę.

I kolejny SMS:

Mam świetny pomysł. Przyjadę do Ciebie jutro rano i zrobię dla Was śniadanie. Co ty na to? Nie odpisuj. Będę.

Miśka uśmiechnęła się pod nosem. „Nie łap się na ciepłe słówka — mówiła jej nieraz mama. — Mężczyźni potrafią oczarować kobietę słowami”. Mimo iż Miśka wiedziała, że to tani chwyt, jej serce mocniej zabiło. Każda kobieta pragnie, by mężczyzna o nią zabiegał.

Bądź — odpisała.

Zgodnie z obietnicą Carlos przyjechał następnego dnia. Stanął w progu z dwoma siatkami, w których znajdowały się jeszcze ciepłe rogaliki, owoce, z których później wycisnął sok, jogurty i kawa.

— I co? — Złapał ją w pól i pocałował w szyję.

— Co: „co”?

— Lubisz mnie choć trochę? — Patrzył Miśce prosto w oczy.

— Trochę tak.

Roześmiali się.

Był piękny, gwieździsty czerwcowy wieczór. Miśka tego dnia do późna pracowała w „Cynamonowych Sercach”, była zmęczona, ale Carlos namówił ją na spotkanie. Babcia została z Bartkiem, a oni wyszli na spacer. Wzięli ze sobą koc, butelkę szampana i truskawki. Rozłożyli się na polanie przy strumyku, osłoniętej bujnymi krzewami. Wypili szampana, zjedli truskawki. Carlos rozpałił ognisko. Siedzieli przytuleni i patrzyli na płonące polana. Carlos pocałował kobietę w szyję. Krew w jej żyłach buzowała. Miśka wyobraziła sobie te wszystkie bąbelki, które tak łapczywie wypijała wraz z trunkiem. Odwróciła głowę w jego stronę. Ich usta się spotkały. Obsypywali się pocałunkami. Dziewczynie wydawało się, że ta chwila nie ma końca.

Właśnie wtedy przepadła. Zakochała się tak mocno, jak tylko młoda kobieta potrafi być zakochana. Odpięła guziki bluzki, a on pomógł jej ją zdjąć...

Co dziwne, po tamtej wspólnej nocy Carlos zaczął się od niej oddalać. Rzadziej się ze sobą spotykali.

— Mam tyle pracy — tłumaczył się. — Podpisuję ważną umowę i stresuję się tym.

Miśka sama zauważyła, że Carlos jest jakiś spięty.

— Jaką umowę?

— No, yyy... Nie zwracaj mi głowy.

— Przepraszam, chciałam tylko porozmawiać.

Carlos zamilkł.

Pewnego dnia Miśka stwierdziła, że odwiedzi go w siłowni. Nie to, żeby mu przeszkadzać. Postanowiła, że zanieś mu świeże bułeczki. To był pierwszy raz, kiedy się tam zjawiała. Recepcjonistka spoglądała na nią podejrzliwie.

— Ja do... — Jezu, ona nawet nie знаła jego prawdziwego imienia. Jak to możliwe? — ...szefa. — wydukała po chwili.

— Michała Waligórskiego?

„Michał” — pomyślała Miśka. Dostyc pospolite imię jak na Carlosa.

— Tak. — Skinęła głową, chociaż do końca nie była pewna, czy jej Carlos jest faktycznie Michałem.

Po chwili na korytarzu zjawił się Carlos. Uśmiechnął się do niej przez zaciśnięte zęby. Kiedy Miśka wstała, wziął ją za łokieć i zaprowadził do gabinetu, który mieścił się na tyłach sali do ćwiczeń.

— Cześć! — Miśka uśmiechała się od ucha do ucha.

— Cześć. — Carlos patrzył na nią, jakby ujrzał ducha. — Co ty tu robisz?

— Wpadłam cię odwiedzić i przyniosłam świeże bułeczki.

— Bez zapowiedzi. — Rozparł się na skórzanym fotelu.

Ona przycupnęła na drugim. Dziwnie się poczuła.

— Może powinnam zadzwonić...

— Może... Mam dużo roboty. — Strzepnął niewidzialny pyłek z blatu biurka.

— Wiesz, tak sobie pomyślałam, że może byśmy razem zamieszkali... Tak rzadko się widzimy.

— Uhh... — Carlos westchnął i zamilkł.

W pomieszczeniu panowała pełna napięcia cisza. W końcu Carlos odchrząknął i oparł ręce o blat stołu.

Nie takiej reakcji oczekiwała Miśka. Ostatnio żyła marzeniami o domu, dzieciach. Niczego więcej nie pragnęła.

— Wiesz, nie chcę naciskać... — Głos jej drżał.

— Michalina... — Spojrzał na nią, zaciskając usta w kreskę.

— Tak?

— Nie spodziewałem się tego.

— Czego? Tego, że chcę poważnego związku?

— Słyszałaś o mnie to i owo.

— Tak, i nie osądzałam cię.
— Nie jestem dla ciebie odpowiednia partią.
— Słucham?
— Nie jestem gotowy na taki związek... — Przełknął głośno ślinę. — Ty, Bartek...

— Myślałam, że go lubisz.
— Fajny z niego dzieciak, tylko że... ja nie chcę z wami mieszkać.
— O, jak miło. A czego chcesz? — Miśka czuła, jak krew coraz szybciej w niej buzuje.

— Nie gniewaj się...
— Pewnie, nie będę się gniewać na ciebie. Mogę tylko na siebie. Bo dałam się wykorzystać, bo jestem naiwna, bo mnie przeleciałeś i możesz dopisać do listy swoich zaliczonych pańienek.

Tak, stworzyła sobie w głowie wizję Carlosa — niesamowitego, szarmanckiego młodego faceta. I zakochała się, ale nie w nim, lecz w wyobrażeniu o nim. Pojawił się w odpowiednim momencie, a ona uwierzyła w jego rycerskość. Białego rumaka wprawdzie nie posiadał, dżentelmenem też był tylko na pokaz.

Wyszła z gabinetu, zatraskując za sobą drzwi. Jeszcze przez chwilę łudziła się, że może za nią wybiegnie. Niestety. Wróciła do domu.

Dzień później Miśka dostała od Carlosa SMS-a: *Kocham Cię!*

Myślała, że z radości będzie skakać do chmur.

Zadzwoiła do niego:

— Chcę to usłyszeć jeszcze raz.

— Kocham cię, Marzenko.

— Słucham?

Chwila ciszy.

— Misia?

— Tak, to ja...

Nerwowo się zaśmiał.

Dziewczyna rozłączyła się. W jednej chwili wszystko zrozumiała.

Tak to jest, kiedy jesteśmy tak zauroczeni, że przestajemy logicznie myśleć. Do Miśki dotarła w końcu prawda: była jedną z wielu. Właściwie powinna być wdzięczna losowi, że nie uwikłała się w związek z Carlosem, który pół roku później został aresztowany. Ale wtedy Miśka o tym nie wiedziała. Szwendała się po mieście i chlupała. Wystarczyło kilka miesięcy, żeby odpowiedzialna dotąd Miśka straciła głowę, ba — straciła zdolność do racjonalnego myślenia. Wiedziała przecież, że to nie jest mężczyzna dla niej. Mama, gdyby żyła, na pewno nie byłaby z niej dumna. Ale mama też zawsze jej powtarzała, że od miłości można naprawdę

zglupieć. Nawet ona kochała niewłaściwego faceta, jej tatę.

Babcia gładziła Miškę po plecach, a ta chlipała w poduszkę.

— Od początku mi się nie podobał — zawyrokowała Zosia.

— Bo Nastka ci o nim naopowiadała różne rzeczy.

— A co ty o nim wiedziałaś?

— Nic. — Miśka ze smutkiem musiała to stwierdzić. Nie wiedziała nic, bo bała się zapytać.

— To nie był dobry człowiek. Miłość nie polega wyłącznie na wzajemnej fascynacji. A zresztą... — Zosia westchnęła. — Nie będę ci tu kazań prawić.

— To tak bardzo boli. — Miśka chlipnęła.

— Przestanie... Chociaż teraz w to nie wierzysz. Zawsze w końcu przestaje boleć.

Rozdział 11

Michalina czekała na pozostałych gości. Postanowiła wybrać się na zakupy, aby zapełnić lodówkę. W głowie układała już jadłospis na kolejne dni. W drodze do sklepu spotkała wielu znajomych; do niektórych machała, z innymi ciepło się witała i przytulała. W sklepie przechadzała się wolno między półkami, szukając inspiracji na kolację. Pomyślała, że część potraw przyszykuje wcześniej i zamrozi. Zdecydowała się na mięso na pulpety, włoszczyznę, kapustę kiszoną, z której planowała zrobić bigos, i kilka innych rzeczy, plus makaron i ryż, które były świetnym dodatkiem do mięsa. I wtedy nie wiedzieć czemu przypomniał jej się Artur. Mimowolnie uśmiechnęła się do siebie. Mężczyzna był zapracowany, niezbyt miły, ale bardzo przystojny. I miał takie isierki w oczach. Kiedyś musiał być szalony. A jednak życie to szaleństwo stępiło. Kiedy kilka dni temu wrócił z „Cynamonowych Serc”, wręczył jej siatkę z zakupami. „Odłożę panu czekoladę na dolną półkę. A mleko wstawię do lodówki” — powiedziała Miśka.

„Nie, nie” — zaprotestował. Niech pani coś z tym zrobi, ja tego nie chcę”.

„To po co pan to kupował?”

„Nie wiem. Sam nie wiem. Poszedłem po kartę mobilną do internetu i kupiłem to. Bo ta elfica...” — wzruszył ramionami, po czym czmychnął do pokoju. Dopiero kiedy Miśka usłyszała trzaśnięcie drzwiami, roześmiała się.

Weszła do domu objuczona zakupami. Odłożyła siatki na blat i zaczęła rozcierać zaczerwienione dłonie. Włączyła radio. Akurat puszczała piosenkę: *All I Want for Christmas Is You*.

Zaczęła podśpiewywać wraz z wokalistką. Nagle w drzwiach kuchni stanął Artur.

Miśka wycelowała w niego palec.

— *All I need for Christmas is you... You...*

— Ja tu usiłuję pracować — zachnął się.

— Za głośno śpiewałam?

— Proszę pani... — Artur podparł się pod boki. — Kiedy rezerwowałem pokój, zaznaczyłem, że potrzebuję ciszy, spokoju i odosobnienia.

— Pokój jest na poddaszu, a my tu mieszkamy, jeśli jeszcze pan tego nie zauważył.

— Proszę pani... — Mężczyzna nie mógł się skoncentrować, kiedy dziewczyna wbiła w niego wzrok. Miała takie piękne piwne oczy.

— Tak?

— Potrzebuję ciszy. Ciszy!

— Przepraszam. Postaram się nie zakłócać pańskiego spokoju.

— Proszę na przyszłość zmodyfikować ogłoszenie w internecie, żeby ludzie wiedzieli, na co się piszą.

— Tak jest! — Miśka zasalutowała.

— Jezuuu! — jęknął Artur i wbiegł po schodach na górę.

Miśka przewróciła oczami. Miała niekłamaną ochotę włączyć radio na cały regulator i śpiewać wszystkie świąteczne piosenki. No ale cóż, opanuje się. Nie będzie się przejmowała tym gburem, ma za dużo rzeczy do zrobienia.

Kiedy rozpakowywała zakupy, usłyszała dzwonek do drzwi. Otworzyła. W progu stała pani Jadwiga Kowalik, dawna wychowawczyni Miśki z czasów podstawówki. Kowalikowa była starą panną. Oczywiście nie to, żeby Miśka dyskryminowała stare panny, sama przecież nie miała chłopaka, ale wydawało jej się, że przez staropanieństwo nauczycielka stała się strasznie zgryźliwa.

Babcia Zosia mówiła czasem w żartach: „Gdyby ją jakiś facet porządnie wziął w obroty, toby złagodniała”.

— Dzień dobry! — Miśka uśmiechnęła się do Jadwigi.

Ta spiorunowała ją wzrokiem.

— Jaki dobry? Jaki dobry? Czy wiesz, co twój brat wyprawia? Wiesz? — Jadwiga Kowalik była wzburzona.

Miśka przez chwilę stała oniemiała. Czuła się jak na lekcji historii, kiedy to Kowalikowa ją odpytywała z wojen napoleońskich, a ona nie była przygotowana.

— Co to za wrzaski? — Za plecami Michaliny pojawił się wściekły Artur.

— Co za wrzaski? Proszę pana, jak tu nie wrzeszczeć, kiedy Bartek wyprawia takie rzeczy. Proszę za mną! Zobaczycie na własne oczy. Takie bezeceństwa.

— Ale...

— Niech pan też pozwoli. Będzie pan świadkiem.

— Ja nie chcę się wtrącać... — Artur uniósł ręce w obronnym geście.

— Świadek! — krzyknęła Jadwiga.

Artur Niemecki burknął coś pod nosem, ale też wyglądał na przestraszonego.

Ubrali się pospiesznie i wyszli za Kowalikową, która szła zamaszystym krokiem w stronę swojego podwórka. Po kilku chwilach doszli na miejsce.

Naprzeciwko okna Kowalikowej stał bałwan.

— Widzisz?! — Jadwiga zwróciła się do Miśki, wskazując na bałwana.

— Bałwan — odrzekła Miśka.

— Bałwan — potwierdził Artur.

— Ale jaki bałwan? — Jadwiga rzucała gromy w ich stronę.

— Bałwan jak bałwan. — Artur wzruszył ramionami.

— Obejrzyjcie go sobie dokładnie — nakazała im belferka.

Artur obszedł śniegową rzeźbę dookoła.

— Bałwan jak bałwan — powtórzył.

Miśka jednak zauważyła to od razu. Marchewka, która zazwyczaj znajdowała się w miejscu nosa, tutaj była...

— Bałwan ma... — zaczęła niemrawo.

— Ja ci powiem, co ma. Penisa! — Jadwiga była zbulwersowana.

Artur roześmiał się gardłowo, spoglądając w dół. Dopiero teraz zauważył, że bałwan miał nogi, a między nogami dwie stare gałki od drzwi i marchewkę.

— A tam, dziecięce wyglupy — powiedział.

— Wyglupy? Pan to nazywa wyglupami? Co z tego dzieciaka wyrośnie? Gwałćciel jakiś.

Miśka poczuła, jak pod powiekami zbierają jej się łzy.

— Nie dramatyzowałbym. — Artur poczuł, że musi stanąć w obronie chłopca. — Chłopcy tak mają. Ja w jego wieku...

— Co pan w jego wieku?

— Może nie lepiłem bałwanów z przyrodzeniem, ale rysowałem na ławkach...

— Penisy?

— Chłopcy tak mają.

„Jezuuu...” — jęknęła w duchu Miśka. „Chce pomóc, a jeszcze bardziej wszystko komplikuje”.

Jadwiga poczerwieniała.

— I co z pana wyrosło?

— O wypraszam sobie, nic pani o mnie nie wie.

Atmosfera z minuty na minutę stawała się coraz bardziej napięta.

— Przepraszamy... — Miśka pociągnęła Artura za rękaw. — Porozmawiam z bratem.

— O nie! — Artur zaparł się. — Nie będzie mi jakieś babsko mówiło, co ze mnie wyrosło.

— Ani żonaty, ani dzieciaty.

— A skąd pani o tym wie?

— Obrączki na palcu brak. Zresztą gdyby pan miał rodzinę, toby pan z nimi tu przyjechał, a nie tak w pojedynkę. Idą święta...

— Właśnie. Idą święta, proszę się zastanowić nad swoim zachowaniem, a nie pluć jadem na lewo i prawo. Kim pani w ogóle jest?

— Nie będzie mi gówniarz przed oknem lepił bałwana z penisem.

— A co pani penis przeszkadza? Piękna sprawa... Chyba że...

Jadwiga obróciła się na pięcie i ruszyła do swojego ogródka.

Miśka puściła się przodem w stronę domu. Zrobiło jej się tak przykro, że

miała wrażenie, że zaraz pęknie jej serce. Wpadła do domu, usiadła na taborecie i wybuchnęła płaczem.

Po kilku chwilach do kuchni wszedł Artur.

— Ej. — Ukucnął naprzeciw Miśki. — Co jest?

— Wszystko... Wszystko! — Dziewczyna wierzchem dłoni ocierała łzy z policzków. — Zostałam sama.

— A twój mąż?

— Mąż? — Pociągnęła nosem. — Nie mam męża.

— Ojciec twojego dziecka...

— Nie mam dziecka.

— A Bartek?

— To mój brat. Opiekuję się nim od osiemnastego roku życia. Myślałam, że dobrze go wychowuję... — Łkała. — Było... jest mi czasami ciężko.

— Bartuś to fajny chłopak. Dobrze go wychowałeś.

— Lepi bałwany z siusiakami.

— I co z tego?

— Też pan lepił?

— Nie. Ale robiłem inne rzeczy. Głupsze. Bawiłem się z dziewczynkami w doktora.

Miśka roześmiała się przez łzy.

— Ten bałwan nie był mądrym pomysłem, ale dzieciom przychodzą do głowy różne psikusy. Nie ma też co za bardzo przejmować się tym, co mówią inni. Ta baba najwyraźniej ma jakiś problem.

I nagle stało się coś, czego Miśka się nie spodziewała. Artur ją przytulił. Dziewczyna zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, przez chwilę poczuła się nieswojo. On chyba też, bo w jednej chwili odsunął się od niej.

Jadwiga Kowalik weszła do starego domu, który wynajmowała za bezcen od kilku lat. Zdjęła przetartą na rękawach puchową kurtkę i podeszła do okna. Zobaczyła, jak Michalina z mężczyzną odchodzą. Spojrzała w dół na swoje kozaki i znów spojrzała w okno. Po Miśce i mężczyźnie zostały tylko ślady na śniegu. Głupio jej było się do tego przyznać, ale Jadwiga zazdrościła dziewczynie siły. Tej wewnętrznej siły, którą miała w sobie. Ona okazała się słaba i może dlatego była taka dla swoich uczniów. Jaka? Wymagająca, czasem zbyt szorstka. Niechętnie się do tego przyznawała, ale taka była prawda. Kochała swoich podopiecznych, ale... Od Miśki kiedyś wymagała dużo, bo wiedziała, że ta dziewczyna ma potencjał. Kiedy umarła Ilona, Jadwiga bardzo jej współczuła, ale wiedziała, że Miśka udźwignie i to. Ona by nie udźwignęła. Michalina dobrze wychowała brata. Jadwiga wiedziała, że nie powinna robić afery z powodu tego bałwana, ale przez ostatnie dni chodziła jakaś poirytowana. To przez te święta. Zbliżały się. A ona...

tak bardzo tęskniła. Poczwała ciepły dotyk na swojej łydce.

— Niuśka! — Nachyliła się i wzięła kotkę w ramiona. Jej wielka miłość. Jedyna...

Ze zwierzęciem na rękach weszła do kuchni. Z szafki wyjęła szklankę. Nawet szkło zdawało się odczuwać upływ czasu. Szklanka była porysowana i jakby pożółkła. Jadwiga nalała do niej wody. Wypiła zawartość duszkiem.

Usiadła na krześle przy biurku. Postawiła kota na podłodze, a sama otworzyła szufladę i wyjęła z niej kilka prac uczniowskich. Czerwonym długopisem zakreślała błędy. Postawiła trójcę. Może w innych okolicznościach uczeń dostałby więcej. Ale dzisiaj trójca była wymierna do jej złego samopoczucia. Następna praca — dwójka. Jadwiga cisnęła długopisem. Jej myśli poszybowały do Londynu, gdzie mieszkała Amelia. Po co o niej teraz myśli? Była na siebie zła.

Artur Niemecki zszedł na kolację przed dwudziestą. Michalina nakrywała do stołu. Zastygła nagle, uświadamiając sobie, że nie jest w pokoju sama. Artur stał pośrodku salonu i patrzył na nią zdezorientowany. Michalina uśmiechnęła się do niego niemrawo.

— Widzę dwa nakrycia. Bartek nie będzie z nami jadł?

— Nie. Dzisiaj położył się do łóżka wcześniej.

— Rozmawiała pani z nim?

— Tak.

— I?

— Sam stwierdził, że lepienie bałwana z... przyrodzeniem to był głupi pomysł.

— Dobrze, że ma tego świadomość.

— Chyba tak. — Miśka położyła sztucce obok talerza Niemeckiego.

— Nie ma co tego też zbytnio roztrząsać.

— Ma pan rację. Bartek był skruszony, ale w chwili lepienia bałwana na podwórku pani Kowalik uznał to za żart.

— Właśnie.

— Wytłumaczyłam mu, że są mądre i głupie żarty. Ten należał do głupich.

— I po sprawie.

— I po sprawie. Proszę siadać. Zrobiłam na kolację zupę krem, do tego pieczywo czosnkowe, a na deser mam sernik z brzoskwiniami.

— Pani go piekła?

— Nie. Babcia. — Miśka uśmiechnęła się do Artura. — Nie umiem piec...

— Zamyśliła się. — To znaczy... umiem, ale nie czuję się w tym dobrze.

Artur usiadł do stołu i rozłożył sobie serwetkę na kolanach.

— Nie ufam ludziom, którzy twierdzą, że są we wszystkim dobrzy.

— Ja chyba też nie.

Michalina usiadła naprzeciwko. Bez słowa jedli kolację. Oboje czuli się skrępowani. Artur pochwalił posiłek. Miśka odpowiedziała coś grzecznie i znów zapadło milczenie.

— Napije się pan naleweczki babuni? — Kobieta odrzuciła włosy do tyłu. Artur nie mógł oderwać oczu od jej długiej szyi. Co mu jest? On, czterdziestolatek, i dwudziestoletnia dziewczyna. To niedorzeczne.

— Z przyjemnością. Słyszałem wiele dobrego na temat tej naleweczki.

— Zapewne od babci.

— Tak. — Uśmiechnął się.

Miśka wstała i podeszła do barku, gdzie stały trzy butelki z nalewkami.

— Brzoskwiniowa? Z owoców leśnych? Czy karmelowa?

— Z owoców leśnych poproszę.

Michalina wyciągnęła butelkę i kieliszki. Nalała trunku i podała kieliszek Arturowi. Mężczyzna pociągnął łyk. Lekko się skrzywił.

— Nie smakuje panu?

— Wręcz przeciwnie. Jest dobra, ale bardzo mocna.

— Po babcinych nalewkach są najlepsze imprezy.

Artur się speszył. Pociągnął kolejny łyk.

— Jak praca? — zapytała Miśka.

— Nie chce mi się pracować.

— To proszę sobie odpuścić. Idą święta. Zapewne nadrobi pan wszystko po Bożym Narodzeniu.

— Hmm... — Westchnął. — Może to i dobry pomysł. A może i nie.

— Jeden czy dwa dni lenistwa nie zaszkodzą. Będę organizowała kolację wigilijną dla pensjonariuszy. Więc jeśli pan...

Artur się wzdrygnął.

— Nie lubię świąt. Od kilku lat spędzam Wigilię samotnie.

— Nie ma pan rodziny?

— Mam. Dwójkę dzieci i byłą żonę.

— Przepraszam za moje wścibstwo, ale...

— I na tym poprzestańmy. Nie lubię świąt i tyle.

W Wigilię zazwyczaj pracował do późna. Potem wracał do domu i kładł się spać. Była żona zawsze go do siebie zapraszała, ale on za każdym razem odmawiał. Nie miał ochoty patrzeć na jej szczęście, kłuło go w oczy. Mógłby to zrobić dla dzieci, ale... Właśnie, zawsze było jakieś „ale”. Zazwyczaj spędzał z nimi sylwestra, kiedy to Małgośka szła na bal ze swoim nowym przydupasem. Właściwie nie powinien jej winić za to, że ułożyła sobie na nowo życie, a jednak czuł w sercu ból, kiedy patrzył na roześmianą Małgośkę. Przy nim rzadko tak się śmiała. Odeszła od niego, twierdząc, że Artur za dużo pracuje i nie poświęca uwagi rodzinie. Odeszła z dnia na dzień, a on nie odczytał wcześniej sygnałów, jakie mu

ponoć wysyłała. Ach nie, były jakieś terapie małżeńskie, które na nic się zdały. To znaczy on uważał, że im są niepotrzebne, ale poszedł z Goską, by sprawić jej przyjemność. Myślał, że załatwił sprawę. Któregoś dnia wrócił z dwutygodniowej delegacji, a w domu nie zastał nikogo. Małgośka z dziećmi przeniosła się do rodziców. Kiedy się z nią spotkał, zażądała rozwodu.

„Ale przecież się kochamy” — powiedział. Miał ochotę się rozplakać.

„Kochamy...” — prychnęła.

Zdeptała jego marzenia o wspólnej przyszłości. Walczył o nią. Zabierał na randki. A potem... potem przyszły nowe projekty, on na nowo poświęcił się pracy. Rozwiedli się. Półtora roku po rozwodzie Małgosia zaczęła spotykać się z Darkiem. Dzieci go polubiły, mimo iż Artur nie cierpiał gościa z całego serca. Darek nic mu nie zrobił. Był dla dzieci dobrym ojczymem, a Artur chyba zazdrościł mu tak dobrego kontaktu z dziećmiakami.

Wypili całą butelkę nalewki. Alkohol szumiał im w głowach, opowiadali sobie śmieszne sytuacje z życia, co rusz wybuchając śmiechem. Kiedy zapadło milczenie, Miśka wstała od stołu.

— Pozmywam — powiedziała.

— Zaczekaj — powiedział Artur i również wstał. — Pomogę ci.

Mężczyzna jakoś automatycznie przeszedł na „ty”, a ona nie protestowała.

— Dam sobie radę.

— Pomogę. — Dotknął jej dłoni. A ona poczuła się tak, jakby przeszył ją prąd.

On chyba też to poczuł. Przez chwilę spoglądali sobie w oczy. Ciągnęło ich do siebie i to był niezaprzeczalny fakt.

On zmywał, ona wycierała talerze i chowała je do szafki. Zrobiło jej się gorąco od samego patrzenia na niego ukradkiem. Co ona sobie myśli? Ten facet mógłby być jej ojcem. A mimo to ją fascynował.

Miśka po cichu weszła do pokoju Bartka. Spał, zwinięty w kłębek, z kołdrą naciągniętą na głowę. Uśmiechnęła się. Odsunęła kołdrę z jego główki i poczuła, że był rozpalony. Dotknęła delikatnie jego policzka. Jeszcze niedawno był małym chłopcem, a teraz mówił o sobie „mężczyzna”.

Michalina pamiętała ich poranne rytuały, kiedy Bartek miał dwa, trzy lata.

— Mamuś... — Miśka słyszała wtedy dziecięcy głos wydobywający się spod kołdry.

— Gdzie jesteś? Nie widzę cię. — Udawała, że go szuka. Otwierała szafę, zaglądała pod łóżko.

— Tutaj! — Bartek śmiał się cichutko pod kołderką.

Dziewczyna podchodziła do jego łóżka, odsuwała pościel. Chłopiec mrugał

oczami. Jego włosy były spocone i przyklejały się do policzków.

— W końcu mnie znalazłaś.

— Cześć. Szukałam i szukałam. — Uśmiechała się do niego.

On też odwzajemniał uśmiech. Wydobywał się ze swojego kokonu, trzymając w rękach baranka. Baranek był jego ulubioną maskotką, dostał go w spadku po Miśce. Był lekko wypłowiały i miał naderwane uszko. Mimo to Bartuś nie zamieniłby baranka na żadną inną maskotkę. Nawet w wieku trzech lat miał ciało jak niemowlak, ze swoją puciołowatą buzią i rączkami o krótkich, pulchnych paluszkach. Miśka całowałaaby jego dłonie bez końca.

Bartuś zarzucał jej ręce na szyję, a ona dawała mu buziaki w policzki.

— Baranek też chce się z tobą przywitać.

Miśka nachylała się do maskotki i całowała ją.

Kiedyś chciała nadać imię barankowi, ale Bartek uparł się, że baranek jest po prostu barankiem i tak się nazywa, a nie inaczej.

Nie będzie go teraz budzić, ale jutro z nim porozmawia. Wyszła z pokoju i roześmiała się. Bałwan z penisem... Bałwan z penisem...

*

Kolejnego dnia Bartek obiecał siostrze, że przeprosi panią Jadwigę Kowalik. Ale nie miał odwagi zapukać do jej drzwi. Postanowił napisać list.

Pani Jadwigo,

Piszem ten list nie dlatego, że paniom lubiem. Tylko dlatego, że moja siostra jest smutna.

Chcem paniom przeprosić za tego bałwana z siusiakiem. Ulepiłem go, żeby paniom rozśmieszyć, bo jest pani wietrznie wiecznie smutna. I dlatego, że założyłem się z Wiktorem, że to zrobię.

Przepraszam paniom, jeśli paniom uraziłem. Proszem nie winić mojej siostry, bo ona i tak ma wiele na głowie. I chcę Pani powiedzieć, że dobrze mnie wychowała, tylko ja zrobiłem taki brzydki wybryk.

Z poważaniem i ukłonami

Bartek

Wsunął list w szparę w drzwiach, zadzwonił i puścił się pędem w stronę domu.

Jadwiga wyjęła list, rozerwała kopertę, przeczytała go trzy razy i

wybuchnęła śmiechem.

„Może to czas, żebym znowu zaczęła się uśmiechać” — pomyślała.

Rozdział 12

W środowe popołudnie Michalina poszła do ogródka, by narąbać drewna do kominka. Złapała za siekiere, zamachnęła się i w tej samej chwili zobaczyła Artura. Stał naprzeciwko niej. Zastygła w połowie ruchu.

— Pomogę pani — powiedział.

— Dam sobie radę.

— Proszę pozwolić sobie pomóc.

Miśka nie wiedziała, co odpowiedzieć. Artur zauważył, że dziewczyna jest zdekoncentrowana, podszedł więc do niej i wyjął z jej rąk siekiere. Jego palce delikatnie musnęły jej dłoń. Miśka spojrzała na niego z wdzięcznością. Ich spojrzenia spotkały się i żadne jakoś nie mogło spuścić wzroku. A może nie chciało?

— Dziękuję — Michalina wymamrotała podziękowanie i szybkim krokiem odeszła w stronę domu. Zanim weszła do środka, wyjęła ze skrzynki list. Po piśmie poznała, kto jest nadawcą.

„Każdy zawód miłosny boli” — pomyślała Michalina, ściskając kopertę. Najdotkliwiej złamał jej serce najważniejszy mężczyzna w jej życiu, tata. Złamał serce też dwóm innym kobietom: mamie i babci. Trzy serca złamane przez jednego mężczyznę. To bolało. Na myśl o tacie Miśce zawsze robiło się smutno, chociaż powracały też piękne wspomnienia. Pamiętała, jak tata patrzył na mamę. W jego spojrzeniu dziewczynka dostrzegała miłość. Każda kobieta marzy o takim spojrzeniu. Mama Miśki była przepiękna. Nigdy jednak nie czuła się lepsza z powodu swojej urody. Wiązała długie pukle włosów w kitkę, rzadko się malowała. A mimo to pewnego dnia, kiedy Miśka z mamą siedziały na ławce i jadły lody, podszedł do nich fotograf. Zachwycił się urodą mamy. Zaproponował jej pracę modelki. Kiedy tata, który wrócił z Sanoka, zobaczył mężczyznę kręcącego się przy mamie, pogonił go gdzie pieprz rośnie. Miśka chciałaby mieć takiego opiekuna u boku. Twardego, hardego. Nie chodziło już o nią, bo przecież ona była już dorosła, ale o Bartka.

Rozerwała kopertę. Przeczytała życzenia i kilka słów skreślonych w pośpiechu.

Poczuła, jak ogarnia ją złość. Nie, nie była zła. Była naprawdę wkurwiona. Zawiedziona. Wściekła. I doszczętnie przygnębiona. Właściwie nie powinna się dziwić. Co roku doznawała tego samego zawodu. Ojciec przysyłał im kartkę

bożonarodzeniową i kilka słów skreślonych na kartce w kratkę. Zapewniał, że ich kocha, ale nie może przyjechać. Ale w następne święta już na pewno będzie. Co roku to samo. Obiecanki cacanki. Miśka mu nie wierzyła, a jednak w każde święta żyła nadzieją, że może się zjawi. Nie chciała od niego niczego — z wyjątkiem jego obecności. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby opuścić własne dzieci?

*

Wrzuciła kartkę do szuflady, a potem wyszła z domu.

Poszła do sklepu, kupiła słoik korniszonów. Sama nie wiedziała dlaczego, ale zawsze gdy się denerwowała, jadła ogórki w occie. Ich smak sprawiał, że było jej lżej na duszy. Wyszła ze sklepu i usiadła na ławce naprzeciwko. Przez chwilę siłowała się z zakrętką. Wreszcie zanurzyła dłoń w octowej zaprawie. Wyjęła pierwszego ogórka, a kiedy zjadła drugiego, rozplakała się. W tej samej chwili zobaczyła Artura. Szedł z naprzeciwka. Spojrzał na nią zdziwiony.

— Ogórki? Tak na ławce?

Miśka wzruszyła ramionami.

— Ogórki.

Plakała. Żuła ogórki, a łzy spływały jej po policzkach. Czula się tak, jakby ktoś wyrwał jej serce z piersi. Zamiast niego ziała tam potężna dziura.

— Aż tak źle?

Skinęła głową. Artur wyjął z kieszeni kurtki paczkę chusteczek i podsunął Miśce.

— Może się gdzieś przejdziemy? — zaproponował.

— Chyba nie jestem dziś za bardzo towarzyska.

— Ja w ogóle nie jestem towarzyski.

Miśka uśmiechnęła się przez łzy.

— Zauważyłam.

— To co? Spacer?

— Najpierw muszę zjeść ogórki. One zawsze mi pomagają.

— A poczęstuje mnie pani jednym?

Dziewczyna znów się uśmiechnęła.

— Myślałam, że już przeszliśmy na „ty”. A teraz mi „paniujesz”?

— No tak, na „ty” jest o wiele wygodniej.

Michalina wysunęła w stronę Artura słoik z ogórkami. Zjedli kilka i ruszyli w stronę pobliskiego parku.

— I jeszcze śnieg stopniał. — Miśka pociągnęła nosem.

— Czy to kolejny powód do płaczu?

— Czasami kobieta nie potrzebuje dużo, by się rozbeczeć.

— Tak. To prawda. Ale jeśli to cię pocieszy, jutro ma spaść kilka centymetrów śniegu.

— Tak, to pocieszające.

— Narąbałem drewna. Dość sporo.

— Dziękuję. Poradziłabym sobie.

— Ale ja chciałem pomóc.

— Doceniam.

Szli przez chwilę w milczeniu. Na horyzoncie pojawiły się pomarańczowe i fioletowe smugi. Od dachów odbijały się złote promienie zachodzącego słońca. Sceneria iście romantyczna.

— Jestem dobrym słuchaczem — odezwał się w końcu Artur.

— Mój tato nas zostawił i... — Słowa popłynęły z ust Miski. Nawet nie wiedziała jak i kiedy, a opowiedziała Arturowi historię swojego życia. I o dziwo, poczuła się dużo lepiej.

— Nie wiem, co powiedzieć...

— Nic. Dzięki, że mnie wysłuchałeś.

— Zrobię dla nas kolację. Dla naszej trójki — zaproponował.

— Ale...

— Po prostu zrobię i już.

Michalina siedziała przy stole, tak jak nakazał jej Artur. „Dzisiaj odpoczywasz” — powiedział po powrocie do domu. „Ale to ty jesteś gościem”. „Owszem, i mam kaprys zrobić dla ciebie kolację”.

Artur stał przy garnku, co jakiś czas mieszając w nim łyżką.

— Mam nadzieję, że lubisz makaron? To jedyne danie, jakie dobrze mi wychodzi.

— Suchy makaron?

— Nie doceniasz mnie. — Uśmiechnął się do niej łobuzersko. — Wariacje z makaronem. Makaron z pesto, carbonara, z suszonymi pomidorami i serem feta, z białym serem, czyli na słodko. Ach, no i z truskawkami i śmietaną.

— Wow! Prawdziwy z ciebie kucharz.

— Czy wyczuwam sarkazm?

— Jakżebym śmiała!

Twarz Artura była zaczerwieniona od buchającej z garnka pary; oczy mu błyszczały. Miśka poczuła, że serce bije jej dużo szybciej. Co się z nią działo? To dla niego włożyła tego wieczoru czarną kieckę z głębokim dekoltem. Czowała się nieswojo, a z drugiej strony bardzo kobieco. Wiedziała, że nie może sobie za dużo wyobrazić, a jednak kiedy ostatnimi wieczorami kładła się do łóżka, wyobrażała sobie naprawdę dużo. Do kuchni wpadł Bartek.

— Co tak ładnie pachnie? — zapytał.

— Makaron.

— Dlaczego to pan gotuje?

— Bo twoja siostra ma wolne.

— Ach.

— Umyj ręce. Za dziesięć minut będzie gotowe. Makaron z sosem pomidorowym i żółtym serem — oznajmił chłopcu Artur.

— Tylko niech pan zrobi tak, by ser się ciągnął.

— Tak jest! — Artur zasalutował drewnianą łyżką.

Miśka trochę się odprężyła. Makaron był dobrze ugotowany. Nie za miękki, nie za twardy, a sos pomidorowy nieźle doprawiony. Przy stole rozmawiali na różne tematy. Głównie mówił Bartek. Kiedy skończyli, chłopak grzecznie podziękował i poszedł do swojego pokoju.

— Nie chcesz z nami posiedzieć? — zapytała brata Miśka.

— Szczerze?

— Szczerze.

— Wolę pooglądać telewizję.

Miśka uśmiechnęła się do Bartka.

— Nie siedź długo. Za czterdzieści minut masz być w łóżku. Umyty i pachnący.

— Mhm.

— To znaczy „tak”?

— Postaram się.

Pobiegł na górę, a Miśka z Arturem przesiedli się na sofę.

— Byłem dzisiaj na ciastku w „Cynamonowych Sercach”, po tym, jak narąbałem drewna, a przed tym, zanim cię spotkałem ze słojem ogórków.

— Oj, dzisiaj babcia sprzedawała napoleonki.

— Zjadłem trzy.

— Trzy? — Miśka zaśmiała się perliście.

— Już mi się spodnie nie dopinają.

— Musisz więcej spacerować.

— Albo zjeżdżać na sankach.

— Albo zjeżdżać na sankach — powtórzyła. — Ale zaraz, zaraz... Zjadłeś trzy napoleonki, potem doprawiłeś kilkoma ogórkami, a teraz wsunąłeś talerz makaronu.

— No dlatego mówię, że ledwo się w spodnie mieszczę. Wiesz, to górskie powietrze sprawia, że mój apetyt rośnie. A twojej babci dzisiaj humor wyraźnie dopisywał.

— Nie mówiłeś jej o nas?

Pytanie wyrwało się z ust dziewczyny całkiem niespodziewanie. Miśka

poczuła, że się rumieni.

— O nas?

— Miałam na myśli to nasze wspólne popijanie nalewki wieczorem.

— Nie, nie mówiłem jej o nas — odparł spokojnie. Po czym chwycił dłoń Miśki, uniósł ją i pocałował.

Michalina nie wiedziała, jak się zachować. On wydawał się być spokojny. A jej serce łomotało w piersi jak szalone.

— Lepiej się czujesz? — zapytał.

W jego głosie dziewczyna wyczuła troskę.

— Tak, dziękuję. To wszystko dzięki tobie.

Na kilka chwil znów zapadła krępująca cisza.

— Wiesz, Artur, bardzo mi brakowało ojca. Pamiętam, jak na przedstawienie z okazji Dnia Ojca mama przysłała przebrana w kapelusz, marynarkę i z doczepionymi wąsami. Śmiałyśmy się wtedy do rozpuku.

— Kochana była twoja mama.

— Tak... Kochana. Czasami dawałam jej do wiwatu.

— A które dziecko nie daje?

— Kiedy pojawiał się w moim życiu tata, mama schodziła na dalszy plan. Mimo że to ona dbała o mnie przez te wszystkie lata, kiedy go przy nas nie było. Zaspokajała moje wszystkie potrzeby. Kiedy tata wracał do nas, nie odstępowałam go na krok.

— To rozumiiałe. Bałaś się, że znów odejdzie.

— Chyba tak. — Miśka wzruszyła ramionami. — Tylko nie wiem, dlaczego raniłam wtedy mamę. Jakby to ona była wszystkiemu winna. Z rozmysłem wbijałam jej nóż w serce.

— Może to była twoja obrona przed tym wszystkim, co się wtedy działo?

— Może... Pamiętam, jak zadałam jej pytanie: „Co takiego zrobiłaś, że ojciec od nas odszedł?”. Mama pobladła, ale odpowiedziała dyplomatycznie. Nigdy nie próbowała zwalić na ojca winy. „Przepraszam, córeczko. Nie chcieliśmy, byś cierpiała. Ale dorośli niekiedy ranią swoje dzieci”.

— To prawda. — Artur pomyślał o swoich dzieciach. On wprawdzie ich nie opuścił, ale nie uczestniczył w ich codziennym życiu. Ba, nawet nie wiedział, co lubią, czego od życia chcą. Kochał je, ale musiał przyznać sam przed sobą, że czasami nie znajdował z nimi wspólnego języka. Szczególnie z Kubą.

Rozdział 13

Następnego dnia Artur wstał dość wcześnie. Uśmiech nie zniknął mu z twarzy. Śniadanie na niego czekało, kiedy zszedł na dół o dziewiątej, ale przy stole nie było ani Miśki, ani Bartka. Poczł rozczarowanie. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył kartkę z informacją, że dziewczyna z chłopcem poszli do kościoła. Artur chwycił rogalik, a potem wybiegł na korytarz. W pośpiechu włożył płaszcz, buty i wypadł na zewnątrz, zatraskując za sobą drzwi. Zziębnięty wbiegł do kościoła, w którym odbywała się próba jasełek. Usiadł w ławce i z zachwytem oglądał przedstawienie. Dzieciaki myliły kwestie, czasami wybuchały nerwowym śmiechem. Jakaś dziewczynka, która była aniołkiem, rozplakała się. Ale mimo to była w tym wszystkim jakaś magia. Czy on zwariował? Nigdy nie lubił takich szopek. A teraz siedział w kościele, a po jego policzkach spływały łzy. Dzieci... Czy jego dzieci też uczestniczyły w jasełkach? Chodziły do kościoła? Nigdy ich o to nie pytał. Kiedy się z nimi spotykał, był tak zmęczony, że mało z nimi rozmawiał. Zabierał je na lody, na pizzę, kupował drogie prezenty, i to wszystko. Tak naprawdę nawet nie wiedział, co je interesuje, a co nie.

Po próbie Artur czekał przed kościołem na Bartka i Michalinę. Dziewczyna była zaskoczona jego widokiem, ale uśmiechnęła się do niego. Nastka szturchnęła ją w bok.

— Co pan tu robi? — zapytał Bartek, który wypadł z kościoła niczym torpeda.

— Jestem.

— A to dobrze się składa. Pójdzie pan z nami na sanki?

— Czapka! — krzyknęła Miśka.

Bartek posłusznie wyjął czapkę z kieszeni i włożył sobie na głowę.

— Sanki? — Artur potarł brodę. — Sam nie wiem.

— Chodź, będzie fajnie. — Miśka puściła do niego oko.

— Skoro tak mówisz.

— Ja to wiem.

— Na mnie nie liczcie! — Nastka mrugnęła do Miśki i szybko się zmyła.

Dotarli do sporego pagórka. Bartek zjechał pierwszy, potem Miśka. Artur nie był pewien, czy powinien. W końcu jednak wsiadł i popędził w dół. Był cięższy od Bartka i Miśki, dlatego mknął po ubitym lodzie z dużą prędkością. Mężczyzna roześmiał się. Dokładnie tego mu było trzeba: śmiechu i dzikiego pędu.

Kiedy cała trójka znalazła się u podnóża pagórka, Artur zapytał:

— Co robimy popołudniu?

Miśka poczuła w sercu radość. „Robimy” — delectowała się tym słowem.

— Dekorujemy salon! — wykrzyknął podekscytowany Bartuś.

— Myślałem, że dom już jest udekorowany.

— Salon jeszcze nie.

— Pomogę wam — zaproponował Artur.

Po obiedzie mężczyzna ściągnął z pawlacza dwa worki świątecznych ozdób.

Miśka wyjęła z kuchennej szafki kolejne dwa.

— Wy nic przez cały rok nie robicie, tylko szykujecie ozdoby na święta? — zażartował Artur.

— Te zrobiliśmy w przeciągu ostatniego tygodnia.

— I jeszcze więcej! — Uśmiechnął się Bartek. — Tylko większość sprzedaliśmy.

— Sprzedajesz ozdoby choinkowe? — Artur zwrócił się do Miśki.

— I anioły z masy solnej.

— Wow! Świetnie sobie radzisz! — Artur uśmiechnął się, nie spuszczać wzroku z dziewczyny.

Miśka poczuła, że oblewa się rumieńcem.

— No już, do roboty — poinstruowała.

Na kominku ustawili trzy malutkie choinki, wykonane z filcu i przyozdobione czerwonymi sercami z atłasu. Na poręczy przy schodach zawisły kolorowe girlandy. Bartek poprzyklejał na okna srebrne gwiazdki. Następnie Artur wniósł z ogrodu donicę, w której srebrzyła się jodła. W pokoju od razu zapachniało lasem. Zawieszali na choince ozdoby, suszone plasterki pomarańczy, cukierki.

— Zapomnieliśmy o łańcuchu — powiedział chłopiec.

— Nie ma to jak łańcuch z kolorowego papieru.

— Nie mówcie mi, że będziemy teraz robić łańcuch? — zapytał zaskoczony Artur.

— Pewnie, że tak.

— Już wiem, dlaczego nigdy nie lubiłem świąt.

Roześmiali się. Bartuś wycinał paski z kolorowego papieru, a Artur z Miśką sklejali kółka i doczepiali jedno do drugiego. Niekiedy dłoń mężczyzny musnęła dłoń dziewczyny.

— A pan kim jest z zawodu? — dopytywał się Bartuś.

— Architektem.

— Ooo. To bardzo twórcze zajęcie. — Michalina zagwizdała pod nosem.

— Polemizowałbym. — Artur skleił kolejny pasek. — Praca architekta to pięć procent pracy twórczej i dziewięćdziesiąt pięć harówki, na którą składają się obrobienie koncepcji, ubranie jej w rzuty i rozplanowanie funkcjonalne. To jeszcze jest w miarę ciekawe, ale więcej w tym wszystkim papierologii. Następnie należy

złożyć projekt budowlany, czyli kilka wielkich pudeł dokumentacji. W urzędzie jest najgorzej. Tutaj trzeba co chwilę donosić jakieś pisma i świstki. Czepiają się nawet źle postawionej kropki. Należy też uzgodnić szczegóły z dostawcami mediów na działkę, żeby urząd miał kolejne stosy papierów, projekt wykonawczy oraz wykonawczy zamienny, i najlepiej jeszcze wykonawczy zamienny zamiennego, byle tylko dostał kolejne tony akt. Książka detali wraz z rozrysowaniem każdej śrubki przy balustradzie... Zgadzam się w stu procentach. Niektórym studentom architektury wydaje się, że to taki bardzo wizjonerski zawód, ale taki najczęściej nie jest. To masa drobiazgowej, precyzyjnej roboty, niestety bez koncepcji. Poza tym walka o zlecenia, użeranie się z inwestorami i ekipą budowlaną. Tylko garstce architektów będzie dane projektować naprawdę fajne budynki, reszta utonie w szarej, zwykłej codzienności. I trzeba sobie radzić dodatkowymi fuchami: projektowaniem graficznym, przemysłowym i innymi -pseudo-artys-tycznymi zleceniami.

— Już wiem, dlaczego pan jest taki nerwowy! — Bartek się roześmiał.

— Wcale nie jestem nerwowy.

— Raczej spięty — dorzuciła Miśka.

— Musi się pan trochę wyluzować.

— Jestem wyluzowany.

Bartek z Miśką parsknęli śmiechem.

— To co mam zrobić, żebyście uznali mnie za fajnego gościa?

— Ruszyć na spacer o czwartej rano.

— Zrobić orzełka na śniegu.

— Odpocząć.

— Tak, odpoczynek jest wskazany.

— Ogólnie, być szalonym. Szaleństwo jest fajne! — Bartek klasnął w dłonie.

Rozdział 14

Michalina usłyszała pukanie do drzwi. Przetarła oczy. Chyba jej się wydawało. Opadła z powrotem na poduszkę. Znów pukanie. A jednak jej się nie zdawało. Wstała. Chwyciła szlafrok i owinęła się nim. Otworzyła drzwi. W progu stał Artur.

— Powiedziałas, że wolisz szaleńca, który pójdzie z tobą na spacer o czwartej rano, niż sztywniaka, który zamknie się w pokoju i będzie pracował. A więc jestem.

— Zgłupiałeś? — Miśka otworzyła szeroko oczy.

— Dość prawdopodobne.

— Która godzina?

— Kwadrans po czwartej.

— O kurde, naprawdę z tobą źle.

— No. Masz pięć minut, żeby się ubrać.

— Jesteś walnięty.

— To miasteczko, ty, przedświąteczny czas, chyba to wszystko razem do kupy sprawiło, że mi odwaliło. A, i wypieki twojej babci.

Miśka uśmiechnęła się pod nosem.

— Ubieraj się. Idziemy na spacer.

Zjedli śniadanie, wypili po dwie filiżanki kawy i ruszyli, trzymając w rękach latarki. Kiedy stanęli u podnóża gór, Miśka powiedziała:

— Odetchnij pełną piersią.

Artur wciągnął powietrze do płuc i wypuścił je pomału.

— I co?

— Jakby lepiej.

— Pewnie, że lepiej. Zawsze człowiekowi lepiej, jak sobie tak głęboko odetchnie. Co w twoim życiu jest niezwykle?

— Praca.

Miśka spiorunowała go wzrokiem.

— Przestań pieprzyć.

— Ona jest moim życiem.

— Błąd.

— Każdy żyje po swojemu.

— I co masz dzięki tej pracy?

— Pieniądze.

— Ech... I co jeszcze?
— Satysfakcję.
— Kosztem czego?
— Rodziny. Ej! — Artur spojrział na Miškę. — A ty co? Terapeutka czy jak?
— Nie. Po prostu chcę ci pomóc.
— Ale ja cię wcale o tę pomoc nie prosiłem.
— Ja też nie prosiłam, żebyś mi drewna narąbał.
— To co innego.
— Nie zgodzę się z tobą. Pomoc jak pomoc. Widzę, jakim jesteś nieszczęśliwym człowiekiem.
— Wcale nie.
— Tak. Przyznaj się. Nic cię nie cieszy. Przejmujesz się głupotami. Projektami, pracą. Im poświęcasz wolny czas. Nie potrafisz wyluzować.
— A ty? Nigdy nie przejmowałaś się, jak to nazwałaś, „głupotami”?
— Pewnie. Kiedyś się przejmowałam, że mam grube uda i wielki zad.
Artur parsknął.
— No właśnie. Żałosne — przyznała.
— I co? Przestałaś się tym przejmować?
— Tak. Mama wytłumaczyła mi, że to głupota. Że przyjdą inne, ważniejsze rzeczy, którymi trzeba się przejąć, za które należy wziąć odpowiedzialność. A grube uda i tyłek? No cóż, mam taką budowę. Mogę je zakryć tuniką, dobrać odpowiednią kieckę lub paradować z nimi i się nie przejmować.
— W sumie dobre podejście. Jak to jest mieszkać w takiej małej mieścinie jak Złotkowo? Zarabiać na życie, robiąc ozdoby świąteczne?
— I anioły.
— I anioły.
— Fajnie. — Miśka uśmiechnęła się do Artura. — Nie chciałabym robić niczego innego. Ani mieszkać nigdzie indziej. Wszystko, co kocham, jest tutaj. Złotkowo ma swój klimat i zapach. Powietrze jest tutaj ostrzejsze. Latem pachnie lawendą, sianem i mokrą ziemią. Przy deptaku, koło strumyka, wiosną i latem latają kolorowe motyle. Takie okazy, które trudno spotkać gdzie indziej. Najbardziej lubię cytrynki. A Bartuś te z białymi skrzydłami. W Złotkowie są najpiękniejsze zachody słońca. Latem na bezchmurnym niebie słońce chowa się za szczyty gór i wygląda to tak, jakby dojrzała pomarańcza wskakiwała za pagórki. Noce... Tyle miałam ich bezsennych. Najpierw z powodu odejścia taty, potem z powodu choroby mamy, a potem dlatego, że musiałam wstawać do małego dziecka. Teraz, jeśli nie śpię, to zazwyczaj latem. Kiedy noce są ciepłe, trudno spać, lepiej marzyć. Kładę się na rozgrzanej po całym dniu trawie i patrzę w bezchmurne niebo. Granatowosine, usłane gwiazdami. Tutaj, w górach, księżyc niekiedy zwisa tak nisko, jakby chciał się wykapać w strumieniu. W Złotkowie

wszystko dzieje się w zwolnionym tempie, czas inaczej płynie...

— A ja wiecznie nie mam czasu.

— Nie masz czasu? — Miśka westchnęła. — Mamy dokładnie tyle samo czasu. Ja i ty. Doba ma dwadzieścia cztery godziny dla mnie i dla ciebie. Mamy tyle samo czasu, Artur, tylko od nas zależy, co z tym czasem robimy. Bo możemy ten czas przebimbać, możemy też stracić czas na bezsensowne czynności, a możemy zrobić z nim coś fajnego. Kiedy moja mama zachorowała, zaczęłam inaczej patrzeć na życie i ludzi. Przede wszystkim na ludzi. Moi znajomi z klasy byli tacy młodzi... i zdrowi. Mieli jakieś perspektywy na życie. I wszystko, żeby się tym życiem cieszyć, a niektóre koleżanki rozczuły się nad sobą z byle powodu. Z powodu złamanego paznokcia, z powodu tego, że chłopak je rzucił, że zamiast blondynkami są brunetkami. Traciły czas na bezsensowne rozkminki. Każdy ma swoje zmartwienia, ale wkurza mnie to, naprawdę mnie to wkurza, kiedy ludzie zamartwiają się pierdołami i bezsensownie tracą czas. Młodzi, starzy tracą czas, którego przecież nie mamy w nieskończoność. Wiesz, co mi mama kiedyś powiedziała?

— Hmm? — Artur spojrzał na Miśkę.

— Że ludzie są niewolnikami terminów. A czy naprawdę muszą zrobić to czy tamto? Nie muszą. Jedyne, co muszą, to umrzeć. I to jest prawda oczywista. I ty też nie musisz pracować w święta.

— No niby nie.

— To ty decydujesz, co chcesz robić.

— Ech, dziewczyno, ty i te twoje górnotne myśli. Niby mądrze gadasz, ale jak one się mają do codzienności?

— Normalnie. Opowiedz mi, jak wygląda twój normalny dzień.

— Od którego momentu mam ci opowiedzieć?

— Od pobudki.

— Dzwoni ten cholerny budzik o szóstej trzydzieści. Zwlekam się z łóżka, psiocząc pod nosem. Podchodzę do okna, podnoszę rolety i... pada. Źle.

— A jak świeci słońce?

— Też źle, bo ładny dzień, a ja spędzę go w biurze.

Miśka zaśmiała się.

— I co dalej?

— Wkładam dres i biegam.

— Dlaczego to robisz?

— Żeby być w formie.

— Lubisz to?

— Nie cierpię biegać.

— No właśnie. Mógłbyś jeździć na rowerze albo tańczyć.

— Tańczyć?

— Lubisz?
— Kiedyś owszem. Ale wstydzę się.
— To tańcz w samotności.
— Miśka... — jęknął.
— I co dalej?
— Wracam, smażę omlet z samych białek i robię koktajl z jarmużu i nasion chia.

Miśka śmiała się w najlepsze.
— Tego też nie lubisz?
— Przyzwyczailem się.
— Chia, jarmuż, kielki, bądź fit. To takie modne. A zamiast chia mógłbyś zjeść kawałek sernika, wypić kakao. Nic by ci się nie stało. I nawet jeśli zamiast kaloryfera na brzuchu miałbyś jeden wałeczek tłuszczu, świat by się nie zawalił, a ty byłbyś szczęśliwszy.

— Odbiegamy od tematu.
— No tak. To chia, jarmuż i co dalej?
— Biorę chłodny prysznic, wkładam koszulę, garnitur i ruszam do pracy. Siedzę kilkanaście godzin w biurze, wracam do domu. Jem kolację, niezbyt obfitą. A, bo jeszcze w południe mam przerwę na lunch.

— Na obiad znaczy się?
— No tak.
— Śmieszą mnie te lunche i brunchy. W Polsce mamy obiady i śniadania.
— W sumie masz rację.
— I co dalej?
— Włączam telewizor i gapię się w niego bezmyślnie. Idę spać.
— Fuck!
— Co?
— Zero życia w życiu? A czy nie można by inaczej?
— Miliony ludzi tak robią.
— I ty ufasz milionom zamiast sobie? Co masz z tego życia? Odpowiedz, ale tak uczciwie.

— Pieniądze. Lubię swoją pracę.
— I nic poza tym. Wyobraź sobie taki dzień. Budzi cię ćwierkanie ptaków. Wstajesz, przeciągasz się leniwie. Podchodzisz do okna, otwierasz je na oścież. Do wnętrza wpada rześkie powietrze. Oddychasz pełną piersią. Włączasz ulubioną muzykę. Podrygujesz w jej takt, zamiast omletu klasyczna jajeczniczka i kawałek ciasta. Docierasz do pracy na piechotę. Uśmiechasz się do ludzi. Zagadujesz. Tanecznym krokiem chodzisz po mieście.

— Pomyśleliby, że brakuje mi piątej klepki.
— A komu nie brakuje? Czy tym, którzy zamykają się na dwanaście godzin

w szklanych wieżowcach, nie brakuje? Czy tym, którzy podlizują się swoim szefom, kopią dołki pod kolegami z działu, nie brakuje? Wolę się uśmiechać niż robić świństwa innym ludziom. Wracasz do domu o siedemnastej i masz jeszcze tyle dnia przed sobą. Świeci słońce. Wychodzisz na balkon. Rozkładasz leżak i czytasz książkę.

— Dawno nie czytałem dobrej książki.

— A złą?

— Też nie.

— Dzwonisz do dzieci i zapraszasz je do siebie, na kolację. Albo idziesz z nimi do skate parku, dokądkolwiek. Wiesz co? Czasami chciałabym wykrzyknąć wszystkim ludziom. Tym, którzy są zbyt zabiegani i zapracowani. Szczególnie teraz, w tym przedświątecznym czasie. Co robicie? Gdyby to dzisiaj był wasz ostatni dzień z ukochaną osobą? Nieważne, czy byłoby to dziecko, babcia, mama, mąż, żona. A ty byś wiedział, że macie tylko ten dzień. To co byś zrobił? Dzwoni telefon, już miałeś wychodzić z dzieckiem na spacer albo obejrzeć film z ukochaną, albo porozmawiać z mamą, a jednak odbierasz telefon. Bo dzwoni szef, koleżanka, bo musisz odpowiedzieć na tego czy tamtego SMS-a. Ale czy to takie ważne? Można oddzwonić. Można rozwiesić pranie później. Macie ten jeden dzień. I czasami przyjdą jeszcze kolejne. Ale teraz ten dzień jest taki wyjątkowy i ten czas, który poświęcasz komuś, kogo tak bardzo kochasz. Nie żyjesz przecież dla tych innych ludzi, którzy tak naprawdę nie mają dla ciebie większego znaczenia. Żyjesz dla tych, których kochasz. Nos w komputer, telefon, uśmiechy do znajomych z fejsa. Lajk za uśmiech. Gdy wiedziałam, że moja mamusia umrze, miałam w nosie to, że w zlewie rośnie stos niepozmywanych naczyń i że w sobotę jest impreza, i też to, że telefon dzwoni, bo jakiś pan chciał mi wcisnąć tańszy abonament. Ile rzeczy robimy, które nie mają dla nas znaczenia. Trwonimy czas, którego wcale tak dużo nie mamy. I może myślisz, że się wymądrzam, ale ja to przeżyłam i wiem już, że nie warto tracić czasu na coś, co nie ma znaczenia, na to, co wypada, na kawę z kimś, kogo się nie lubi.

— Tak, coś w tym jest...

— A święta? Czemu ich nie lubisz?

— Czy zawsze tak dużo gadasz?

— To ty zaproponowałeś spacer, chyba zdawałeś sobie sprawę, na co się piszesz.

— Chyba jednak nie. Myślałem, że będziesz zaspana i nie będzie ci się chciało mieć jęzorem.

— Ach, ty! — Miśka roześmiała się. — Lubię gadać. Lubię uwalniać swoje myśli, poznawać myśli innych ludzi. To jak z tymi świętami?

— Nie jestem osobą wierzącą. Szanuję katolików, ale nie wierzę w Boże Narodzenie. Nie wierzę też w Świętego Mikołaja.

— Ale w nic tak zupełnie nie wierzysz?
— Jestem racjonalistą. Twardo stąпам po ziemi.
— A w drugiego człowieka wierzysz?
— Czasami nie. Dużo na tym świecie jest cyników, -hipokrytów, egoistów.
— Ale też i dobrych ludzi. Dużo jest na tym świecie dobra. To media zasypują nas tylko złymi wiadomościami. A o dobru jakoś nikt nie wspomina. Bo jest mało medialne.

— Możliwe.

— Święta są fajne. Tak specyficznie pachną... Goździkami, suszonymi cytrusami, piernikiem. Są takie strojne, błyszczące od kolorowych lampek na choince. To czas na przemyślenia. To czas bez pracy. I usiąść można na kanapie, i okryć się wełnianym kocem, który trochę drapie. I побыć z drugim człowiekiem, z bliskimi, a jeśli nie z bliskimi, to z innymi ludźmi... Dla mnie to czas narodzin samego Boga i może dlatego tak hucznie je obchodzę?

*

Tego wieczoru Artur z Miśką również pili nalewkę. Niekiedy patrzyli sobie w oczy. Oboje wiedzieli, że między nimi jest chemia. Oboje pragnęli siebie. W pewnej chwili, kiedy Miśka była zapatrzona w trzaskający czerwonym płomieniem ogień w kominku, Artur odezwał się.

— Chodź ze mną na górę...

Dziewczyna głośno przełknęła ślinę i spojrzała na niego.

— Zapraszasz mnie do siebie, bo chcesz się ze mną przespać?

— Nie... Chciałem coś ci pokazać. U siebie na laptopie. Gdybym chciał zaciągnąć cię do łóżka, wyładowalibyśmy w nim już dużo wcześniej.

— Tak myślisz?

— Tak.

— Nie bądź tego taki pewien.

— Oboje siebie pragniemy.

— Jesteś dla mnie za stary.

— Czy ja mówię, że budowalibyśmy razem życie? Nie. Ja mówię o chwili przyjemności... A wtedy nie ma znaczenia, ile kto ma lat. W ogóle wtedy nic nie ma znaczenia. Liczy się tylko ta chwila rozpięta między tęsknotą a pożądaniem. Ulotna. Piękna. Chwila, kiedy spełniasz swoje ukryte pragnienia.

Artur zbliżył się do Miśki. Dziewczyna poczuła, że płonie. W jednej chwili zrobiło jej się gorąco. Mężczyzna odsunął zabłąkany kosmyk włosów z jej policzka.

— Za bardzo cię lubię, by do tego dopuścić — powiedział, patrząc w jej

oczy.

Wstał i ruszył na górę. Miśka siedziała na kanapie oniemiała. Ona też go bardzo lubiła, a jeszcze bardziej pragnęła.

Odwróciła wzrok w stronę kominka i zatopiła się w swoich myślach. Po kilku chwilach Artur Niemecki ponownie zszedł na dół. Stał w progu, chciał coś powiedzieć, wyjaśnić, ale się nie odezwał. Nie chciał zburzyć magii tej chwili. Patrzył na Miśkę jak zaczarowany. Widział w swoim życiu tyle kobiet, wiele go adorowało, zabiegało o jego względy. Spotykał się z uroczymi blondynkami, ognistymi brunetkami. Były piękne, ale... Michalina... Od niej z trudem mógł oderwać oczy. Zachwycała go swoją delikatnością, szczerością i uśmiechem. Była spontaniczna, pełna magii... Patrzył na nią i zastanawiał się, o czym myśli. Może marzy? Może tylko wypoczywa. Włosy kręcone jak sprężynki, usta w kolorze czerwonego wina, idealnie wykrojone. I nawet w domowym dresie wyglądała bardzo seksownie i pociągąła go tak bardzo, że miał ochotę złapać ją w ramiona i pocałować. Zamiast tego odwrócił się i po cichutku wrócił na górę. Są takie kobiety, niby zwyczajne, ale tak piękne, bo mają w sobie wdzięk, radość życia, czar...

Michalina wspominała. Były takie historie, które postanowiła na zawsze schować głęboko w sercu. Bo wspomnienia to takie skarby, które chowamy w jego szufladkach, na dnie. Czasem te szufladki otwieramy, a wspomnienia z nich wylatują, niczym barwne motyle. Ich skrzydełka trzepoczą nam w brzuchu. Czująś kiedyś trzepotanie motyli skrzydeł? To te wszystkie magicznie wspomnienia.

Miśka dobrze pamiętała te wszystkie zwyczajne chwile, które spędziła ze swoją mamą. Te kanapki, które mama robiła jej do szkoły. I Miśka prosiła mamę, żeby nie wkładała do kanapki tyle warzyw, a mama zawsze pchała tam liść sałaty i ogórek, i plasterek pomidora, który potem i tak się rozpaćkał. I pamiętała matczyne dłonie, które ją gładziły. I te pocałunki. A ty? Pamiętasz mamine pocałunki? W nich jest tyle miłości... Tyle uczucia, że nie sposób tego opisać słowami.

I dziadka Miśka też sobie wspominała. Pamiętała, jak niósł babcię, kiedy po rehabilitacji nie mogła stanąć na nogach. „Bo ją tak tam wyćwiczyli, że przeholowali”. I dziadek najpierw naskoczył na rehabilitanta, że za dużo tych ekscesów z babcią wyprawiał. I gdyby Miśka dziadka nie powstrzymała, to obiłby mężczyźnie twarz. A kiedy dziadek w końcu się uspokoił, założył babci buty, pocałował ją z czułością i wziął na ręce. I babcia wrzeszczała na niego: „Nie wygłupiaj się. Dam radę!”. A dziadek mimo to niósł ją na rękach do samego domu. I nawet nie chciał zamówić taryfy. I Miśka to wszystko pamiętała. Uśmiechała się do tych wspomnień. Zawsze przed świętami odkurzała najpiękniejsze z nich. I mimo że za oknem panował mróz, dookoła niej fruwały kolorowe motyle, a w

sercu czuła ciepło...

Tej nocy Artur długo nie mógł zasnąć. „Mógłbym się do tego wszystkiego przyzwyczaić”. — pomyślał. Do małego miasteczka, spokoju. Życia bez gonitwy. Mógłby nawet inaczej spojrzeć na świat. Żadnych telefonów, nudnych spotkań, kolacji i obiadków z kontrahentami. Wieczorne spacery, kolacje i popijanie naleweczki. Zaskoczył sam siebie takim myśleniem. No i najważniejsze: Miśka. Zaopiekowałby się nią i Bartusiem. Jego dzieci przyjeżdżałyby tutaj. I... może by mu się udało. Może nie jest za późno? Tylko że są dzieci. Jak często by je widywał? A co z pracą? Czy miałby szansę na rozwój w Złotkowie? W pobliżu jest Sanok, może tam.

Przekręcił się na drugi bok. I po co o tym wszystkim myśli?

Rozdział 15

Wiktoria Skarżyńska siedziała na tylnym siedzeniu mercedesa swojego syna. Mariusz prowadził szybko. Co chwilę zerkał w lusterko, jakby chciał sprawdzić, czy matka nie uciekła. Kilka miesięcy temu ich życie stanęło na głowie, kiedy dowiedzieli się o chorobie. Wiktoria wiedziała wcześniej. To znaczy nie do końca była pewna, co się z nią dzieje, ale wiedziała, że to już trwa kilka lat. Mariusz nie mógł się nią zajmować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie winiła go za to. Miał pracę, swoje życie. A ona... Cóż... Była stara, u kresu życia. Na szczęście nie było potrzeby, by ktoś musiał z nią ciągle siedzieć. Prawdę mówiąc, czuła się nieźle. Już niczego od życia nie oczekiwała. I tak dostała więcej, niż mogła sobie wyobrazić. Przed wyjazdem do Złotkowa postanowiła, że sprzeda dom, a pieniądze ze sprzedaży przeznaczy na opłatę ośrodka, w którym zamierzała zamieszkać. Początkowo się broniła, ale kiedy ostatnio przypaliła garnek i nawet czując swąd, nie wiedziała, co to za smród i skąd dobiega, pomyślała, że potrzebuje nadzoru. Oczywiście nie powiedziała o tym Mariuszowi. Nie chciała go martwić.

„Mam tylko jedno życzenie” — zwróciła się ostatnio do syna. — „Chciałabym pojechać w góry”.

„W góry? Mamo, w twoim stanie... Nie wiem czy to dobry pomysł”.

„Jeszcze nie umieram. Czy ci się to podoba, czy nie”.

Naciskała na niego tak bardzo, że w końcu skapitulował.

Sama znalazła ten niewielki pensjonat z domową atmosferą: „U Miśki”.

— W hotelu byłoby ci lepiej — psioczył Mariusz.

— Wolę swojskie klimaty — zapewniła.

Mariusz był dobrym dzieckiem, ale zapracowanym, jak wielu ludzi w jego wieku. Kochał ją, tego była pewna, ale też ranił. Ostatnio spędzali ze sobą mało czasu. A Wiktoria tęskniła, także za wnuczką.

— Może zostaniesz ze mną kilka dni? — zapytała syna.

— Mamo, nie mogę.

„Możesz, możesz...” — pomyślała z goryczą Wiktoria. Świat by się nie zawalił, gdyby syn nie poszedł do pracy. Każdemu przysługiwał urlop.

Wiedziała jednak, że powód jest inny. Mariusz spieszył się do żony.

— Ale przyjedziemy... — powiedział.

Wiktoria już tego nie usłyszała, zatopiona w myślach.

Osiem lat wcześniej

Kiedy Mariusz przyprowadził do domu ówczesną narzeczoną, Wiktoria z miejsca ją polubiła. Co prawda syn był jej oczkiem w głowie, ale Wiktoria zauważyła, że Asia bardzo go kocha. Wiktoria urodziła Mariusza, kiedy miała trzydzieści pięć lat. Starła się o dziecko przez piętnaście lat. I kiedy chłopiec pojawił się na świecie, zwariowała ze szczęścia. A kiedy Mariusz się zakochał, bardzo mu kibicowała.

Po ślubie młodzi zamieszkali w jej domu, na piętrze, a Wiktoria na parterze. To ona namówiła Mariusza na wspólne mieszkanie. Asia oponowała, ale Mariusz postawił na swoim i zamieszkali we trójkę. Był między młotem a kowadłem; kochały go dwie kobiety, a on musiał wybierać, z którą liczyć się bardziej.

Nieraz z tego powodu dochodziło do kłótni między małżonkami. Wiktoria wtrącała się w ich życie niemal cały czas. Teraz wiedziała, że to był błąd, ale wtedy czuła się odsunięta na boczny tor. Henryk, jej mąż, zmarł rok przed ślubem Mariusza i Wiktoria została sama. Jak kania dżdżu, tak i ona łaknęła towarzystwa. Starła się pomóc synowej w domowych obowiązkach. Chciała ją trochę odciążyć.

„Mariuszek lubi pomidorową z przetartych pomidorów, a nie z koncentratu. Kluseczki powinny być domowej roboty, a nie kupne. Może ja wam ugotuję?” Asia początkowo się na to zgadzała. Ale z czasem coraz częściej stawiała okoniem.

Najgorsze było to, że małżeństwo młodych mogło się rozpaść i Wiktoria po części by do tego doprowadziła. Mimo że naprawdę chciała dobrze.

A potem Asia urodziła córeczkę i Wiktoria zakochała się we wnuczce. Chętnie się nią zajmowała, chodziła z Kasią na spacer, przewijała ją, śpiewała jej kołysanki. Czuła się potrzebna. Synowa jednak nie słuchała rad udzielanych przez teściową. To złościło Wiktorię i irytowało Asię. Wiktoria zauważyła, że Asia coraz częściej pije wino. Może sięgała po alkohol, bo teściowa nieustannie instruowała ją, jak ma zajmować się córeczką? Co chwila wytykała jej rzekome błędy. Kiedy Asia wróciła do pracy, Wiktoria zaopiekowała się wnuczką. Mijały dni, tygodnie, lata. Wiktoria mocno przywiązała się do Kasi, co skutkowało coraz częstszymi konfliktami z synową. Nie było dnia, żeby się nie pokłóciły. „Za lekko ją ubierasz”, „Przegrzewasz ją”, „Kasia już jadła”, „Nie powinnaś jej dawać tyle słodczy”. I tak w kółko.

— Aśka pije — któregoś dnia Wiktoria zwróciła się do syna. — Coraz więcej. Macie małe dziecko, a ona pije. Może przez przypadek skrzywdzić Kasię.

Mariusz burknął coś pod nosem, a wieczorem opowiedział żonie o obawach mamy.

— Mam tego dość! Twojej mamuśki, jej ciągłego kontrolowania, jej zupek

pomidorowych! — Asia nie wytrzymała.

— Ale dzięki niej oboje możemy pracować.

— To może moja mama będzie opiekować się Kasieńką. Mam tego dość! Rozumiesz?

— Ale wino pijesz.

— Jezuuu — jęknęła. — Też byś pił na moim miejscu, bo inaczej byś zwariował. Lampka wina dziennie jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Francuzi piją wino do obiadu. Przestańcie robić ze mnie alkoholickę.

Coraz częściej się kłócili. Po jednej takiej kłótni Asia wyszła z domu i poszła do baru. Wypiła kilka drinków. Może o dwa czy trzy za dużo. Wracała do domu, a świat jej wirował. Musiała przystanąć przy furtce, bo zrobiło jej się niedobrze, a nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Zaczerpnęła powietrza i ruszyła dalej. Wiktoria zobaczyła synową przez okno. Otworzyła drzwi.

Asia zatrzymała się na progu. Musiała oprzeć się o ścianę.

— Jesteś nawalona! — krzyknęła teściowa.

— Nie.

— Widzę!

— Mamo... — Asia powiedziała to „mamo” tak błagalnym tonem, że przez chwilę Wiktorii zrobiło się jej żal. Po chwili jednak wstąpiła w nią złość.

— Dobrze by było, gdybyś na jakiś czas się wyprowadziła.

— Słucham?

Wiktoria spiorunowała synową wzrokiem.

— Kasia zostanie ze mną!

Asia w jednej chwili oprzytomniała.

— Co mama opowiada? — Kobieta przytknęła dłoń do ust. Odbiło jej się.

Wiktoria spojrzała na Asię z obrzydzeniem. Skrzywiła usta.

— Dobrze, wyprowadzę się, ale z Kasią.

Wiktoria uśmiechnęła się chłodno.

— Który sąd odda dziecko alkoholiczce?

Asia osłupiała. Nie mogła uwierzyć w słowa teściowej, która w tej samej chwili zaczęła zamykać drzwi.

— Nie! — krzyknęła.

Krzyk Asi był dojmujący. Kobieta wepchnęła nogę w szparę między drzwiami. Zachwiała się. Co też teściowa próbowała jej wmówić? Sąsiadka, która właśnie przechodziła chodnikiem, przystanąła.

— Wiki, wszystko w porządku? — zapytała troskliwym tonem, jakby Asi tam nie było.

— Moja synowa... No wiesz...

— Znów wypila za dużo?

— Co pani opowiada? — Asia wybuchnęła. Czyżby teściowa rozpuściła

jakaś krzywdzącą plotkę?

Sąsiadka odeszła.

— Może pojedziesz do rodziców. Na miesiąc, dwa... Zrób coś ze sobą.

— Bez Kasi nigdzie się nie ruszam.

Wiktoria wykorzystała moment nieuwagi i pchnęła synową. Asia się poślizgnęła i upadła na trawnik. W tym samym momencie drzwi się zatrzasnęły. Asia podniosła się i podbiegła do drzwi. Zaczęła walić w nie pięściami.

— Proszę mnie wpuścić! Wpuść mnie, ty stara żmijo!!!

Asię ogarnęła rozpacz. Wyobraziła sobie triumf teściowej. Dlaczego ta kobieta chciała rozwalić ich rodzinę? Ona też należała do rodziny.

Waliła pięściami w drzwi, dopóki nie poczuła ostrego bólu w dłoniach.

Rozczarowało ją zachowanie Mariusza, który i tym razem stanął po stronie matki. Dzień po całym zajściu małżonkowie spotkali się w parku.

— Mama powiedziała, że byłaś zalana w sztorc.

— Twoja mama mówi dużo rzeczy — rzuciła złowrogo.

— Od jakiegoś czasu pijesz alkohol, tak?

— Kieliszek wina!

— Masz problem.

— Problemem jest twoja matka. — Asia czuła, jak w gardle rośnie jej wielka gula.

— Mama zawsze chciała nam pomóc. Zajmuje się Kasią, ty możesz pracować. Gotuje dla nas, robi pranie.

— Ciągle mnie krytykuje.

Mariusz wstał i spojrzał na żonę.

— Może dlatego cię krytykuje, bo robisz coś źle.

— Dlaczego stoisz po jej stronie?

— Nie stoję. — zaprzeczył. — Kocha nas.

— Was. Mnie nie.

— Asia... — westchnął Mariusz. — Nigdy się nie starałaś.

— Nie pierdol! — Joanna była u kresu sił.

— W tobie jest tyle agresji!

W jednej chwili Asia przestała nad sobą panować. Wstała, zamachnęła się i uderzyła męża otwartą dłonią w policzek.

Już w chwili, gdy usłyszała głuchy trzask, wiedziała, że postąpiła źle.

— Przepraszam. Przepraszam...

— Zastanów się nad sobą. Skończ z alkoholem. I wtedy pomyślimy, co dalej... — Mariusz wyminął ją i ruszył przed siebie.

— Chcę się zobaczyć z Kasią. Mam do tego prawo! — krzyknęła za nim.

Mężczyzna odwrócił się w jej stronę.

— Gdybym powiedział policji wszystko o tobie, złożył zeznania, że pijesz... Mama poświadczyłaby, sąsiadka też... Mama zebrała sporo dowodów.

— Dowodów?

— Te butelki w śmietniku. Ma fotografie. Nakręciła filmik, jak po pijaku krzyczysz na Kasię.

— Po pijaku? Jezu. O czym ty mówisz? Zdarzyło mi się krzyknąć na córkę, ale nie byłam pijana. Każdemu czasem puszczaają nerwy.

— Tobie widocznie zbyt często. Zobaczysz Kasię, jak ochłoniesz. Karol, mój przyjaciel, jest prawnikiem.

— Straszysz mnie?

— Weź się w garść. Nie zabronię ci kontaktów z córką. Tylko się ogarnij.

Wiktoria w gruncie rzeczy była zadowolona z takiego obrotu sprawy. Ale Kasia, która miała wówczas cztery lata, bardzo przeżyła wyprowadzkę mamy. Przestała jeść. Płakała bez przerwy. Zaczęła się moczyć w nocy, a w przedszkolu była bardzo niegrzeczna.

Mariusz coraz częściej odwiedzał Asię, która zamieszkała u swoich rodziców. A weekendy spędzali we trójkę.

Pewnego dnia spakował się i wyprowadził z wnuczką z rodzinnego domu.

Wiktoria wpadła w rozpacz.

— Wynajęliśmy sobie mieszkanie — powiedział.

— Ale Asia ma problem.

— Już nie ma mamę, już nie ma. Żałuję, że tak ślepo ci wierzyłem. Żałuję bardzo. Cieszę się, że Asia mi wybaczyła. Nie wiem, jak mogłem być taki ślepy...

Wiktoria myślała, że oszaleje z rozpacz. Oczywiście syn ją odwiedzał. Niemal co drugi dzień przyjeżdżał do niej po pracy. Przywoził ciasto, które upiekła dla niej Asia.

— Dorzuciła arseniku? — pytała z ironią w głosie Wiktoria.

— To ty wszczełaś tę wojnę, mamę...

— Przywieźcie mi Kasię... Kocham ją... Kocham!!! — łkała nieraz Wiktoria.

Kilka miesięcy temu, kiedy usłyszeli diagnozę, Asia podjęła decyzję, że będzie pomagać teściowej, mimo iż ta była do niej niechętnie nastawiona.

— Mamę, już jesteśmy. — Ze wspomnień wyrwał ją głos syna.

Wiktoria wysiadła z samochodu i w jednej chwili zrobiło jej się bardzo smutno. Ubolewała, że już nie ma takiego kontaktu z synem jak kiedyś. Woził ją do lekarzy. Przywoził zakupy. Nie wspominali o przeszłości, ale też nie było między nimi więzi. Nie zapraszali siebie na herbatki ani na ciasto. Nie chodzili na wspólne spacer. Oni nie zapraszali jej na urodziny. Wiktoria poczuła gorąco w gardle.

Miała ochotę się rozplakać, ale wiedziała, że jej nie wypada. Matki nie płaczą przy dzieciach. Nawet jeśli te dzieci są już dorosłe.

— No to jesteście — westchnęła.

— Czy na pewno chcesz tutaj zostać?

„A jakie mam inne wyjście?” — pomyślała smutno Wiktoria. „Przecież i tak nie zaprosilibyście mnie na święta”.

— Tak. Na pewno.

— No dobrze.

Wiktoria chciała jeszcze coś powiedzieć, zaproponować, że może wpadliby do niej w odwiedzinach, ale ostatecznie się nie odezwała.

Spojrzała synowi prosto w oczy. Zobaczyła w nich swoje odbicie. Starą, smutną, samotną kobietę.

Wiktoria usiadła na łóżku. Materac ugiął się delikatnie pod ciężarem jej ciała. Wyjrzała przez okno. Rozciągał się za nim cudowny widok na ośnieżone wzgórza. Poniżej widać było maleńkie domki, w których paliło się o tej porze żółte światło. Koło pensjonatu rosły dwa małe świerki, na których migotały lampki. Śniegu było po kolana. Skrzył się od światła lampek.

W blasku ulicznej latarni zauważyła syna, który rozmawiał z właścicielką domu.

— Mama się uparła, żeby tu przyjechać. Wie pani... Nie wiem, czy to dobry pomysł. — Mariusz opowiedział Miśce historię choroby Wiktorii Skarżyńskiej. — To dopiero początek. Na razie niby wszystko jest dobrze. Mamie zdarzają się tylko pojedyncze „wyskoki”. Może nie „wyskoki”, a „chwilowe zaniki pamięci”. Rzadko, naprawdę rzadko. Większość dotyczy mojej osoby. Jakby chciała wymazać mnie z pamięci... Sam nie wiem... Nieważne. Alzheimer to podstępna choroba. Starsza osoba myli fakty, zapomina o drobnostkach, dziwnie się zachowuje. Mało kto jest świadomy, że to mogą być początki poważnej choroby degeneracyjnej mózgu, a jednak... U mamy to dopiero początek. Gdyby coś było nie tak, proszę do mnie dzwonić. — Mariusz wręczył Miśce swoją wizytówkę. — O każdej porze. Będę... Przyjadę. To moja mama.

Miśka dotknęła jego ramienia.

— Będę czujna. Proszę się nie bać. Jeśli zauważę coś niepokojącego, zadzwonię.

— No nie wiem, nie wiem...

— Będzie dobrze.

I było. Wiktoria zaaklimatyzowała się. Często wychodziła na spacer, a Miśka za każdym razem sprawdzała, czy starsza pani wróciła do pokoju (kiedy Wiktorii za długo nie było, wychodziła jej naprzeciw). Wiktoria lubiła zwłaszcza

zimowe zachody słońca w górach. Opatulała się ciepło, wkładała kilka warstw ubrań, puchową kurtkę, szyję owijała ciasno szalem i szła nad strumyk. Wdychała świeże powietrze i zapominała. Tylko że to było dobre zapomnianie. Niezwiązane z chorobą. Co się z nią stanie potem? Kiedy już nic nie będzie pamiętać? Potrząsnęła głową, jakby chciała odgonić od siebie te myśli. Spojrzała na niebo. Słońce chowało się już za górami, barwiąc je na pomarańczowo, różowo, fioletowo. Woda przez chwilę była ciemnoniebieska, po chwili szara, a jeszcze później czarna. Nastawał wieczór. Na niebie pojawiały się pierwsze gwiazdy. Latarnie rozbłysły.

Rozdział 16

Kiedy Artur Niemecki zszedł na dół, zastał tam Bartusia, który z nietęgą miną siedział przy stole.

— Cześć — rzucił w stronę chłopca.

— Cześć — odrzekł tamten niemrawo.

— Co jest?

— Idziemy do kościoła.

— Myślałem, że lubisz chodzić do kościoła.

— Na próbę jasełek tak, na kolędowanie też, ale na mszę nie.

Artur uśmiechnął się pod nosem. Sam nie chodził do kościoła. I wierzył małemu, że siedzenie na mszy może się dłużyć chłopcu w nieskończoność.

— Wiesz co? Pójdę z wami.

— I co? Myśli pan, że dzięki pana obecności msza będzie trwała krócej? — Bartek przewrócił oczami.

— Nie, bynajmniej, ale może być przyjemniejsza. Możemy wymyślić pewną grę.

— Grę? — zaciekał się chłopiec.

— Tak.

— A jaką?

Kiedy msza się rozpoczęła, chłopiec z Arturem dusili się ze śmiechu. Wymyślili sobie kilka gier, które miały uprzyjemnić im czas. Najpierw mieli za zadanie policzyć wszystkie moherowe berety. Kolejnym etapem gry było jak najgłośniejsze zaśpiewanie „Alleluja” bądź „Hosanna”. Bartuś tak się wydarł ze swoim „Alleluja”, że zaskoczony ksiądz spojrział na niego z dezaprobatą.

— Co to było? — zapytała Miśka Artura i Bartka po mszy.

— Nic. Po prostu nie lubię chodzić na mszę — oznajmił siostrze Bartek.

— Katolicy chodzą na mszę w niedzielę — stwierdziła Miśka.

— Dobrzy ludzie są dobrzy każdego dnia, a nie na pokaz albo na mszy.

Michalina uśmiechnęła się pod nosem. Ona też kiedyś przestała wierzyć w Boga. Kiedy mama umarła, a tata od nich odszedł, Miśka dzień w dzień użalała się nad swoim losem.

— Bóg się na mnie wziął — powiedziała buńczucznie babci.

— O czym ty mówisz?

— Boga nie ma. Który Bóg zrobiłby to swojemu dziecku?

— Źle to pojmujesz. To nie Bóg ci to zrobił. To choroba zabrała ci mamę, a twój tatuś odszedł z własnej woli. To nie Bóg. Kiedyś to zrozumiesz... Ja też kiedyś nie wierzyłam. Dzisiaj wierzę. Na swój własny sposób, ale wierzę.

Kiedy Miśka zaczęła opiekować się Bartkiem, kiedy każdego dnia mogła zobaczyć jego rozwój, uśmiech, wówczas uwierzyła na nowo...

*

Bartek pobiegł przed siebie, a Artur z Miśką niespiesznym krokiem podążyli za nim. Dzień był słoneczny, acz mroźny. Śnieg mienił się w promieniach słońca niczym kryształki. Słońce świeciło im prosto w oczy. Artur zmrużył powieki. Oczy mu łzawiły od zimna, a wargi miał spierzchnięte. Pogrążył się w rozmyślaniach.

— Artur! — Z tego stanu wyrwał go głos Miśki.

Spojrzał w jej stronę. Słońce padało na nią pod takim kątem, że wydawało mu się, iż widzi nad jej głową aureolę. Poczul, że serce tłucze mu się w piersi jak oszalałe.

— Dziś babcia zaprasza nas na obiad. Pójdiesz z nami? Ja oczywiście mogę zrobić dla ciebie posiłek, ale jeśli chcesz, to jesteś mile widziany.

— Chcę — odparł tak szybko, że Miśka spojrzała na niego zdziwionym wzrokiem. — Chętnie pójde z wami na obiad — poprawił się.

— Ooo...

— Co znaczy to: „ooo”?

— Nie spodziewałam się tego po panu.

— Jeszcze wieloma rzeczami mógłbym panią zaskoczyć.

Roześmiali się.

— A ja myślałam, że lubi pan tylko pracować.

— Też tak myślałem.

Znów śmiech.

— Kiedyś byłem bardziej szalony.

— Naprawdę? Ja też.

— Wciąż jesteś jeszcze młoda.

— A z ciebie niby to starzec?

— No nie... Ale w pewnym wieku mniej się chce.

— Mi też już nie chce się szaleć.

— Dlaczego?

— Dlatego, że muszę myśleć, co do garnka włożyć. Muszę wychować Bartka na dobrego człowieka. Nie w głowie mi szaleństwa.

— Dobry z niego dzieciak.

— Dobry, ale rozrabiaka.

— A ty jaka byłaś przed tym wszystkim?

— Zanim zmarła mama?

— Tak.

— Głupiutka. Nie naiwna, ale lubiłam psocić. Miałam głupie pomysły. —

Miśka zaczęła się śmiać. — Pamiętam, jak kiedyś z koleżanką trzymałyśmy od środka drzwi do klasy. Po drugiej stronie babka od gegry kręciła kluczem. „Zacięły się”, psioczyła pod nosem. Tego dnia miała być klasówka. Belferka poleciała po dyrektora, który zaczął walić młotkiem w drzwi, żeby je naprawić. My z Olką zaczęłyśmy się tak śmiać, że puściłyśmy klamkę. Dostałyśmy pały i uwagi, ale uratowałyśmy klasę przed sprawdzianem.

— Czyli taki dobry samarytanin z ciebie?

Miśka zaśmiała się.

— Powiedzmy. A ty?

— Zrzucałem z dachu bloku worki z wodą na przechodniów. Obsikałem sąsiadowi wycieraczkę.

— Dlaczego?

— Stary konfident donosił rodzicom, że jaramy trawkę w piwnicy.

— Z dachem wiąże się też inna historia. Pamiętam, jak kiedyś chciałam mieć opaleniznę w kolorze czekolady. Wraz z Nastką, moją kuzynką, smarowałyśmy się olejem rzepakowym i wystawiałyśmy się na słońce. Spaliło nas tak, że wylądowałyśmy na ostrym dyżurze.

— Nago się opalałyście?

— Ha, chciałbyś wiedzieć.

— A więc nago?

Znów się śmiali.

Kiedy weszli do ogrodu, spojrzeli na siebie. Artur nie planował, że ją pocałuje. Po prostu wziął Miśkę w ramiona i zrobił to, o czym nie mógł przestać myśleć od kilku dni. Sam był zaskoczony tym, co zrobił. Z początku Miśka wydawała się trochę przerażona. Nie opierała się jednak. Westchnęła. Całowali się przez kilka chwil. Kiedy Artur się od niej oderwał, spojrzął jej w oczy. Ujął palcami jej podbródek i znów ją pocałował.

A potem przeprosił i wszedł do domu. Co on wyprawia? Co on, do cholery, wyprawia?

Bartek wpadł do domu jak burza.

— Zdejmij buty! — krzyknęła w stronę korytarza Michalina.

— Nie będę wchodził.

— To po co przyszedłeś? — Miśka wyszła na korytarz. Bartek stał na wycieraczkę i przebierał nogami.

— Poczulem głód.

— Wejdz i coś zjedz.

— Kiedy nie mogę.

— Dlaczego?

— Bo wszyscy na mnie czekają.

Miśka uśmiechnęła się pod nosem.

— Zapakuję dla was rogaliki i kilka batoników.

— Jesteś kochana.

— Wiem. — Miśka weszła do kuchni i włożyła słodycze do papierowej torby.

— Tylko niczego nie zbrój! — rzuciła za bratem, kiedy ten już wybiegał z powrotem.

— Spokojna głowa! — Bartek uśmiechnął się łobuzersko.

Miśka roześmiała się pod nosem. Zamknęła drzwi za bratem i weszła do kuchni. Nastawiła czajnik.

— Robisz kawę? — Za plecami usłyszała znajomy głos.

— Może być i kawa. — Odwróciła się.

Artur stał tuż za nią. Był tak blisko. Na wyciągnięcie ręki. A ona od lat czuła się tak bardzo samotna. Mężczyzna dotknął jej ramienia. Poczul dreszcz. Od tylu lat czuł się tak bardzo samotny... Michalina podniosła na niego wzrok. On w tej właśnie chwili mógł się nachylić i ją pocałować. Oboje szukali pocieszenia, ciepła... Oboje byli zranieni. Przysunęła się do niego bliżej. Jego ciepły oddech spoczął na jej wargach. Artur spojrzał w jej oczy i odsunął się gwałtownie.

— Nie możemy. — Pokręcił głową.

— Nie... Nie chodziło mi o to — zaczęła dukać dziewczyna.

Oboje jednak wiedzieli, że o to właśnie im chodziło. O ten kolejny pocałunek.

Od tamtej pory coś się między nimi zmieniło. Oboje zawarli milczącą umowę, że o tamtych dwóch zdarzeniach nie będą rozmawiali. Miśka pilnowała się, by nie zostać z Arturem sam na sam. Nie ufała sobie. Domyśliła się, że on jej nie chce. Nie była dziewczyną, która się narzuca.

Rozdział 17

— Chyba dojeżdżamy — zwróciła się Lena do córki, która dopiero co się obudziła. Mała usnęła zaraz po odjeździe pociągu z Warszawy. Spała do tej pory.

Dziewczynka przykleiła buźkę do okna.

— Czy pociąg podwiezie nas pod dom, gdzie będziemy mieszkały?

— Nie. — Lena pogładziła córkę po głowie. — Przesiadziemy się do busa, który zawiezie nas do Złotkowa.

Dziewczynka otworzyła szerzej oczy, chłonąc krajobraz.

Pociąg wjechał do tunelu, a kiedy wyjechał, zaczął podjeżdżać pod dość stromą górkę.

— Mam wrażenie, jakbym płynęła w chmurach — zaszczębiotała dziewczynka.

— Ja też.

Obie patrzyły jak zaczarowane.

— W Warszawie nie ma tyle śniegu — zauważyła Kaja.

— W górach zawsze jest więcej.

— To fajnie.

— Też się cieszę.

Kiedy Lena z Kają wysiadły z busa, zaparło im dech w piersiach. Stogi gór pokrywała śnieżna pierzyna. Pobliskie domy skrzyły się od światła kolorowych lampek. Na saniach przemknął Święty Mikołaj w towarzystwie elfów.

— Pięknie tu — powiedziała uśmiechnięta Kaja.

— Pięknie — potwierdziła Lena.

Weszły do domu. Przywitały się z młodą gospodynią i przeszły do salonu, w którego centralnym punkcie znajdował się kominek, a w nim wesoło trzaskał ogień. Na parapecie i wokół kominka paliły się pachnące świece, ustawione w ręcznie zdobionych świecznikach, słojach i butelkach, udekorowanych gwiazdami i gałązkami świerku. Tak, czuć było też zapach świerku. Pod oknem stała rozłożysta choinka, na której wisiały łańcuchy z papieru, gwiazdy, kolorowe bombki, orzechy, szyszki i sople z cukru, a także czekoladki. Lena uśmiechnęła się. „Tak swojsko” — pomyślała ze wzruszeniem. Szerokie podłogowe dechy, choć lekko porysowane, błyszcząły w blasku świec, trzeszczały z każdym postawionym krokiem. Miały kolor ochry. Pod ścianą stała brązowa sofa, obok fotel z podnóżkiem w takim samym kolorze. I sofa, i fotel były niedbale nakryte kremową narzutą o długim,

miękkim włosiu. Dodatkowo na sofie leżały poduchy, duże, miękkie, na których zostały wyszyte bombki i śnieżynki. Na półkach stały książki. Stare i nowe wydania. A także choineczki zrobione z filcu. Lena westchnęła. O takim miejscu nie marzyła nawet we snach. Do takiego miejsca przybyła.

— A tutaj — zwróciła się Miśka do Leny i Kai, kiedy weszły na górę — jest wasz pokój.

Lena z córką nie kryły zachwyty. Pokój był jasny, przestronny i piękny. Po prostu piękny. Ustrojony świątecznymi ozdobami w kolorze bieli i kremu. Bez zbędnego przepychu, po prostu tak, by czuć było świąteczny klimat.

— Dziękujemy — odpowiedziały chórem.

— Jeśli będą panie czegoś potrzebowały, jestem do dyspozycji. O każdej porze.

Miśka zamknęła drzwi. Dziewczynka z mamą zostały same.

Lena podeszła do okna i otworzyła je, wpuszczając do środka mroźne powietrze.

W tle było widać góry, a u dołu rynecek miasta, udekorowany migoczącymi światełkami. Z oddali dobiegał śpiew kolęd. Czyżby w kościele ćwiczył chór? A może to kolędnicy śpiewają na rynku?

Było już późno. Kaja wzięła prysznic i wsunęła się pod świeżą, wykrochmaloną pościel. Dość szybko zapadła w błogi sen. Lena natomiast napuściła wody do wanny. Para wypełniła wnętrze małej łazienki. Dodała do wody kilka kropelek lawendowego olejku. Zapach rozlał się po pomieszczeniu. Leżała w wannie kilkadziesiąt minut, rozkoszując się spokojem. Kiedy skóra na palcach zrobiła się pomarszczona, wyszła z wody. Jej ciało było zaróżowione. Wytarła się ręcznikiem i włożyła flanelową piżamę, po czym położyła się obok córki. Wtuliła się w nią i odplynęła w sen.

Następnego dnia z samego rana wybrały się na długi spacer po miasteczku. Przeszły się główną ulicą, po której jeździły sanie zaprzęgnięte w dzwoneczki. Z głośnika przy sklepie rozbrzmiewała świąteczna muzyka. Ogromne białe płatki śniegu tańczyły w powietrzu, wirując z wdziękiem niczym roztańczone dziewczynki w tiulowych spódniczkach, po czym opadały na czapki i nosy przechodniów. Złote światła dekoracji bożonarodzeniowych migotały na wystawach. Wąsaty pan w długim szarym płaszczu i grubych rękawicach sprzedawał choinki. Zapach świerków i jodeł unosił się w mroźnym powietrzu. Po dwóch godzinach Kaja zaczęła marudzić, że bolą ją nóżki. Michalina poleciła im kawiarnię, którą prowadziła jej babcia. Weszły do „Cynamonowych Serc”. Lena poczuła się jak w domu u babci. Słodkawy zapach wypieków i gorącej czekolady wdarł się do ich nozdrzy. Usiadły przy stoliku i zamówiły po napoleonce i kubku czekolady. Lena obserwowała córkę, która delectowała się słodkim wypiekiem.

Płatki ciasta francuskiego osiadły jej na ustach, a cukier puder udekorował mały nosek. Chciałaby zapamiętać taki obraz córki na zawsze.

Wróciły do pensjonatu. Lena poszła do pokoju, by rozpakować walizki, a Kaja została na podwórku przed domem.

— Cześć! — dziewczynka usłyszała za sobą chłopięcy głos.

— Cześć. — Kaja odwróciła się.

Stał przed nią chłopiec z kręconymi, czarnymi jak smoła włosami i ciemnymi oczami. Uśmiechał się do niej i lustrował ją ciekawskim spojrzeniem. Kaja miała oczy w kolorze zielonego groszku, tak ocenił je Bartek. Włosy jak z obrazu, który wisiał u babci w kawiarni. Jak one się nazywały... ach, tycjanowe, i nosek upstrzony piegami.

— Bartek jestem i tu mieszkam.

— Kaja, i też tu mieszkam.

— Tylko chwilowo — rzeczowo stwierdził chłopak.

— Tak, chwilowo.

— Jeśli chcesz, mogę zapoznać cię z innymi dziećmi. Możemy pozwiedzać okolicę.

— Chcę. A co do zwiedzania, to będę musiała zapytać mamy.

— No tak — prychnął Bartek.

— A ty się nie pytasz mamy, kiedy gdzieś wychodzisz?

— Nie.

Dziewczynka zrobiła oczy jak pięć złotych.

— Moja mama nie żyje.

— Przykro mi. — Wiedziała, że tak się mówi. Kiedy ktoś dowiadywał się, że ona nie ma taty, też się do niej zwracał tymi słowami. — To kto się tobą opiekuje?

— Siostra.

— Mój tatuś też umarł.

— A mój wyjechał.

— Czyli jesteś jakby sierotą.

— Nie, nie jestem.

— Jesteś, skoro nie masz rodziców. O mnie ktoś kiedyś powiedział, że jestem półsierotą.

— Ludzie czasami gadają głupoty.

— Ale to prawda — upierała się dziewczynka.

— Ty lepiej zapytaj mamy, czy możesz pozwiedzać okolicę, a nie gadaj jak katarynka.

*

Od tej pory Kaja nie odstępowała Bartka na krok. Kiedy on wracał ze szkoły, dziewczynka chodziła za nim wszędzie.

— A ty nie musisz chodzić do szkoły? — zapytał ją Bartek.

— Nie. Mamusia napisała mi usprawiedliwienie na ten tydzień, a od przyszłego są ferie.

— Szczęściara.

— Czasami nią jestem.

Kiedy byli w domu, chłopiec chętnie bawił się z Kają i otaczał dziewczynkę opieką. Ale poza domem, przy kolegach, udawał twardziela i nie chciał się zajmować dziewczynką. Kaja przybiegała do matki z płaczem.

— Kochanie, on jest starszy, ma swoich kolegów... — tłumaczyła jej Lena.

— A ja jestem jego nową koleżanką. — Dziewczynka miała naburmuszoną minę.

— Nie możesz wymagać od kogoś, by poświęcał ci sto procent uwagi.

Skończyło się na tym, że Miśka zabierała Kaję do „Cynamonowych Serc”. Dziewczynka z chęcią stała za ladą, układała serwetki, a niekiedy z babcią Zosią piekła ciasteczka.

Lena w tym czasie chodziła na spacer. Raz była nawet na stoku i zjeżdżała na nartach. Tego jej było trzeba, pomyślała, kiedy wracała zmarznięta do domu. Po drodze wstąpiła do sklepu wielobranżowego. Za ladą stała ekspedientka w przebraniu elfa. Lena uśmiechnęła się do niej promiennie. Weszła do alejki. Sama nie wiedziała, po co tu przyszła. Może powinna wysłać kartki świąteczne? Nie miała bliskiej rodziny, jej rodzice zmarli, a mama Czarka mieszkała w Stanach. Po namyśle stwierdziła, że powinna wysłać coś teściowej. Ruszyła w stronę stojaka z kartkami. W tej samej chwili poślizgnęła się. Ktoś ją złapał w locie.

— Elf? — Spojrzała w nieznajome zielone oczy.

— Elf — zaśmiał się mężczyzna.

Lena uwolniła się z jego objęć.

— Dziękuję.

— Proszę.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

— Pracuję tu — powiedział elf. — Ta elfica za ladą to moja starsza siostra. Ja jestem ten młodszy.

Lena uśmiechnęła się nieśmiało.

— To ja już pójdę — wydukała.

Mężczyzna mimo przebrania był naprawdę przystojny, a jego uśmiech zniewalający.

— Myślałem, że pędziła pani do stojaka z kartkami?

— Rozmyśliłam się.

— Napijesz się ze mną gorącej czekolady? W „Cynamonowych Sercach” dają najlepszą. Ale pewnie o tym wiesz, skoro wynajmujesz pokój u Miśki.

— A pan skąd o tym wie?

— Damian. Miło mi. Bez „pan”. Wiem dużo rzeczy.

— Nie napiję się z tobą czekolady, Damianie. Jesteś przystojnym — omiotła go wzrokiem — elfem. Ale... nie szukam kompana do picia czekolady. Czekoladę piję z córką.

— To też wiem.

— Skoro wiesz, to mamy jasność.

— Ale męża nie masz?

Lena napięła się niczym struna. Poczula w sercu ukłucie.

— Nie twój zasrany interes, elfie Damianie.

Wyminęła mężczyznę i wyszła ze sklepu.

Sama nie wiedziała, co ją bardziej przeraziło: czy to, że Damian spodobał jej się od pierwszego wejrzenia, czy to, że w gruncie rzeczy chciałyby wypić z nim gorącą czekoladę.

Rozdział 18

Miśka siedziała przy stole i wycinała gwiazdki ze złotego papieru. Ze sklepu upominkowego dostała zamówienie na sto sztuk ręcznie robionych kartek i pięćdziesiąt świeczników. Uwielbiała tę robotę. Rozłożyła się z materiałami przy kuchennym stole. Była tak zaabsorbowana pracą, że dopiero po chwili usłyszała dźwięk telefonu.

Na wyświetlaczu pojawił się napis: *Szkoła*. Serce Miśki zaczęło szybciej bić, jakby czuła przez skórę, że coś mogło się stać.

— Halo?

— Dzień dobry, Danuta Konieczna, dyrektorka szkoły podstawowej numer dwa.

Oczywiście Miśka wiedziała, kim jest pani Danuta Konieczna, ale skoro dyrektorka przybrała tak oficjalny ton, coś musiało być na rzeczy.

— Tak. Tutaj Michalina. Dzień dobry.

Dyrektorka ze szczegółami opowiedziała Miśce o tym, jak Bartek wdał się w bójkę.

— Tym razem Bartek zostanie potraktowany ulgowo, ponieważ to pierwszy raz. Ale następnym razem może nie pójść tak gładko — oznajmiła dyrektorka.

Miśka rzuciła wszystko i pobiegła do szkoły.

Po kilku chwilach była już w sekretariacie. Bartek siedział skulony na krześle.

— No i? — zapytała go, kiedy wyszli na korytarz.

Bartek podniósł na nią wzrok. Pod jego okiem malowało się fioletowe limo. Miśka przełknęła ślinę.

— Nic ci nie jest? — zapytała zatroskana.

— Nic.

W milczeniu przeszli przez korytarz. Miśka wzięła od brata plecak i przewiesiła go sobie przez ramię. Kiedy znaleźli się na dziedzińcu, Miśka spróbowała jeszcze raz.

— Co się z tobą dzieje? Najpierw ten bałwan, teraz ta bójka.

Wzruszył ramionami.

— Co się stało? — Miśka przystanęła.

— Ta bójka to co innego.

— To znaczy?

— Broniełem honoru rodziny.

Miśka ukucnęła naprzeciw Bartka.

— To znaczy?

— Ktoś obraził mamę i ciebie.

— A ciebie?

— Ja bym sobie z tym poradził. Ale mama... Ona nie żyje i nie może się bronić. A ty... Ty jesteś kobietą mojego życia i nie mogłem tak tego zostawić. Rozumiesz?

Miśka poczuła, jak rośnie jej w gardle wielka gula. Domyślała się, co mogło się stać. I jakie wyzwiska padły. Ona też przez to przechodziła. Myślała, że Bartek będzie miał łatwiej, tak było do tej pory. Ale mimo wszystko dzieci potrafią być wredne.

— To ten nowy chłopiec... — Chłopiec lekko się zgarbił.

— Bartuś. Dziękuję, że się za nami ująłeś. — Złapała brata za rękę. — Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Ale... są inne metody.

— Wiem, tylko czasami do niektórych przemawia jedynie pięść.

Miśka uśmiechnęła się w duchu.

— Napijemy się czekolady? — zaproponowała. — Wiesz, bicie to nie jest zbyt wychowawcza metoda, ale...

— On pierwszy zaczął — przerwał jej Bartek.

— Wierzę ci.

Ile razy słyszała historie, kiedy matki, nie wysłuchawszy, co ma do powiedzenia ich dziecko, niesłusznie je karały. Może Miśka czasami była dla Bartka zbyt łagodna, ale wierzyła mu.

— To co, czekolada?

— Czekolada.

— A możesz wrzucić do czekolady te waniliowe pianki na specjalne okazje?

— A czy to, że komuś przywaliłeś, można uznać za „specjalną okazję”?

— To nie. Ale ja też jestem poszkodowany. — Wskazał na swoje oko.

— Mogę wrzucić i pianki, i ubić bitą śmietaną.

— Rozpieszczasz mnie.

— Czasem trzeba.

Małe palce splotły się z większymi palcami. Ruszyli w stronę domu.

— Miśka?

— Hmm?

— A nic.

— Powiedz.

— Kocham cię, mamó Miśko.

— Kocham cię, Bartusiu.

Miśka pamiętała to uczucie, kiedy w dzień mamy weszła do przedszkola. Bartek miał wtedy pięć i pół roku. Chodziła do tego samego przedszkola.

Pamiętała, jak przychodziła tam z mamą. Którejś zimy, kiedy weszły do szatni, Miśka miała skostniałe palce u stóp. Mama nachyliła się nad nią, zdjęła buty i skarpetki i zaczęła rozcierać jej małe stópkę. Ogrzewała je w swoich dłoniach. Chuchała na nie. A potem nałożyła córce nowe skarpetki, te, które kupiła po drodze w kiosku ruchu. Stopy Miśki momentalnie się rozgrzały. Dziewczyna pamiętała też swój pierwszy dzień w przedszkolu. Miała cztery i pół roku, ale ten moment utkwił jej głęboko w zakamarkach pamięci.

Przed wyjściem do przedszkola obiecała mamie, że będzie dzielna. Ale kiedy weszły do budynku, Miśce zachciało się płakać.

Mama ukucnęła obok niej.

— Misia, co jest? — zapytała zatroskanym głosem.

— Wrócisz po mnie?

— Pewnie, że wrócę — oznajmiła mama, a Misia przytuliła się do jej piersi. Włosy mamy pachniały wtedy pomarańczami. — Dlaczego myślałaś, że nie wrócę?

— Bo jestem już duża. A jak ktoś jest duży, to radzi sobie sam.

— Misiu, Miśka, kochana moja... Nawet za dziesięć lat, nawet za dwadzieścia, zawsze będę po ciebie wracała, a ty zawsze będziesz mogła do mnie przyjść. Zawsze...

— Dzień dobry! — Rozmyślenia Miśki przerwał kobiecy głos.

Michalina odwróciła się. Za plecami stała kobieta po czterdziestce.

— Dzień dobry.

— Nic się nie zmieniałaś. — Nieznajoma lustrowała dziewczynę od stóp do głów. — No, może jesteś jeszcze ładniejsza.

— Czy my się znamy? — Miśka nie mogła sobie jej przypomnieć.

— Pamiętam cię, kiedy byłaś małą dziewczynką. Razem z twoją mamą, Ilonką, odprowadzałyśmy nasze dzieci do przedszkola. Potem przeprowadziłam się do Warszawy. Dwa miesiące temu wróciliśmy na stare śmieci. Michalina, prawda?

— Tak. To ja.

— Wspaniale wyglądasz. Mój syn to Olaf. Pamiętasz go?

— Nie za bardzo.

— Po przeprowadzce urodziłam bliźniaki. A co u mamy? Może podasz mi do niej jakiś kontakt. Fantastyczna kobieta. — Nieznajoma uśmiechnęła się pod nosem. — Wulkan energii. A jak się śmiała, to słychać ją było z daleka. Chętnie się z nią spotkam.

— Obawiam się, że to nie będzie możliwe.

Kobieta spojrzała na nią pytającym wzrokiem. Miśka opowiedziała jej o chorobie mamy, szpitalu, jej śmierci, o Bartku.

— Ale jak to? Onkologia? Cięża? Dlaczego?

— Też chciałabym wiedzieć.

Nieznamą otworzyła szeroko ramiona.

— Chodź tu do mnie — powiedziała, jakby znały się od lat. Jakby wiedziała, że Miśka tego potrzebuje.

Miśka weszła na salę wraz z innymi mamami. Dzieci stały na podwyższeniu. Bartek był przebrany za żabkę. Dwa dni wcześniej Miśka z babcią szyły dla niego kostium na przedstawienie. Dzieciaki wystawiały historię mamy żaby, która zgubiła gdzieś swoje małe żabiątka. Dzieci wypowiadały kwestie z zapalem, niektóre się myliły. Zaśpiewały kilka piosenek. A na koniec Bartuś stanął przy mikrofonie. Miśka poczuła ucisk w sercu.

Bartek zaśpiewał:

Najlepsza na świecie jest moja mama,

Ta moja mama. Ta ukochana.

Co się dla mnie tyle wycierpiała i wychowała mnie, więc kocham ją.

Nic na świecie, moja mamo, nie zastąpi cię.

Każda mama dla swych dzieci jak najlepiej chce.

Więc dziękuję ci dzisiaj za wszystko. Za twoją dobroć,

Za twoje łzy.

Że ślęczałaś nad moją kołyską i wychowałaś mnie, więc kocham cię.

Kiedy skończył, rozległy się gromkie brawa. Bartek pomachał w stronę siostry, a ona poczuła, jak spod powiek wypływają jej łzy.

Po przedstawieniu Bartuś wręczył Michalinie bukiet bzu. Jej ulubione kwiaty.

— Dla ciebie, mamusiu — powiedział i objął ją małymi rączkami.

Miśka go nie poprawiła, mimo iż setki razy tłumaczyła mu, że nie jest jego prawdziwą mamą. Nie wtedy... Tamtego dnia była. Bo on chciał mieć mamę, tak jak każde dziecko. Tak jak ona miała swoją. Z jej cudownym uśmiechem, z pełnym troski matczynym spojrzeniem.

Kochała brata wielką miłością, porównywalną zapewne do tej matczynej. Nieustannie się o niego martwiła. Kiedy chłopiec miał siedem lat, dostał od sąsiadów rower. Dzieci sąsiadów już z niego wyrosły.

Radość Bartka była nie do opisania. Codziennie na nim jeździł i uczył się nowych akrobacji. Któregoś dnia Miśka odebrała telefon od sąsiadki. Kobieta była bardzo zdenerwowana.

— Bartek miał wypadek na rowerze — powiedziała.

— Coś się stało? — Michalina poczuła, jak krew zaczyna dużo szybciej krążyć w jej żyłach.

— Mój mąż pojechał z nim do szpitala.

Kiedy Miśka z babcią dotarły do szpitala, dziewczyna była zlana potem, a nogi miała jak z waty.

— Tak się boję. — Wtuliła się w ramiona babci. — A jeśli jego też stracę?

— Nie stracisz.

— Skąd wiesz?

— Bo wiem, po prostu wiem.

Na szczęście lekarz uspokoił Miškę, że dziecku nic poważniejszego się nie stało. Chłopiec był tylko mocno poobijany.

Od śmierci mamy Miśka nie była w szpitalu. Kojarzyły jej się ze śmiercią. Aż do tamtego nieszczęśliwego wypadku Bartusia dziewczyna omijała je szerokim łukiem. To wtedy, na tamtym szpitalnym korytarzu, kiedy lekarze robili Bartkowi badania, Miśka przypomniała sobie ostatnie dni życia mamy. Mama leżała w szpitalnym łóżku i była taka radosna, i jakby pogodzona z losem. Miśka zdawała sobie sprawę, że to w dużej mierze zasługa babci, która przy mamie tryskała humorem, łykając łzy do środka. Dopiero w domu dawała upust smutkom i bezradności.

Mama po porodzie dużo z nimi rozmawiała, mimo iż Miśka wiedziała, że jest bardzo słaba.

— Wiesz, córeczko, jeśli ktoś cię naprawdę wkurzy, ale tak bardzo, bardzo wkurzy, że żadne argumenty do niego nie przemówią, to mu przylej.

— Ale zawsze mi mówiłaś, że można inaczej.

— Zazwyczaj można. — Mama uśmiechnęła się do Miški. — Ale kiedy nie można, to lutnij go lub ją w łeb. Może wtedy dotrze, jak bardzo cię zranił.

Zaczęły się śmiać. Miśka położyła Bartusia obok mamy. Malec spał twardym snem. Miał wtedy niecały tydzień.

— Czy to nie piękne? Życie. — Ilona spojrzała wielką czułością na syna, potem przeniosła wzrok na córkę.

Kiedy urodziła się Miśka, Ilona nie sądziła, że mogłaby kogoś jeszcze tak bardzo pokochać. Jej świat obracał się wokół tej małej istotki o pokręconych jak sprężynki włoskach i czarnych jak smoła oczach. Urodę dziewczynka odziedziczyła po ojcu. Ilona pamiętała, że kiedy tylko dowiedziała się o ciąży, spojrzała w lustro i w jej oczach pojawił się blask. Inny niż ten, kiedy kobieta obdarza uczuciem mężczyznę. Silniejszy. Piękniejszy. A potem — ciąża z Bartusiem i ta sama wielka radość. Ona była stworzona do tego, by być mamą. Kochała być mamą. Nawet ciążę znosiła dobrze.

— Piękne. Życie jest piękne.

— Pewnie, że jest. Wiesz, Misia... — W oczach mamy zamigotało światło. Po porodzie była osłabiona, poza tym lekarze od razu zaaplikowali jej chemię. Nikt

nie dawał Ilonie szans na przeżycie. A jednak mama żyła jeszcze pół roku od porodu. — Chciałabym wrócić do domu na kilka dni. Na dwa albo trzy. Chciałabym zobaczyć kwitnące jabłonie i wiśnie. Kocham kwiaty wiśni. I chciałabym usłyszeć, jak ptaki śpiewają w naszym ogrodzie, i zamoczyć nogi w naszym strumieniu...

Miśka była poruszona prostotą pragnień mamy. Zabrały ją z babcią ze szpitala na dwa dni. Mama spełniła swoje ostatnie marzenia.

Od tamtej pory Miśka cieszyła się z takich małych rzeczy, które podarowuje jej los. Ostatnio ucieszyła się, że jej kaktus zakwitł. Dostała go pięć lat temu i zakwitł dopiero teraz.

A jednak tamtego ostatniego dnia w szpitalu Miśka nie była przy mamie. Bała się zobaczyć, jak Ilona odchodzi. Czuła, że to ten dzień... Wolała ją zapamiętać leżącą na polanie nad strumykiem, kiedy jasnoróżowe płatki wiśni na nią spadały, a mama śmiała się ostatkiem sił.

— Może pani wejść do sali. — Jej rozmyślania przerwał doktor.

Miśka pchnęła drzwi i weszła. Bartuś leżał na łóżku, był uśmiechnięty, ale poobijany.

— Jesteś zła? — zapytał, kiedy Miśka usiadła na taborecie obok łóżka. Dziewczyna spojrzała na jego spuchnięty policzek.

— Nie. Dlaczego miałabym być zła?

— Kochasz mnie?

— Bez względu na wszystko będę cię kochać.

— Jak się wykuruję, wracam na rower.

— Czyś ty rozum postradał?

— Nie. Kocham jeździć na rowerze.

— Zęby stracisz. Znow się poturbujesz, a może i połamiesz.

Bartuś zacisnął powieki.

— Powiedziałaś mi kiedyś, że jak upadnę, będę musiał się podnieść.

— To była przenośnia.

— Ja myślę, że to samo tyczy się roweru. Nigdy się nie poddawaj. Upadasz, podnoś się. Usłyszałem te słowa w tej kreskówce o wojowniku.

— I co zamierzasz?

— Skakać na rowerze przez przeszkody, dopóki się nie nauczę.

— A jak znow coś ci się stanie?

— Lekarz powiedział, że młode kości szybko się zrastają.

— Ty nie bądź taki mądry...

Kiedyś mama powiedziała jej, że w życiu ważna jest pasja. I spełnianie marzeń, i jeszcze miłość. I że trzeba nieustannie próbować. Jak się chce być w czymś dobrym, to trzeba trenować. Jak mogła zabronić Bartkowi jazdy na rowerze?

— To co?

— Jajeczko?

— Czekoladowe.

Miśka otworzyła szeroko ramiona. Ile jeszcze będzie musiała się martwić o brata? Ponoć do końca życia.

A ty? Tak ty, która to czytasz. Czy doceniasz to, co masz?

Idź i przytul swoje dziecko, męża, mamę, kota, psa. Doceń to, że ktoś nabałaganił, ktoś inny rozrzucił ubrania. Kot miauknął, pies zaszczekał. Co tam bałagan, nieprzespane noce, zaspane dni. Masz tyle szczęścia, tyle szczęścia... Codziennie otwierasz oczy, podnosisz się, pijesz kawę w ulubionym kubku, bosa stópki biegną po podłodze, otaczają cię czyjeś ramiona. Masz tyle szczęścia... Tyle szczęścia.

Rozdział 19

— Idziesz czy nie? — zapytał Bartek Kaję.

— Idę, pewnie, że idę! — Dziewczynka się ożywiła.

— Zapytaj mamę o pozwolenie, nie chcę mieć przez ciebie kłopotów.

— Kłopotów?

— Ostatnio mam ich dużo.

Kaja wbiegła po schodach na górę.

— Mamusiu!

— Tak, kochanie? — Lena obrzuciła córkę badawczym wzrokiem.

— Mogę iść z Bartkiem na spacer?

— Dobrze, tylko weź ze sobą telefon. Gdyby coś...

— Tak, będę dzwonić. Bartek zna tu wszystkich. Ja też już znam okolicę. —

Kaja posłała mamie jeden ze swoich najbardziej uroczych uśmiechów.

Wybiegła z pokoju i już po chwili zakładała buty.

— Szalik włoż. I czapkę — poinstruował ją Bartek.

— A ty bez czapki jesteś.

— Bo ja jestem człowiekiem z gór. Przyzwyczailem się do niskich temperatur i silnego wiatru. — Chciał zaimponować koleżance. Wiedział doskonale, że uszy będą go szczypać, ale był już przecież doros-ły, a dorośli rzadko noszą czapki. Przynajmniej ci ze Złotkowa. Poza tym, gdyby Miśka go nakryła, dostałby burę.

Wyszli na zewnątrz. Od kilku dni sypał śnieg, z czego cieszyły się dzieciaki. Gałęzie pobliskich drzew uginały się pod ciężarem śnieżnych czap, z dachów zwisały lodowe sople.

Bartek urwał jeden soplel i włożył do buzi. Kaja próbowała sięgnąć po drugiego, ale była za niska.

— Daj, dzieciaku, pomogę ci.

Bartek wspiał się na palce i urwał dla dziewczynki soplel, po czym wręczył go małej niczym trofeum.

— Nie jestem dzieciakiem — oburzyła się Kaja.

— Jesteś.

— Jestem od ciebie tylko o dwa lata młodsza.

— To dużo.

— Wcale nie.

Bartek włożył sobie soplel do buzi. Dziewczynka poszła w jego ślady.

— Gdzie idziemy? — zapytała po chwili marszu.
— Na cmentarz.
Kaja przystanąła.
— Boisz się?
— Nie. Ale po co?
— Ponoć ostatnio na cmentarzu pojawiają się duchy.
— Duchy?
Bartek musiał się odwrócić, bo dusił się ze śmiechu.
— Pękasz?
— Nie.
— To dobrze, głupolku. Idziemy do mamy.
— Na grób?
— Tak. Zawsze chodzę do niej we wtorki.
— Dlaczego akurat we wtorki?
— Ile ty pytań zadajesz.
— No, dlaczego?
— Bo to jest nasz dzień. Mama urodziła mnie we wtorek. I dlatego.
— Rozumiem. To ty pogadasz z mamą, a ja z tatą.
— Ale twój tata nie ma tu grobu.
— No i co z tego? Duch taty może być wszędzie. A na cmentarzu będę mogła z nim spokojnie porozmawiać.
— Skoro tak twierdzisz.
— Ja to wiem...

Wieczorem babcia Zosia usiadła z dziećmi przy kominku. Oczywiście nie przyszła z pustymi rękami, przyniosła kruche rogaliki nadziewane kremem czekoladowym. Bartek z Kają zajadali się słodkościami, popijając herbatę z sokiem malinowym, a babcia zaczęła opowieść:

— Każdy marzy i każdy chce, by jego marzenie się spełniło. Bo nie warto tak marzyć tylko dla samego marzenia. Kiedy w bezchmurną noc spojrzycie na niebo, zobaczycie gwiazdy. Setki, tysiące, miliony. To są marzenia wszystkich ludzi na ziemi. Świecą, bo są wypełnione wiarą. A tylko wiara świeci tak jasno. Kto je spełnia? Anioły. Latają po niebie i do koszyków wrzucają gwiazdne marzenia. Niektóre z tych marzeń wyrzucają.

— Dlaczego? — zapytała Kaja, której oczy błyszczały, a buźka była umorusana czekoladowym kremem.

— Bo to nie są dobre marzenia.

— Marzenia mogą być złe? — zapytał Bartek, który powtarzał nieraz babci, że nie wierzy już w takie opowieści, a mimo to zawsze słuchał ich z zapartym tchem.

— Nieprzydatne, mogą szkodzić ludziom. Są też pragnienia, które nie są prawdziwymi marzeniami. Bo czy marzeniem jest chęć posiadania nowego telewizora czy komputera? Nie, to tylko pragnienia. Nie mówię, że są złe, ale anioły takich pragnień nie spełniają, bo dobrze je wybierają. Spełniają prawdziwe marzenia.

— Jakie na przykład?

— Na przykład mama jednego chłopczyka marzyła kiedyś, by jej niepełnosprawny synek zaczął chodzić. Prosiła o to Boga każdego wieczoru w modlitwie. Jej jasna gwiazda migotała na niebie. Anioł stróż szepnął jej wtedy do ucha: „Do spełnienia tego marzenia musicie włożyć też trochę waszej pracy”. I kobieta zabrała synka na rehabilitację, sama też codziennie z nim ćwiczyła. Chłopiec przeszedł kilka operacji. I pewnego dnia postawił samodzielnie parę kroków. Może to nie dużo, ale dla tych dwojga to były całe kilometry.

— Ja marzę o tym, by tatuś spędził ze mną święta, choć jedno. Marzę o tym od tylu lat i co? Nic.

Na policzkach chłopca pojawiły się rumieńce. Zosia od razu zauważyła wzburzenie wnuka.

— Bartusiu, wierzę, że pewnego dnia spędzisz z tatą niezapomniane święta.

— Akurat! — Bartek odłożył talerzyk i pobiegł do swojego pokoju.

Do salonu weszła Miśka.

— Co z nim? — chciała biec za bratem.

— Nie idź za nim — poinstruowała ją babcia. — On potrzebuje побыć trochę sam.

— Ale...

— Misia, zaufaj mi, zostaw go.

Bartek leżał na łóżku. Był zły, przez chwilę walił pięściami w poduszkę. Miał już dosyć tych babcinych opowieści o aniołach. Co ona bredzi? Przecież on nie jest już dzieckiem i wie, że jeśli poprosi jakiegoś tam skrzydłatego anioła o to, aby spełnił jego marzenie, to ten i tak go nie spełni. Bo takich aniołów nie ma. Poczul ukłucie w sercu. Uderzył jeszcze raz pięścią w poduszkę i nagle nie wiadomo skąd na jego nosie znalazło się białe piórko.

Bartek wstał z łóżka, chwycił poduszkę i zaczął ją oglądać ze wszystkich stron. To pewnie pierze. W poduszce musi być jakaś dziurka. Ale żadnej dziurki nie znalazł. Skąd więc to piórko?

Chłopiec podszedł do okna i spojrzął na bezchmurne niebo upstrzone gwiazdami.

„A może czas zacząć wierzyć?”

I gdy tylko o tym pomyślał, z półki spadła książka.

— Co się dzieje? — Bartek był już lekko wystraszony.

Podniósł z podłogi książkę, której okładka była już nieco wytarta. To prezent, który mama podarowała kiedyś Miśce. Książka otworzyła się na jednym z opowiadań. Bartek zaczął je czytać.

Pewnego dnia anioł zstąpił na ziemię i skierował się w stronę tych wszystkich ludzi, którzy użalali się na to, że krzyże, które dźwigają, są zbyt wielkie i zbyt ciężkie w stosunku do tych, które dźwigali ich znajomi. Nakazał więc im, aby złożyli swoje krzyże w dobrze strzeżonym miejscu. W ciągu jednego dnia wielki plac wypełnił się krzyżami wszelkich możliwych gatunków, wielkości i ciężarów.

Po upływie pewnego czasu anioł znów powrócił i pozwolił im, aby wybrali takie krzyże, jakie uznali za stosowne.

Okazało się, że każdy wziął ten sam.

Pino Pellegrino

Rozdział 20

Wiktoria Skarżyńska z miejsca pokochała pokój na poddaszu. Szczególnie spodobał jej się wzór piwonii wymalowany na ścianie. Tak jakby ktoś wiedział, że kocha te kwiaty. To wiązankę z piwonii niosła do ślubu. Jasnoróżowych, o uderzającym zapachu. Podobała jej się też ta młoda dziewczyna, która prowadziła pensjonat; była taka radosna. A jej braciszek, mały rozbójnik o oczach w kolorze węglików, był takim słodkim chłopczykiem. Rozumnym, jak jej Kasieńka. Wiktoria klapnęła na łóżku, które zaskrzypiało pod jej ciężarem. Nie musiała siebie oszukiwać, bo wiedziała, że wszystko popsuka. Synowa nawet słowem nie napomknęła o wspólnej Wigilii, stąd ta podróż. Zasłużyła sobie na samotność. A może tak naprawdę nikt nigdy na nią nie zasługuje? Nie powinna nieustannie o tym rozmyślać. W dodatku jeśli za dużo się zastanawia, wówczas w jej głowie płaczą się myśli. Czasami już nie wie, co jest prawdą, a co nie. Coraz częściej myśli o czymś intensywnie i już po chwili zapomina, co to było.

Wiktoria Skarżyńska wyszła na spacer. Po kilkadziesiąt minutach śnieg rozpadał się na dobre. Zaczął dąć silny wiatr. Tak silny, że kobiecie wydawało się, że ją przewróci. Rozejrzała się dookoła. Zobaczyła otwarte na oścież drzwi kościoła. Z trudem weszła po schodach. Kiedy znalazła się w środku, opadła na ławkę. Panował tam półmrok i ten charakterystyczny zapach starych kościołów: parafiny, stęchlizny i czegoś jeszcze. Wiktoria odetchnęła głęboko. Dopiero po chwili zobaczyła, że przed nią w ławce klęczy jakaś kobieta. Płakała? Jej plecy drżały. Wiktoria wyciągnęła w jej kierunku rękę. Nie była osobą, która lubiła się spoufalać, ale dotknęła pleców nieznajomej. Tamta się wzdrygnęła i odwróciła w jej kierunku głowę. Jej oczy były czerwone, podobnie jak nos. A jednak płakała.

— Wszystko w porządku? — zapytała Wiktoria.

— Nie. Nic nie jest w porządku...

Nie takiej odpowiedzi się spodziewała.

— Może... — Sama nie wiedziała, co ma powiedzieć. — Może napije się pani ze mną kawy?

— Na dworze rozpętała się śnieżycyca. Do najbliższej kawiarni jest dwadzieścia minut drogi, a ja mieszkam tuż za rogiem.

Wiktoria analizowała w głowie wszystkie za i przeciw.

— Nie jestem wariatką. Ani morderczynią.

— A kim pani jest?

— Uczę historii.

Usiadły w niedużym, lecz czystym saloniku. Na ścianach wisały półki z książkami. W ogóle książki wypełniały niemal całą wolną przestrzeń. Żadnych bibelotów, fotografii, tylko książki. Jadwiga Kowalik w czajniczku zaparzyła malinową herbatę.

— Dla zdrowotności — powiedziała, stawiając czajnik i filiżanki przed Wiktoria.

Wiktoria wołała czarną. Może nie dla zdrowotności, ale dla dobrego smaku. Ale nie zaprotestowała.

Zaczęły rozmawiać. O dziwo, była to przyjemna pogawędka. Były mniej więcej w podobnym wieku. Dlatego z przyjemnością wspominały szalone lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte.

— Dlaczego pani płakała? — zapytała Wiktoria Jadwigę.

— Kiedyś może o tym pani opowiem. A teraz przejdźmy na ty.

Kobiety uściśniły sobie dłonie.

— Wiktoria.

— Jadwiga. Co sprowadza cię w nasze strony?

— A nic. Chciałam ostatni raz zobaczyć góry.

— Mówisz, jakbyś umierała.

— Nie umieram, a zapominam.

— Zapominasz? — Jadwiga uniosła brew.

— Ponoć starym ludziom się to zdarza.

— Nie jesteś taka stara.

— I wcale staro się nie czuję. A ty? Mieszkasz tutaj od urodzenia?

— Nie. Od kilkunastu lat.

— Piękna okolica. Spokojne życie.

— Niby tak...

— Masz rodzinę?

Jadwiga zawahała się, bo niby co miała odpowiedzieć? W końcu mogła wyrzucić z siebie prawdę skrywaną przez kilkanaście lat.

— Nie, nie mam — ucięła. — A ty?

— Mam, syna i wnuczkę.

— I przyjechałaś tutaj sama? Nie spędzisz z nimi świąt?

— Nie przepadamy za sobą z synową.

— Bywa.

— Bywa...

Wiktoria pociągnęła spory łyk herbaty. Lekko się skrzywiła, bo napój jej nie smakował.

— Wynajmujesz pokój u Michaliny?

- Skąd wiesz?
- W tak małej społeczności plotki rozchodzą się z prędkością światła. To dobra dziewczyna. Kiedyś ją uczyłam. Miała przed sobą tyle perspektyw, ale śmierć jej mamy wszystko pokrzyżowała.
- Co masz na myśli?
- Musiała zająć się wychowywaniem brata. Miała wtedy osiemnaście lat.
- O, byłam przekonana, że Bartuś to jej synek.
- Przepraszam, myślałam, że wiesz. Nie jestem plotkarą...
- To zostanie między nami. A jednak radzi sobie.
- I to bardzo dobrze. Nie straciła pogody ducha.
- Myślisz, że to jest w życiu ważne, by nie stracić tej pogody ducha, którą każdy ma w sobie?
- Tak, myślę, że tak. I chyba trzeba wierzyć...
- W Boga?
- W ludzi. W ludzi przede wszystkim.

Rozdział 21

Telefon zawibrował. Kiedy Artur zobaczył przychodzące połączenie, podniósł się na łokciu.

— Gosia? — Zdziwiło go, że była żona szuka z nim kontaktu. Rzadko do niego dzwoniła, chyba że uzgadniali jakieś sprawy dotyczące dzieci. O co więc mogło chodzić?

— Tak, to ja. Masz chwilę?

— Coś nie tak z dziećmi?

— Nie, wszystko w porządku.

— To dobrze.

— Możemy porozmawiać? Wiem, że wyjechałeś, ale...

— Tak. Wracam po świętach. Zabiorę wtedy dzieci do siebie.

— Tak, tak. To mamy dogadane, ale... wolę, byś dowiedział się tego ode mnie.

— Jesteś chora? — Artura ogarnął strach.

Gosia roześmiała się.

— Nie nazwałabym tego chorobą. Jestem w ciąży. To już trzynasty tydzień. Nie mówiłam wcześniej, bo nie chciałam zapeszać. Dzieci bardzo się cieszą. Powiedziałam im dzisiaj.

— Ach, tak. — Artur odchrząknął.

— I tylko tyle masz mi do powiedzenia?

— Gratuluję.

— Dzięki. Wiesz, że zawsze chciałam mieć całą gromadkę. — Artur usłyszał w głosie żony ogromną radość.

— Wiem. — Przełknął ślinę. W jednej chwili poczuł, że opadł z sił. Było mu przykro. Sam nie wiedział dlaczego, ale w jednej chwili wypełnił go dojmujący smutek. Może był zazdrosny?

Jeszcze chwilę porozmawiali i Artur się rozłączył. Pamiętał tamten dzień, którego będzie wstydził się do końca życia. Kiedy się pobrali, Artur oznajmił żonie, że chce mieć jedno dziecko. „Szkoda, że mnie o tym nie powiadomiłeś wcześniej” — powiedziała z goryczą. Gosia kochała dzieci. Sama pochodziła z wielodzietnej rodziny i pragnęła mieć dwójkę bądź trójkę swoich. On wolał żyć wygodnie. Jedno dziecko okej. Ale dwójka? Nocne wstawanie, pieluchy, ząbkowanie, kaszki i odpowiedzialność za tego małego człowieczka sprawiały, że

ogarniało go przerażenie.

Kiedy Gosia zaszła w ciążę po raz drugi, oskarżał ją, że zrobiła to specjalnie.

— O czym ty mówisz? Kochałeś się ze mną.

— Kochałem, ale wiesz dobrze, że nie chcę mieć więcej dzieci.

— To trzeba było uważać.

— I co teraz?

— Nic. Będziemy mieli drugie dziecko.

Chodził naburmuszony przez kolejne dni. Mało się odzywał do Gośki, gdyż w duchu stwierdził, że żona go wrobiła.

*

Trzy tygodnie później Gosia wbiegła do jego biura. Była w koszmarnym stanie. Po policzkach spływał jej rozmazany tusz. Artur zaprowadził ją do swojego gabinetu.

— Co się stało? — zapytał przejętym głosem.

— Poroniłam.

— Przykro mi... — Wziął ją w ramiona.

— Naprawdę? Myślałam, że zaraz wystrzelą korki od szampana.

— Gosia... Może i nie byłem gotowy na dziecko, ale...

Musiał sam przed sobą przyznać, że cieszył się w duchu z takiego obrotu sprawy. Jakim więc był człowiekiem, skoro ucieszyło go to, że nie będzie miał kolejnego dziecka? Dzisiaj się tego wstydzi, ale wtedy...

Gosia przez kolejne pół roku rozpacziała po stracie dziecka. Artur odczuwał mieszaninę ulgi i smutku. W końcu, po siedmiu miesiącach, oznajmił żonie, że powinni ponownie spróbować.

— Naprawdę tego chcesz?

— Chcę. Chcę...

Urodziła się Janka, która z miejsca stała się jego oczkiem w głowie. Ależ on się w niej zakochał. Tylko że były potrzebne pieniądze na nowy wózek, pieluchy, ubrania dla dzieci. Uciekał w pracę. Może trochę ich zaniedbał. Gosia próbowała ratować to małżeństwo, to on wszystko zepsuł. Teraz był tego świadom. Miśka miała rację, nie samą pracą człowiek żyje. Artur osiągnął stabilizację finansową, ale wracał do pustego mieszkania i był sam jak palec. Dzieci oddalają się od niego. A teraz jeszcze w ich życiu pojawi się braciszek albo siostrzyczka... Poczul ukłucie zazdrości, a potem smutek. Był człowiekiem na półmetku, z kilkoma siwymi włosami, z delikatną siecią zmarszczek. Człowiekiem, który przez ostatnie lata był tak cholernie zagubiony i jeszcze bardziej samotny.

Kiedy Gosia wyprowadziła się z domu, Artur miał jeszcze nadzieję, że żona

do niego wróci. Przemyśli sprawę i wróci. Kiedy dostał papiery rozwodowe, stracił nadzieję. Zawsze będzie pamiętał ten dzień, który miał posmak wódki. Artur usiadł na ich małżeńskim łóżku, na nocnym stoliku postawił flaszkę. Popijał alkohol prosto z gwinta. Czuł przerażenie. Był zmartwiony i smutny. Cholernie smutny. Smutek wypełniał niemal każdą komórkę jego ciała. Oddychał smutkiem. Brał kolejne łyki. Wódka paliła go w gardło. Czuł się tak, jakby jego dusza opuściła ciało, wzniosła się wysoko i patrzyła na jego odrętwiałe ciało, a potem się z niego naigrywała...

Artur zjadł kolację w towarzystwie Wiktorii Skarżyńskiej. Przy stole nie było ani pani doktor z córką, ani Bartka.

— Młody człowieku, czy zechciałbyś mi towarzyszyć podczas spaceru? — zapytała go po skończonym posiłku.

— Z przyjemnością. — Artur z miejsca polubił starszą kobietę. Michalina powiedziała mu, że pani Wiktorია ma początki Alzheimera. Artur nie mógł w to uwierzyć. Kobieta wydawała mu się dziarska i pełna energii.

Kilka minut później szli chodnikiem w stronę parku. Artur podtrzymywał ją pod ramię. Śnieg sypał intensywnie drobnymi płatkami. Jakby ktoś w niebie przesiewał mąkę.

— W tym roku mamy prawdziwą zimę. — Wiktorია uśmiechnęła się pod nosem.

— I oby takich zim było jak najwięcej.

Kobieta zadarła głowę.

— Anioły rozsypują śnieg niczym cukier puder.

— O, i trafiła pani w punkt, bo ja pomyślałem, że śnieg wygląda jak mąka.

— Też ładnie, ale ten cukier puder jakiś taki słodszy.

Uśmiechnęli się do siebie. Szli pomału, rozglądając się dookoła.

— Byłam tutaj jakieś dwadzieścia lat temu — powiedziała Wiktorია. — W Złotkowie nie było ani jednego turysty.

— Teraz też nie ma ich za wielu.

— Bo jadą do typowo turystycznych miejscowości. A tutaj jest tak ładnie.

— Chciałem móc powiedzieć, że spokojnie...

— A co, niespokojnie?

— Rzekłbym, świątecznie. — Artur przypomniał sobie swoje pierwsze wrażenie po przybyciu do miasteczka.

— Mieszkańcy Złotkowa kochają święta Bożego Narodzenia.

— Kiedy tu przyjechałem, myślałem, że trafiłem do wioski Świętego Mikołaja.

Wiktorია roześmiała się w głos. Przystanąła i spojrzała na Artura.

— Przed czym uciekasz? — zapytała.

— A dlaczego sądzi pani, że przed czymś uciekam?
— To dziwne, spędzać święta z dala od rodziny.
— Nie przepadam za świętami.
— Samotni ludzie nie lubią świąt.
— Nie jestem samotny. Mam dzieci...
— O! To jeszcze dziwniejsze, że nie chcesz z nimi spędzać świąt. Nie osądzam cię, daleko mi od tego, ale dlaczego jesteś tu zamiast z nimi?
— Moja była żona i jej partner spędzają z nimi ten czas.
— No tak, ale zawsze jest jakieś wyjście...
— A pani?
— Mam syna, wnuczkę... Synową.
— Nie lubi jej pani?
— Czy ja wiem? Chyba jestem o nią zazdrosna.
— Typowe w relacjach synowa — teściowa.
— Być może. A z twoją żoną już wszystko skończone?
— Definitywnie.
— I ciebie to boli?
— Na początku miałem ochotę gościowi palnąć w łeb. Ale jakoś to przebolełem. Tylko wciąż mnie boli... Może też jestem zazdrosny.
— A dzieci?
— Dzieci uwielbiają Darka.
— Hmm. Bywa.
— Hmm. Chyba tak.
— To co? Idziemy napić się gorącej czekolady do „Cynamonowych Serc”?
— Myśli pani, że jeszcze otwarte?
— Michalina powiedziała, że dzisiaj w kawiarni jest czekoladowy wieczór.
— Grzech nie skorzystać.
Ruszyli w stronę lokalu.
— Dwoje nieszczęśników — podsumował Artur.
— Powiedziałabym, że swego czasu byliśmy szczęśliwi, tylko gdzieś po drodze zagubiliśmy to szczęście.

Rozdział 22

Lena wyszła na sanki z Bartkiem i Kają. Dzieciaki zjeżdżały z górki, a ona stała na dole i trzęsła się z zimna. Tego dnia było kilkanaście stopni poniżej zera. Od kilku chwil rozważała, czy sama nie powinna zjechać na sankach, żeby się rozruszać i nie skostnieć z zimna, kiedy usłyszała za sobą męski głos.

— Przyniosłem ci herbatę z rumem.

Odwróciła się. Za plecami zobaczyła uśmiechniętego Damiana; trzymał w ręku kubek z wieczkiem.

— Bardziej mnie kręcisz jako elf. — Lena uśmiechnęła się do niego.

— Lecę się przebrać — zażartował i wręczył jej kubek.

Kobieta spojrzała na kubek.

— Oprócz rumu niczego innego nie dorzuciłem. Spróbuj. Rozgrzejesz się.

Kobieta uniosła wieczko. Buchnęła para. Lena podmuchała przez chwilę herbatę i pociągnęła łyżeczek.

— No i?

— Mocne, ale dobre. Co tu robisz, elfie Damianie? Nie mów mi, że przyszedłeś pojeźdzać na sankach.

Roześmiał się.

— Podoba mi się twój cięty dowcip. Jechałem do sklepu i cię ujrzałem. I bum. Tak jak w tych wszystkich komediach romantycznych. Trafiło mnie.

— A ja myślałam, że strzała Amora trafiła cię już w sklepie, jak mnie łąpałeś w objęcia.

Damian roześmiał się.

— To chyba drugi raz kupidyn wypuścił strzałę prosto w me serce. — Mężczyzna teatralnym gestem złapał się za pierś.

— Mów dalej, to nawet ciekawe. Lubię ckliwe romansidła.

— Zrobiło mi się ciębie żal. Dygotałaś z zimna i stąpałaś w miejscu. Poszedłem do sklepu, powiedziałem siostrze elficy, że muszę komuś zanieść herbatę. A że mam dobre serce, to sama rozumiesz... — Posłał jej jeden ze swoich uśmiechów, ten, który zawsze działał na kobiety.

— Przeze mnie jesteś spóźniony do pracy.

— Siostra się cieszy, że ktoś wpadł mi w oko.

— To musisz sobie tego kogoś wydłubać z oka. Posłuchaj — Lena spojrzała Damianowi w oczy — zapewne wiesz, że jesteś przystojny i podobasz się kobietom.

- A tobie?
- Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie.
- To w czym tkwi problem?
- Daj sobie ze mną spokój.
- Dlaczego?
- Choćby dlatego, że wyjeżdżam po świętach.
- Ja też.
- Tak?
- Mieszkam w Warszawie, przyjechałem do Złotkowa tylko na dwa tygodnie, by pomóc siostrze w sklepie i spędzić z nią święta. A ty gdzie mieszkasz?
- W Piasecznie.
- O... To mamy do siebie jakieś pół godziny drogi.
- Tylko, że mnie nie interesują mężczyźni.
- Wolisz kobiety?
- Daj mi święty spokój!
- Czemu, gdy kończą ci się argumenty, wybuchasz złością?
- Bo już taka jestem.
- Fajna jesteś. Napijesz się ze mną kawy?
- Nie pijam kawy, tylko gorącą czekoladę. Cześć.

Tej nocy Lena nie mogła zasnąć. Tęskniła. Wciąż tęskniła za Czarkiem. Za jego obecnością, rozmowami z nim. Za tym, że przy niej był. Nawet czasami, kiedy robili coś innego, jego obecność w domu dodawała jej skrzydeł. Chciała na nowo poczuć miłość. Chciała być kochana. Nie знаła osoby, która by tego nie chciała. Jeśli już raz doświadczysz miłości, chcesz jej ciągle doświadczać. Lena twierdziła, że to uczucie uzależnia...

Miśka weszła na zaplecze „Cynamonowych Serc” już o szóstej rano. Babcia krzątała się przy piecu.

- A ty co tutaj robisz? — Zosia podniosła wzrok na wnuczkę.
- Przyszłam ci pomóc.
- Masz dosyć obowiązków.
- Śniadanie dla gości już zrobiłam. Przykryłam je lnianymi ściereczkami. Zresztą i tak zdążę wrócić do domu, zanim wstaną.
- Babcia spojrzała na wnuczkę podejrzliwym wzrokiem.
- Skoro tak twierdzisz.
- Tak twierdzę — powiedziała nieco zbyt ostrym tonem Miśka, po czym włożyła fartuch i czepek.
- Trzeba zagnieść ciasto na drożdżowca — Zosia poinstruowała wnuczkę.
- Dobrze.

Miśka nie lubiła wyrabiać drożdżowego ciasta. W ogóle nie lubiła babrać się w mące, ale dzisiaj musiała coś zrobić z rękami, bo czuła, że inaczej wybuchnie albo, co gorsza, zrobi coś bardzo głupiego.

Zamaszyście wyrabiała ciasto, kiedy usłyszała głos babci.

— Wiesz, jaki jest sekret dobrego, puszystego drożdżowego ciasta?

— Nie.

— Cierpliwość. W ogóle... — Babcia zastanawiała się na głos. — Cierpliwość jest potrzebna również i w życiu. Nie ma co kierować się za bardzo wybuchami emocji.

— Babciu, czy ty coś sugerujesz?

— Ależ skąd. — Zosia uśmiechnęła się pod nosem. — Nie należy się za bardzo spieszyć.

— Ale z czym?

— No z wyrabianiem drożdżowego. Trzeba dać mu czas, by wyrosło w cieple. W cieple, powtarzam.

— Babciu, czy ty się ze mnie nabijasz?

— Nic podobnego.

Zamilkły.

Miśka nakryła miskę z ciastem ściereczką i odstawiła w pobliże pieca.

Sięgnęła po drugą miskę i zaczęła odmierzać mąkę i cukier na muffinki. Dodała rozpuszczone masło i jajka. Nie mogła zaprzętać sobie głowy obsesyjnymi myślami o Arturze. Wymieszane ciasto na babeczki przelała do dwóch misek. Do jednej dodała pokruszone ciasteczka czekoladowe i wiórki czekolady. Do drugiej migdały i wiórki kokosowe.

— Miśka? — odezwała się ponownie babcia Zosia.

— Hmm?

— Widzę, jak na niego patrzysz.

— Na kogo?

— Jestem może i stara, ale nie głupia. Na pana Artura.

— Jak?

— Maślanymi oczami. On również tak na ciebie patrzy.

— Za półtora tygodnia wyjeżdża.

— Właśnie. Dobrze, że masz tego świadomość.

— Nie chcę, by wyjeżdżał. Nie chcę pozwolić mu odejść. — Michalina miała tak piskliwy głos, że sama go nie poznawała.

— Misia... — Babcia podeszła do wnuczki i mocno ją przytuliła. — Przystopuj... A wiesz dlaczego? Nie dlatego, że czegoś nie powinnaś bądź coś powinnaś. Tylko dlatego, że złamane serce zawsze boli...

— Ja się chyba w nim zakochałam — wybuchnęła Miśka. Po jej policzkach zaczęły spływać łzy.

— I dobrze. Stan zakochania jest cudowny. Może z tego wyjść coś fajnego. Zakochanie może przerodzić się w miłość, może też wywietrzeć. A prawdziwa miłość... Prawdziwa miłość to w gruncie rzeczy spokój. Kiedyś, jak większość młodych dziewczyn, sądziłam, że to fajerwerki, porywy serca. Ale to nieprawda. Miłość to radość ze zwyczajnych dni. Kiedy siedzicie przy kominku okryci kraciatym kocem i jego dłoń dotyka z czułością twojej, to jest to wasze szczęście. I kiedy nie ciąży wam wspólne milczenie, bo w tym czułym dotyku, we wzajemnej obecności jest radość bycia przy drugim człowieku. I kiedy słyszysz jego kroki na schodach i już wiesz, że będzie głodny. Nalewasz na talerz pomidorową, bo to jego ulubiona zupa. I kiedy on całuje cię w policzek. I to nic, że całował cię już przedtem setki razy, i może ten kolejny pocałunek wydaje ci się taki zwyczajny. Ale jest, bo ty jesteś obok niego, a on obok ciebie. I czasami masz go dość, a on ciebie, i krzyczycie na siebie i rzucacie talerzami, co najmniej jak włoska rodzina. I lecą przekleństwa. A potem on przychodzi do ciebie albo ty do niego i mówicie: „I po co to wszystko?”. I macie tyle wspólnych pięknych chwil za sobą. Dużo radości z bycia razem.

Był mroźny wieczór. Miśka stanęła przy oknie, na którym mróz wymalował piękne wzory. Michalina zauważyła mężczyznę, który szedł w stronę rynku, trzymając za rękę chłopca. Duża dłoń ścisnęła mniejszą. Bartek i Artur wyszli na spacer.

Śnieg chrzęścił pod ich stopami. Latarnie rzucały żółte światło na zasy utworzone na skraju drogi.

— Jaki sens jest w spacerach? — odezwał się chłopiec, naciągając na uszy czapkę. Było naprawdę zimno.

— W sumie to sam za bardzo nie wiem. Po prostu czasem warto się przejść.

— Jak nie wiesz, to po co wyciągnąłeś mnie na ten mróz?

— A tak pomyślałem, że pozaglądamy ludziom do okien.

— W jakim celu?

— By zobaczyć, jakie mają choinki.

— Nikt nie ma takiej jak nasza.

— No to chodź, zobaczymy.

Dwie ciemne postacie zniknęły za zakrętem. Michalina uśmiechnęła się do siebie.

Bartek z Arturem szli przed siebie, co i rusz przystając i zaglądając do okien. Niemal w każdym domu stała już ustrojona choinka. Niektóre drzewka były tak przyozdobione, że gałązki uginały się pod ciężarem bombek i innych ozdób, inne nieco skromniej; jedne żywe, inne sztuczne; małe, rozłożyste i te do sufitu. Ale wszystkie piękne.

— Wie pan co? Miśce to potrzeba faceta.
— Faceta? — Artur Niemecki omal nie zakrztusił się pierniczkiem, którym przed chwilą poczęstował go Bartek.
— Faceta.
— A skąd ci to przyszło nagle do głowy?
— Nie nagle. Już od dłuższego czasu mi to chodzi po głowie.
Artur uśmiechnął się pod nosem.
— Chyba twoja siostra umie sobie sama znaleźć chłopaka.
— Chyba nie umie. Miała tylko jednego. I tyle.
— No wiesz, może jeszcze nie pojawił się ten właściwy.
— A jakbym panu zapłacił?
— Za co?
— Żeby pan się z nią umówił.
— Nie... — Artur zaczął kręcić nerwowo głową.
— A czemu? Jest ładna i ma wszystko na miejscu.
— Tak. Oczywiście. — Artur poczuł się zażenowany, a mimo to na samą myśl o Miśce zrobiło mu się gorąco.
— No więc, o co chodzi?
— Jestem dla niej za stary.
— To ile ma pan lat?
— Czterdzieści cztery.
— Oooo! Faktycznie nie jest już pan młody.
— Wypraszam sobie.
— Takie są fakty. Ale... Ale nie wygląda pan na swój wiek.
— A na ile według ciebie wyglądam?
— Na jakieś trzydzieści dziewięć lat, może trzydzieści dziewięć i pół.
Artur się roześmiał.
— Ma pan dzieci?
— Dwójkę. Jankę i Kubę.
— To dlaczego nie przyjechały tutaj z panem?
— Bo rozwiodłem się z ich mamą.
— Pewno musi im być smutno.
— Pewnie tak.
— Mi też czasami jest smutno. Tylko proszę o tym nie mówić Miśce.
— Nie powiem.
— Smutno mi... bo mama jest tam. — Wskazał ręką na bezchmurne, czarne niebo.
— A tatuś?
— Tatuś jest specjalnym agentem i jeździ po świecie, by ratować ludzkość.
— Rozumiem. — Artur z powagą pokiwał głową.

— To nieprawda, ale ja w to wierzę. Wierzę w to, bo wtedy mi jakoś lżej na duszy. Pana dzieci też muszą za panem tęsknić.

— Widziałem je trzy tygodnie temu.

— To cała wieczność.

— Może tak. — Artur poczuł się głupio. — Może dla nich to wieczność. Ale zobaczę je w sylwestra.

— A święta? Święta to bardzo ważny czas dla rodziny...

Artur odchrząknął, ale nic nie powiedział.

Ruszyli w drogę powrotną do domu.

— I niech pan pomyśli o mojej propozycji. Widzę, jak pan patrzy na moją siostrę. Czuję, że coś z tego może być... A ja mam w skarbonce trochę kasy.

Rozdział 23

— Dlaczego mnie nie chcesz? — Miśka stanęła naprzeciwko Artura, krzyżując ręce na piersiach. Kilka minut temu weszła do jego pokoju. Miała dość udawania. Oboje wiedzieli, że między nimi coś jest.

Artur nic nie odpowiedział. Bo gdyby wydobył z siebie słowo, musiałby zaprzeczyć.

— Uważasz, że jestem dla ciebie za młoda? Że jestem niedojrzała? Jeśli tak, to się mylisz. Jestem nad wiek dojrzała. A różnica wieku? Jeśli ludzie coś do siebie czują, to nikogo nie obchodzi, ile kto ma lat. Bo przecież musisz coś do mnie czuć. Widzę to. I nawet jeśli za kilka dni wyjedziesz, to trudno. Jeśli cię ponownie nie pocałuję, będę tego żałowała. Bo to jest to, czego w tej chwili pragnę. I pragnę o wiele więcej. Pragnę ciebie. Chcę, żebyś się ze mną kochał.

Artur potrząsnął głową, ale wciąż nic nie powiedział.

— Odpowiedz na jedno moje pytanie.

— Tak?

— Gdyby dziś należało tylko do nas, czy zgodziłbyś się ze mną kochać?

Artur spojrzał w jej piękne, duże, sarnie oczy.

— Tak.

Mężczyzna wyciągnął rękę w kierunku Miśki i zaczął gładzić jej włosy. W tym właśnie momencie granica została przekroczona. Wszystko działo się tak szybko. Kiedy później Miśka wspominała tę chwilę, nie pamiętała, jak to się stało, że znalazła się w ramionach Artura. Wiedziała jednak, że wtedy wszystko, co się między nimi działo, wydawało jej się takie naturalne. Zamknęła oczy, kiedy Artur musnął ustami jej szyję. Kiedy ją całował w zagłębieniu za uchem, wstrząsnął nią dreszcz. Jego dotyk wydał się dziewczynie zdumiewająco delikatny. Potem przesunął wargi na jej usta. Kiedy jego język wtargnął do jej ust, dziewczyna westchnęła cichutko. Miśka pierwszy raz doznała tak bogatych i intensywnych przeżyć. Kiedy na chwilę się od siebie oderwali, spojrzeli sobie w oczy. Jego były jak odmęty siniego morza, w którym można się utopić.

„Źle robię” — pomyślał Artur, wiedział jednak, że na myślenie było w tamtej chwili za późno. On był doświadczony, starszy od dziewczyny o dwadzieścia lat, ona taka czysta, ufna... Nie chciał jej w żaden sposób wykorzystać. Ale jej pragnął. Pragnął tak bardzo, że jedyne, o czym w tamtej chwili myślał, to żeby się z nią kochać. Pieścili się przez chwilę. Artur był zaskoczony, kiedy dziewczyna szepnęła:

— Jestem gotowa.

Kiedy wszedł w nią, Miśka poczuła się tak, jakby wznosiła się ponad ziemią. A może rzeczywiście szybuje się wtedy w chmurach?

Miśka z Arturem leżeli nadzy pośród skotłowanej pościeli. Żadne z nich nie było zawstydzone swoją nagością. Spoczone ciała lepiły się do kołdry. Leżeli przez chwilę w ciszy. Ona oplotła nogą jego nagie uda.

— To było niesamowite — odezwał się Artur.

Miśka uśmiechnęła się pod nosem i pocałowała go w sterzcący sutek.

— Jest taka piosenka Małgorzaty Ostrowskiej, *Meluzyna. Z Podróży Pana Kleksa* albo z *Akademii Pana Kleksa*. Zaczekaj. — Artur uniósł się na łokciu i wstał z łóżka. Włączył laptop. Otworzył plik i puścił piosenkę. — Słuchaj...

*Ale miłość, moi mili,
Jest nieczuła na mądrości.
I dla jednej wspólnej chwili
Zapomina o śmieszności.
Ale pan Pustorak stary,
Co po dnie skalistym kroczy,
Nie dał nabrać się na czary,
Nie te oczy, nie te oczy.*

— Ostrowska ma wspaniały głos — powiedziała Miśka, kiedy piosenka się skończyła.

— Ma.

— Coś chciałeś dać mi do zrozumienia, puszczając tę piosenkę?

— Nie wiem. — Wzruszył ramionami. — Jestem dla ciebie za stary.

— Nie mów tak.

— „Nie te oczy, nie te oczy” — zanucił Artur, po czym mocno przytulił Michalinę.

Przez chwilę trwali w milczeniu.

— Mam dwójkę dzieci, byłą żonę, bagaż doświadczeń.

— Jesteś wolny... A bagażem się nie zajmuj, też mam swój i go dzwigram.

— Niby tak...

— O co ci chodzi?

— O to, byś się nie angażowała.

— Dlaczego? Skoro dwoje ludzi coś do siebie czuje...

— Mieszkam ponad czterysta kilometrów stąd. We Wrocławiu mam pracę. Ty masz tutaj swoje życie. To by nie wyszło.

Miśka przełknęła ślinę.

— Tego nie wiesz.

— Rzuciłabyś to wszystko i przeprowadziła się do mnie?

Dziewczyna pokręciła głową.

— Wiesz... Bartuś, babcia...

— A gdybyśmy wzięli Bartusia ze sobą.

— Babcia... — westchnęła.

— I babcię...

Dziewczyna potarła dłońmi skronie.

— Starych drzew się nie przesadza.

Michalina poczuła, jak ogarnia ją smutek. W jej oczach pojawiły się łzy.

Może będzie kochała Artura tylko przez tych kilka dni? A potem on odejdzie, a ona będzie musiała o nim zapomnieć? A może do niej kiedyś wróci?

Leżeli w milczeniu. Artur przeczesywał palcami włosy Miśki.

— Opowiedz mi o niej — odezwała się po chwili Michalina.

— O mojej byłej żonie?

— Tak.

— Dlaczego chcesz o niej rozmawiać?

— Chcę cię lepiej poznać. A poznam cię lepiej, dowiadując się, jaką kobietę wybrałeś na towarzyszkę życia. Jakim jesteś ojcem... Jakim człowiekiem.

— Ożeniłem się z najcudowniejszą kobietą na świecie. Tak wówczas sądziłem... — Artur westchnął. — Ona jest naprawdę cudowna. Nawet teraz tak sądzę. Zakochałem się w niej niczym szaleniec. Ona też mnie kochała. Bardzo. Utonęliśmy w swoich uczuciach i emocjach. Przez pierwsze lata żyliśmy jak w bajce. Ba, wtedy nasze życie wyglądało nawet lepiej niż bajka. Potem urodził się Kuba. I wiadomo, jak to przy dziecku... Bywało czasem ciężko. Ja musiałem więcej pracować. Brałem coraz więcej nowych zleceń, by zapewnić rodzinie godziwy byt. Ale mogliśmy żyć skromnie. Miewaliśmy kilka kryzysów, ale wychodziliśmy z nich bez szwanku. Mocniejsi. Żona zawsze mi powtarzała: „To tylko przejściowe”. I tak było. „Przejściówki” są obecne w życiu każdego człowieka. Potem Gosia zaszła w kolejną ciążę. Poroniła. Przez jakiś czas była w depresji. Zdecydowaliśmy się na drugie dziecko. Janka jest moim oczkiem w głowie. Córeczką tatusia. Zacząłem jeszcze więcej pracować. „Daj spokój. Starczy nam na mleko i pieluchy” — powtarzała Gosia. Ale ja nie dawałem spokoju. Kiedy urodziła się Janka, nie uczestniczyłem w życiu rodzinnym, tylko pracowałem nad nowymi projektami. Byłem odpowiedzialny za projekt dwóch nowoczesnych osiedli. W weekendy też pracowałem. Nie miałem wtedy czasu dla rodziny i choć mieszkaliśmy razem, na dobrą sprawę nie spędzaliśmy czasu ze sobą poza snem i zwyczajową wyprawą do sklepu po zakupy. Nie miałem czasu absolutnie na nic. Nie miałem sił, by być ojcem i mężem. Nie miałem czasu na zrobienie

czegokolwiek dla rodziny. I kiedy Gosia mówiła: „Odpuść”, ja się wściekałem i znikałem. Zamykałem się w biurze, w którym spędzałem po kilkanaście godzin. Wybuchaly kłótnie i awantury, a ja nie widziałem, że to wszystko przeze mnie. I w końcu Gosia ode mnie odeszła. Ale zanim to nastąpiło, starała się ze wszystkich sił ratować małżeństwo. Namówiła mnie na wizyty u terapeuty.

— Jestem jak najbardziej normalny — powiedział oburzony.

— Ta terapia pozwoli nam zobaczyć, gdzie popełniliśmy błąd.

— Nigdzie. Żyjemy jak większość małżeństw z długoletnim stażem. Mamy dom do utrzymania i rachunki do opłacenia.

— Spróbuj. Zaczniemy od indywidualnych spotkań”.

Przewróciłem oczami, ale w końcu się zgodziłem. Moim zdaniem wizyty u terapeuty nic nie wniosły w nasze życie. Tylko marnowały nasz cenny czas. Opowiedziałem terapeutce o swoim dzieciństwie, które na pewno nie było destrukcyjne, o swoim życiu, które według mnie było jak najbardziej w porządku, o dobrej posadce, jaką grzałem w firmie. A kiedy stwierdziłem, że mam dość, zacząłem przekładać, a potem odwoływać wizyty. Już myślałem, że mam z tym całym głównym spokojem, kiedy Gośka wypaliła pewnego ranka:

— Doktor Romanowski stwierdził, że potrzebujemy terapii małżeńskiej.

— Aha.

— Kiedy masz czas? — Gosia była nieustępliwa.

— Gosiu, o to chodzi, że ja nie mam czasu.

— Czyli standard?

— Mam tyle zleceń. Powinnaś się z tego cieszyć.

Żona pociągnęła łyk kawy.

— Co ci po zleceniach, kiedy stracisz rodzinę?

— Nie mówisz poważnie. — Poczulem narastającą irytację.

— Jak najbardziej.

Zgodziłem się w końcu iść na terapię małżeńską. Szedłem na nią jak na skazanie.

— Nie poświęca nam uwagi — mówiła Gosia podczas spotkania z terapeutą.

— Praca jest na pierwszym miejscu. A ja? A dzieci?

— Czyli czujesz się zepchnięta na dalszy plan? — Doktor nasunął okulary na nos. A ja patrzyłem na niego i stwierdziłem, że nawet mógłbym go polubić. Był spokojny. A je cenię u ludzi spokojem. Zadawał pytania, ale też podsuwał rozwiązania. „Lata praktyki” — pomyślałem.

— Arturze... — odezwał się terapeuta.

„Co: Arturze?” — pomyślałem poirytowany.

— To jej wymysły. Zarabiam na rodzinę.

— Ja też — uśmiechnął się terapeuta. — A mimo to oddzielam życie rodzinne od pracy.

Zrezygnowałem z terapii. Polubiłem gościa, ale stwierdziłem, że to do niczego dobrego nie prowadzi.

— Będziemy musieli się jakoś dogadać — powiedziałem do żony wieczorem. — Może zajmiesz się czymś konstruktywnym, zamiast biegać po terapeutach. Może upiekłabyś mi jakieś ciasto?

— Ciasto? — Gośka leżała już w łóżku. W jednej chwili zerwała się. Chwyciła poduszkę i cisnęła nią we mnie. — Sam sobie upiecz.

Westchnąłem i położyłem się na łóżku. Nagle Gośka podniosła poduszkę z ziemi i jednym susem znalazła się przy mnie. Usiadła na mnie i nakryła mi głowę poduszką.

— Ty pieprzony egoisto! Ty dupku! Najchętniej bym cię udusiła!

Udało mi się ją zepchnąć.

— Zgłupiałaś? Chcesz mnie udusić?

— Tak. Nawet nie wiesz, jak bardzo chcę!

Dostrzegłem w jej oczach gniew. Ona nie żartowała. Gdyby mogła, naprawdę by mnie udusiła.

— Odbiło ci.

— Może łatwiej będzie ci dostrzec wariatkę”.

Po rozwodzie wpadłem w jakieś takie otępienie i marazm. Czasami płakałem. Nie mogłem sobie wyobrazić życia bez Gosi i dzieci. Potem przyszło pogodzenie się z sytuacją. A kiedy moja żona się zakochała, przez chwilę jej nienawidziłem. Potem się ogarnąłem. Kilka razy umawiałem się też na randki, ale te spotkania mnie nudziły i irytowały. Podchody, umizgi, gierki. Potem kobieta nie odzywała się przez jakiś czas, ja dzwoniłem. Kolejne spotkanie zazwyczaj było klapą. Miałem kilka przygód łóżkowych, na jedną noc. Każdego ranka po takim wyskoku brzydziłem się sobą i najchętniej splawiłbym delikwentkę. Raz wydawało mi się, że jestem zakochany, ale chyba szkopał tkwił w tym, że Wiola była niedostępna. I to nie dlatego, że grała niedostępną kobietę, bo z dostępnością do niej poszło mi dość łatwo, ale dlatego, że była mężatką. Wymykaliśmy się do hoteli, przydrożnych moteli. Czasami spotykaliśmy się na parkingu, w samochodzie. Innym razem ona odwoływała spotkanie, a ja tęskniłem. I chyba ta nieprzewidywalność najbardziej mnie kręciła. Wiedziałem też, że ona się nie zaangażuje bardziej, niż ja bym tego chciał. O, jakże się myliłem. Po kilku miesiącach ukradkowych spotkań Wiolka zaczęła przebąkiwać coś o wspólnej przyszłości i dzieciach. Ale ja już mam dzieci — chciałem jej wykrzyczeć — a ty masz z kim budować swoją przyszłość. Na początku znajomości oboje przyznaliśmy, że chcemy mieć trochę frajdy, dobrze się bawić. A potem nagle wszystko zmieniło bieg. Ona się po prostu zaangażowała. Denerwowały mnie natarczywe SMS-y od kobiety, w których wyrażała oczekiwanie, że ja będę ją

zapewniał o swoim gorącym uczuciu. Kiedy wychodziliśmy z łóżka, momentalnie chciałem się jej pozbyć. To był piątkowy wieczór. Leżałem rozłożony na sofie, popijając piwo, kiedy usłyszałem dzwonek domofonu. Nie miałem ochoty podnosić słuchawki, ale ktoś dzwonił natarczywie. Pomyślałem, że może to mój syn. Kiedy w progu stanęła Wiolka z walizką, oniemiałem.

— Rzuciłam go — powiedziała i przykleiła się do mnie.

— Kogo? — Nie dowierzałem jej słowom.

— Męża.

— Ale dlaczego?

— Bo zrozumiałam, że kocham ciebie.

Stała przede mną kobieta, której nie kochałem, uśmiechnięta od ucha do ucha.

— Ale ja... Wiola...

— Mogę u ciebie zostać?

— Tak. Na jedną noc.

— Jak to na jedną noc?

— No wiesz, ja już miałem żonę.

Wiola zmarszczyła nos. Nigdy mi się nie podobało to jej marszczenie nosa. Wyglądała wtedy jak pekińczyk.

— I co z tego?

— Nie będę już mieszkał z kobietą.

— Dlaczego nie?

— Bo nie.

— Jesteś dupkiem! — Wiolka wpadła w szal. — Pieprzonym, egoistycznym dupkiem, który myśli tylko o swoim fiucie!

— Należy mi się.

— Męża dla ciebie rzuciłam.

— Wcale cię o to nie prosiłem. Jesteś piękną, mądrą kobietą, ale...

— No pewnie, musi być jakieś „ale”.

— Nie pasujemy do siebie.

— Ostatnio w łóżku mówiłeś coś innego.

Odwróciłem wzrok. Było mi jej żal.

— Wiola. — Westchnąłem. — Od początku ci mówiłem, że nie chcę się wiązać, że to wszystko, co jest między nami, to tylko dobra zabawa”.

Kolejne tygodnie przyniosły mi mnóstwo wiadomości od Wioli, mejli z wyznaniem miłosnymi. To znowu mnie straszyla, że się zabije, jeśli z nią na dobre zerwę.

Przyjeżdżałem w strachu na umówione spotkania, a ona mówiła mi, że tylko tak mogła mnie zwabić. Miałem jej dość. Wydzwaniała do mnie do pracy. Aż w końcu nastraszyłem ją policją. Po historii z Wiolą miałem dość randek i innych

kobiet. Dzieci tak, kobiety nie.

Widzisz, Misia, jakim jestem człowiekiem?

— Dobrym. Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem. Czuję to. Zagubionym...

— Zraniłem kilka osób.

— Ja pewnie też. Wiesz co — Miśka owinęła się prześcieradłem — nigdy nie jest za późno, aby pewne rzeczy naprawić, aby powiedzieć: „przepraszam”, aby coś zmienić i sobie wybaczyć,

— Tak, chyba tak...

Michalina przypomniała sobie pewną sytuację sprzed kilku lat. Poszły z mamą w odwiedzinach do pewnej starszej pani. Miśka nie pamięta, kim była owa staruszka. Wiedziała jednak, że jest stara. Bardzo stara i schorowana. Przy jej łóżku siedziała młodsza kobieta, która z czułością gładziła tę starą po jej mlecznobiałych włosach. Michalina nie pamiętała przebiegu wizyty, ale pamiętała za to czułości, jakimi młoda kobieta obdarzała swoją mamę. Gładziła jej włosy, masowała stare, poplamione ręce, poiła ją wodą i przemawiała do niej z taką troską i miłością, że Miśka nie mogła oderwać od tych dwóch kobiet oczu.

Po skończonej wizycie mama powiedziała do Miśki, że tak objawia się miłość, po czym przystanąła i chwyciła córkę w objęcia.

„Jesteś moją miłością” — szepnęła jej do ucha.

I tak było zawsze. Przez osiemnaście lat Miśka była dla mamy jej wielką miłością. Kiedy Michalina była małą dziewczynką i pozdierała kolana, mama czule je opatrywała. Jej łagodne spojrzenie ją koilo, jej słowa dodawały otuchy, jej ręce gładziły po rozpalonym policzku, kiedy dziewczynka była chora. To mama nauczyła Miśkę, jak być dobrym człowiekiem.

— Ta młodsza pani bardzo kocha swoją mamę. — Miśka kopnęła kamyk, który leżał na chodniku.

— Tak, kocha ją, ale kiedyś popełniła błąd.

— Jaki?

— Przez dłuższy czas Marysia, bo tak ma na imię, mieszkała w Nowym Jorku. A kiedy jej mama nie była w stanie sama się sobą zająć, oddała ją do domu starców.

— Jak jakąś niepotrzebną rzecz?

— Nie, Misiu, nie jak rzecz. W domu starców starsi ludzie mają zapewnioną opiekę. Marysia w Nowym Jorku miała swoje życie, pracę i nie mogła sama zająć się mamą.

— Smutne.

— Tak czasami jest. Jedna z pracownic po roku pobytu mamy Marysi w ośrodku napisała do niej list, że jeśli Marysia nie przyleci, to jej mama umrze z tęsknoty.

- Czy można umrzeć z tęsknoty?
- Chyba można.
- I co?
- Przyleciała. Mama stała w oknie, jak przez poprzednie 365 dni, kiedy to czekała na córkę.
- I co?
- Marysia wróciła do Polski, dla mamy. Do mamy.
- Nie zawsze wszystko nam wychodzi, prawda?
- Nie zawsze.
- A jeśli nam nie wyjdzie?
- Trudno. Czasami w życiu nam nie wychodzi.
- A jeśli sprawię komuś ból?
- To go przeprosisz.
- Zawsze trzeba przeproszać?
- W miarę możliwości trzeba nie dopuszczać do tego, by drugi człowiek przez nas cierpiał. Ale nawet najlepszym zdarzają się potknięcia. Dobrzy ludzie też niekiedy krzywdzą.

Rozdział 24

Wiktoria Skarzyńska niemal codziennie odwiedzała Jadwigę Kowalik. Nauczycielka pracowała na pół etatu, dlatego była w domu już po dwunastej.

— Może nie powinnam być taka namolna? — zapytała Wiktoria podczas kolejnego spotkania.

— Nie jesteś. Cieszę się, że mnie odwiedzasz. Ale... boję się, co będzie potem.

— Potem?

— Kiedy stąd wyjedziesz.

— Hmm. — Wiktoria wzruszyła ramionami.

— Jesteś już na emeryturze. Mogłabyś zamieszkać w Złotkowie.

— Ze mną będzie coraz gorzej.

— Ale teraz jest przecież dobrze. Twoje opowieści...

— Daleką przeszłość pamiętam bardzo dobrze. Nie pamiętam tego, co robiłam dzisiaj rano.

— Naprawdę?

— Czasami tak.

Siedziały w milczeniu i popijały herbatę.

— To dopiero początki. Nie jest ze mną tak źle.

— Widzę.

Jadwiga pociągnęła łyk herbaty.

— Chciałabym ci coś powiedzieć — zaczęła Wiktoria.

— To powiedz.

— Nie przepadam za malinową herbatą.

Wybuchnęły śmiechem.

— Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

— Nie chciałam cię urazić.

Jadwiga wstała, złapała czajnik, poszła z nim do kuchni i wylała zawartość do zlewu.

— Mam jeszcze czarną albo earl grey.

— Earl grey poproszę.

Kiedy Jadwiga wróciła ze świeżo zaparzoną herbatą, Wiktoria zaczęła opowiadać o swoim synu i synowej. Wyrzucała z siebie słowa, które tkwiły w niej jak zadry.

— Ja ich kocham. I nawet synową. Ale wysunęłam wobec niej niesłuszne

oskarżenia, że nadużywa alkoholu.

— Pijaczka?

— Nie. Piła czasami wino... Dwa razy widziałam ją podpitą i wysnułam niepotrzebne wnioski. Raz po przyjęciu urodzinowym mojej kuzynki Asia wstawiła się. To była babska impreza, a ja w ramach zacieśnienia więzów zaprosiłam ją na tę imprezę. Ponoć mało zjadła. Wypiła kilka drinków i była na lekkim rauszu.

— Zdarza się.

— Chyba tak... A ja. Ja zrobiłam z jej wyskoku aferę. I... potem, kiedy pokłóciła się z Mariuszem, poszła do baru i wróciła z niego pijana. Może nie pijana, ale czułam od niej alkohol. Wezbrała we mnie złość i wyrzuciłam ją z domu. Chciałam dla niej dobrze. Naprawdę. Martwiłam się o wnuczkę. A może... Sama już nie wiem. Może byłam zazdrosna o bliskość synowej z synem? Nie wiem, dlaczego tak ją potraktowałam. Już wtedy zaczynało się dziać ze mną coś dziwnego.

— I co teraz?

— Teraz oni rzadko mnie odwiedzają. Czasami mówią, że przyjadą, a nie przyjeżdżają. Czuję się niepotrzebna.

— Syn i wnuczka na pewno cię kochają.

— Nie wiem... Sama już nie wiem.

— Na pewno. — Jadwiga wiedziała, że czasami trzeba drugiemu człowiekowi dodać otuchy.

Kiedy Wiktoria wyszła, Jadwiga poczuła, jak dopada ją przygnębienie. Polubiła Wiktorię i smutno jej było z powodu jej choroby. Co ta starość robi z człowiekiem... Kręciła się po domu, próbując otrząsnąć się ze smutku, ale na niczym konkretnym nie mogła się skupić. Cały jej dom wydawał się ponury. Za tydzień święta. Może mogłaby udekorować jakoś pokój? Po namyśle stwierdziła jednak, że nie ma na to ochoty. Nawet nie wiedziała, gdzie ma ozdoby świąteczne. Nie dekorowała domu od ładnych kilku lat. Bo po co? Miałaby to robić dla siebie? Dla kota?

Amelia zawsze pomagała jej przy ozdabianiu domu. To było dziewiętnaście lat temu, kiedy Kowalikowa mieszkała na drugim krańcu Polski. Przed tym, zanim rzuciła wszystko i zamieszkała w tym cichym, spokojnym miasteczku. Uciekła. Od tamtych wspomnień, przeszłości. Ale zanim to zrobiła, Amelia ją opuściła. A wtedy ona, Jadwiga, rozpadła się na tysiące drobnych kawałeczków. A wcześniej... Wcześniej było tak pięknie.

Jadwiga przypomniała sobie święta, kiedy to małe rączki Amelii wieszały na dolnych gałązkach choinki ozdoby i cukierki. Jeden cukierek trafiał do buzi Amelii, drugi na choinkę. Bez Amelii nie było sensu obchodzić świąt. Po co zawracać sobie tym głowę? Po co tyle zachodu, skoro nie będzie przy niej nikogo, z kim mogłaby

dzielić swoją radość?

Miśka zapukała do pokoju Leny.

— Ktoś na ciebie czeka na dole.

— Na mnie? — Lena nie kryła zdziwienia.

— Z kwiatami.

— Niiieee...

— Tak — zachichotała Miśka.

Lena zbiegła po schodach. W korytarzu zobaczyła męskie nogi i wielki bukiet kwiatów.

— Co ty sobie wyobrażasz? — syknęła zawstydzona.

— Pomyślałem, że lubisz kwiaty. — Damian wyrzwał zza bukietu.

— Czego ty ode mnie chcesz?

— Już ci mówiłem. Napić się z tobą czekolady.

— Dobrze.

— Czyli się zgadzasz?

— Jeśli się nie zgodzę, będziesz mnie prześladował.

— Pewnie, nie odpuszczę.

— Dlaczego?

— Bo mi się podobasz.

— Grrr — jęknęła.

— Jutro?

— Gorąca czekolada i kolacja.

— Nie było mowy o kolacji.

— Ale skoro mam czekać do jutra... — Uśmiechnął się filuternie.

— Dobrze, zjem z tobą kolację.

— Yesss...

Kiedy Damian wyszedł, Lena poprosiła Miškę o wazon.

Kobieta uśmiechnęła się do niej.

— Postarał się.

— Ach, nie ma o czym mówić.

— Napijesz się kawy?

— Chętnie.

Michalina zaparzyła kawę i wyjęła z szafki cynamonowe ciasteczka. Kobiety usiadły na sofie w kominkowym pokoju.

— Dlaczego nie chcesz się z nim spotykać? — zapytała Miśka.

— Bo nie chcę w moim życiu komplikacji.

— Komplikacje... — Miśka uśmiechnęła się. — W moim domu goszczę ludzi, którzy boją się komplikacji. A ja ci powiem, że komplikacje są lepsze od

stabilizacji.

— Minęłam się z pani absztyfikantem — rzuciła żartobliwie Wiktoria, wchodząc do pokoju. Usiadła w fotelu i wyciągnęła nogi na podnóżku.

Lena również nie mogła przestać się uśmiechać.

— Też go widziałam.

— Piękne kwiaty przyniósł.

— Tak. — Lena zamyśliła się.

— Chyba chce panią za wszelką cenę do siebie przekonać.

— Chyba chce się ze mną umówić.

— No to w czym problem? Czy ten młody mężczyzna ma jakiś defekt?

Lena roześmiała się.

— Żadnego większego defektu nie dostrzegłam.

— Więc?

— Wciąż kocham mojego męża.

— Odszedł? — Wiktoria wiedziała, że pani doktor z córką przyjechały same.

Lena nie nosiła też obrączki.

— Umarł.

— Och, wiem, jak to jest. — Wiktoria zamyśliła się. — Też jestem wdową. I wiem, że po śmierci bliskiej osoby przelewa się uczucia na dziecko. Tylko to dziecko dorasta i po pewnym czasie wyfruwa z gniazda. A ty zostajesz sama.

— Mam pracę.

— Praca to nie drugi człowiek. Fajnie jest mieć kogoś u boku.

— Ja go tak bardzo kochałam...

— Ja swojego męża też kochałam. I będę go kochać zapewne do końca życia. Ale jeśli na horyzoncie pojawia się ktoś, kto cię fascynuje, pociąga, z którym lubisz rozmawiać, spędzać czas, to może dobrze jest nie zaprzepaścić takiej znajomości.

— Może.

Lena spojrzała na ogień w kominku. Jutro byłaby dziesiąta rocznica ich ślubu.

„Grudzień. Kto bierze ślub w grudniu?” — zapytała ją siostra. — „Jesteś w ciąży?”

„Nie jestem”

„Więc?”

„Oboje kochamy zimę. Zawsze marzyłam o tym, żeby wziąć ślub w mroźny, zimowy dzień. Chciałam złożyć przysięgę małżeńską w małej górskiej kapliczce otoczonej zaspami śniegu”.

„Nie mów, że będziesz wyprawiała ślub w górach?”

„A czemu nie?” — Lena zaśmiała się. Czarek również śmiał się z przerażonej miny swojej szwagierki. — „A ty, kochana siostrzyczko, będziesz

honorowym gościem i zjedziesz za mną ze stoku na nartach. W dłoni trzymając mój tren”.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Ich ślub rzeczywiście odbył się w małym kościółku w Bieszczadach. Z nieba sypały wielkie płatki śniegu. To był mroźny, ale słoneczny dzień. Lena włożyła do ślubu skromną, długą białą suknię. Dopełnieniem była ciepła aksamitna peleryna, której kaptur obszyto białym futerkiem, i włochate białe rękawiczki, pięknie współgrające z peleryną. Czarek kroczył obok niej w czarnym fraku i cylindrze. Wyglądali jak para z innej epoki.

Swoje rocznice ślubu obchodzili hucznie wraz z nadejściem świąt Bożego Narodzenia, kiedy rodzina zjeżdżała się do nich. Lena uwielbiała święta, Czarek zresztą też. Kochali te rodzinne zjazdy. Tydzień przed zawsze planowali rozlokowanie gości. I zawsze był z tym problem. Kogo położyć na łóżku, kogo na polówce, a czyją rodzinę ścisnąć w poprzek na wersalce. Czarek zazwyczaj brał wtedy kilka dni wolnego, a Lena trzy dyżury z rzędu, żeby potem mieć trzy dni wolnego. Razem jeździli na zakupy, razem gotowali, razem śpiewali kolędy. A potem wraz z rodziną zasiadali do ucztowania, celebrując przy okazji swoją rocznicę ślubu. W dziesiątą rocznicę planowali pojechać na jakąś zagraniczną wycieczkę do ciepłych krajów. Oczywiście po świętach, bo nie wyobrażali sobie spędzić ich za granicą, bez rodziny. Planowali zabrać ze sobą Kaję. Nie chcieli spędzać tego czasu bez córki, chociaż członkowie rodziny sugerowali, by pojechali sami, ale oni nie wyobrażali sobie, żeby na tyle dni rozstać się z córką. Kaja była ich dopełnieniem, ich szczęściem. Czarek co roku hojnie obdarowywał swoich bliskich. Kupował całą masę prezentów. Lena niekiedy była na niego zła za tak drogie upominki.

„To jedyny dzień w roku, kiedy mogę kupić im to, o czym marzą. Lenka, życie jest zbyt krótkie. Po co mamy gromadzić pieniądze na kontach? Wolę widzieć uśmiech na twarzach tych, których kocham. A pieniądze rzecz nabyta, dziś są, jutro ich nie ma”.

Niestety, dziesiątej rocznicy ślubu już nie będzie. Lena poczuła ucisk w sercu... Tak bardzo chciałaby cofnąć czas. I... gdyby wtedy nie zadzwoniła do męża i nie poprosiła go, by pojechał do apteki po plastry rozgrzewające, on by nadal żył. Lena poczuła, jak wielka gula staje jej w gardle. Czarek by żył! Za każdym razem, gdy o tym myślała, w jej oczach wzbierały łzy. Wszyscy przekonywali ją, że to nie jej wina, ale ona czuła, że jest inaczej. Nie potrafiła sobie wybaczyć. Czarek był człowiekiem energicznym, szalonym, a mimo to odpowiedzialnym. I kochał swoje dziewczyny jak nikt inny. Kiedy go zabrakło, w sercu Leny pojawiła się ogromna dziura, jakby ktoś wyrwał jej pół serca, a drugie pół łaskawie zostawił dla Kai. Ono się nigdy nie zregeneruje. Będzie żyła sobie ze swoją połówką.

Rozdział 25

Lena z Damianem weszli do niewielkiej restauracyjki na obrzeżach Złotkowa. Bardzo przytulnej, w której pachniało swojskim jedzeniem. Ściany były wyłożone drewnem. Wisiały na nich ciupagi i haftowane serwety. Stoliki również były drewniane, okrągłe. Na każdym stał wazonik, a w nim gałązka jodły przyozdobiona złotymi szyszkami.

Usiedli przy stoliku w głębi sali, zamówili placki po zbójnicku i grzane piwo z imbirem i goździkami.

— Dlaczego zabrałeś mnie tutaj? — zapytała Lena.

— Bo wyglądasz na kobietę, która lubi takie miejsca.

— Owszem — zaśmiała się. — Wolę placek po zbójnicku od makaronu z serem pleśniowym.

— Wiedziałem.

— Jesteś pewny siebie.

— To tylko pozory. — Damian uśmiechnął się zalotnie.

Mógł podobać się kobietom, ba! — on z pewnością zawrócił w głowie niejednej kobiecie. Wysoki brunet o niebieskich oczach, wokół których rozciągała się siateczka drobnych zmarszczek. Szczupły, nie za chudy. Ale najpiękniejszy był jego uśmiech. Rozbrajający.

Lena już chciała coś powiedzieć, ale zjawiała się kelnerka i postawiła przed nimi talerze i dwa kufle piwa.

Zjedli placki i zaczęli popijać trunek. Lena czuła się zawstydzona, choć sama nie widziała dlaczego. Przez chwilę spoglądała na ręce Damiana. Miał masywne dłonie o szerokich kwadratowych palcach, jakie lubiła u mężczyzn.

— Czym się zajmujesz? — przerwał milczenie Damian.

— Pracuję w szpitalu. Jestem neonatologiem. To lekarz...

— Wiem, kto to jest neonatolog.

— Przepraszam, nie chciałam cię urazić. Dużo ludzi nie ma o tym pojęcia. Gdy powiesz pediatra, chirurg, ortopeda wiedzą.

— Czy ginekolog.

— Czy ginekolog. — Lena parsknęła śmiechem.

— Ja wiem. — Damian nie odrywał od niej wzroku. — To musi być ciężkie pracować z chorymi dziećmi. Sama jesteś mamą i pewnie utożsamiasz się z przeżyciami innych matek.

— Myślę, że to, że jestem mamą, pozwala mi bardziej wczuć się w sytuację

tych kobiet. Mam, które czuwają przy swoich dzieciach zazwyczaj dzień i noc. Siedzą przy inkubatorach w strachu. I czekają na nadzieję.

— Wierzysz w cuda?

— Tak. Pewnie, że tak. Bo gdybym nie wierzyła, nie byłoby mnie tam. Czasami czekamy na cud, bo nie możemy tym maleństwu pomóc. Ostatnio mieliśmy na oddziale dziewczynkę, która urodziła się w trzydziestym drugim tygodniu ciąży. Miała niedrożność jelit, ale nie mogliśmy przeprowadzić operacji, bo było na to za wcześnie. Ta mała kruszynka leżała w inkubatorze, pośród kłębowiska rurek. Jej mama czuwała obok na krześle. Miała podkrążone oczy, te same ciuchy od kilku dni, fryzurę w nieładzie. Wkładała dłoń do inkubatora. I kiedy jej córeczka się poruszała, w jednej chwili cała promieniała szczęściem. „Pani doktor, ona reaguje na dotyk, jakby wyczuwała, że tu jestem, że przy mnie nic jej się nie stanie” — powiedziała do mnie. Wiara matek w to, że ich dzieci wyjdą z największej opresji, jest niezłomna. Są takie momenty, że nawet my, lekarze, prosimy Boga o pomoc. Choć nie mówimy rodzicom, że jesteśmy bezsilni. Wiesz, ile razy stałam przy inkubatorze i targowałam się z Bogiem? „Niech to dziecko żyje. Niech da nam jakiś znak” — prosiłam go.

— I co?

— I czasami się udawało.

— Ale czasami nie? — Damian położył dłoń na jej dłoni.

— Czasami nie. Ale to i tak cud, że medycyna poszła do przodu, że możemy ratować takie maleństwa. — Lena mówiła z taką pasją, że Damian poczuł w sercu ciepło. — Wyobrażasz sobie, jakim stresem dla rodzica jest operacja ważącego mniej niż kilogram, walczącego o życie dziecka? Stresem niewyobrażalnym jest też dla jego organizmu. I potem taka Kruszynka musi zebrać w sobie siły i podjąć walkę o kolejny oddech. Walkę o życie. Każda mama po porodzie chce jak najszybciej przytulić swoje maleństwo, ale nie każda może. Są matki, które biorą w ramiona swoje dzieci dopiero po miesiącu... Czasami ten okres się wydłuża. I czasami jest tak, że stan dzieci się poprawia, na dzień, dwa, a potem znów się pogarsza.

— Mogłabyś o swoich małych pacjentach opowiadać godzinami. — Damian uśmiechnął się do Leny.

— Przepraszam. Nie chciałam cię zanudzać.

— Nie, nie. Podoba mi się pasja, z jaką opowiadasz o swojej pracy i z jaką empatią podchodzisz do swoich pacjentów.

— Kiedy ja ratuję ludzkie życie, inni je zabijają.

— Są różni ludzie i różne sytuacje.

— Taaak. — Lena westchnęła. — Jedna matka dokonuje aborcji, druga walczy o swoje maciupkie szczęście. Ja nikogo nie osądzam. Są różne dramaty, tylko wciąż nie mogę w niektóre rzeczy uwierzyć.

Na chwilę zamilkli, zatopili się w swoich myślach.

— Napijesz się jeszcze? — Damian wskazał na pusty kufel.

— O, już wypiałam. — Lena uśmiechnęła się do niego. — A wiesz, że tak? Jeszcze po jednym.

Damian zamówił następną kolejkę.

— Masz już rumieńce. — Wskazał jej zaczerwienione policzki. — Od tych goździków i soku w piwie. — Wyciągnął w jej kierunku dłoń, ale Lena zrobiła unik.

— Boisz się mężczyzn?

— Nie. Po prostu nie jestem gotowa na związek.

— Przepraszam, że pytam, ale co z twoim mężem?

Lena zaczęła opowiadać o Czarku, jego śmierci, bólu, jaki przeżyła. Pierwszy raz od wypadku opowiadała obcej osobie o swojej traumie. Sama się zdziwiła, że potrafiła się tak otworzyć.

— Przykro mi. — Damian chwycił jej dłoń.

— Mi też. Przepraszam, nie powinnam...

— Nawet nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jak bardzo cierpiałas.

— A ty?

— Mnie rzuciła dziewczyna. Wybrała mojego kumpla.

— Ciebie rzuciła?

— No wiem, wiem. Przecież jestem przystojny, odcytany, inteligentny. Mam poczucie humoru... Ale... — Próbował żartować, ale głos mu się załamał. — Byliśmy ze sobą od piętnastego roku życia, przez piętnaście lat. Kochałem tylko ją.

— Przykro mi.

— Nieważne. Nie przyszliśmy tutaj płakać.

— No chyba nie.

Popijali piwo, rozmawiali o tym, co ciekawego widzieli w kinie (Lena głównie bajki, Damian sensacje i kryminał), o tym, co ich boli, a co cieszy. Mężczyzna opowiedział jakiś żart, ona się zaśmiała. Potem rozmawiali o młodości, studenckich latach, Warszawce, znajomych, których nie chcą już znać. Pili, śmiali się, a czas mijał. Kiedy Lena spojrzała na zegarek, była zaskoczona, że dochodzi dwudziesta druga.

— Przepraszam, ale muszę już iść. Skorzystałam z uprzejmości Michaliny i...

— Miśka da sobie radę.

— Z pewnością. — Lena przekrzywiła głowę. — A jednak to nie należy do jej obowiązków.

— Może spotkamy się jeszcze?

— Może.

Lena spojrzała mu w oczy. Jakaś iskra przeskoczyła między nimi.

Rozdział 26

Po tamtej nocy Artur nie wiedział, jak się ma zachować w stosunku do Miśki. Na pewno coś do niej czuł. Na pewno go szalenie pociągała. Ale oni... oni do siebie nie pasowali. Byli z innych planet. On miał dzieci, była żoną, pracę, która pochłania go bez reszty. I nie interesowały go związki na stałe. Przede wszystkim dlatego, że nie umiałby poświęcić kobiecie tyle czasu, ile tego potrzebowała. W dodatku tak młoda kobieta jak Miśka potrzebowałaby więcej uwagi. Dziewczyna miała inne oczekiwania wobec związku. Była taka młoda, radosna, pełna ideałów. Skrzywdziłby ją, a ona by cierpiała. Ale te dni spędzone w jej towarzystwie sprawiły, że mężczyzna najchętniej spędziłby z nią każdą chwilę, tyle że chyba na jego warunkach. A jego warunki były dla niej nie do zaakceptowania. Raczej luźny związek. Polubił też chłopca, nawet bardzo, ale przecież miał swoje dzieci, którym powinien poświęcać czas.

Jego rozmyślenia przerwało pukanie do drzwi.

— To ja — usłyszał głos Miśki.

— Wejdz.

Stanęli naprzeciwko siebie. Michalina była w szlafroku, on w koszulce i bokserkach. Dziewczyna patrzyła na niego z pewną intensywnością.

— Miśka...

— Za dużo myślisz. Za dużo. — Dziewczyna pokręciła głową. Niesforne kosmyki włosów wysunęły się z gumki i zawirowały nad jej twarzą.

— Nie chcę cię skrzywdzić.

— Nie dam się skrzywdzić.

— Czego ty ode mnie chcesz?

— Miłości.

— Miłości... — westchnął. — Nawet jeśli byśmy się związali, to prędzej czy później byś tego nie wytrzymała. Mógłbym przyjeżdżać do ciebie raz w miesiącu, albo i rzadziej. Czasami częściej. Taki związek z doskoku nie ma sensu. Taka kobieta jak ty... zasługuje na to, co najlepsze.

— Wiem, na co zasługuję. — Miśka odwiązała pasek od szlafrocka i zsunęła go z ramion.

Była naga.

— Ilu argumentów jeszcze potrzebujesz, żeby trzymać się ode mnie z daleka? — zapytał Artur, po czym omiółł wzrokiem jej ciało.

Była doskonała. Piękna. Jej ciemna skóra była taka gładka, że jedyne, o

czym myślał, to o tym, by ją całować.

— Żona ode mnie odeszła, bo nie byłem dobrym partnerem. Moje dzieci wolą ojczyzna ode mnie.

Miśka postąpiła dwa kroki w jego stronę. Znalazła się na wyciągnięcie ręki.

— A ja... ja pragnę tylko ciebie.

Stał z opuszczonymi ramionami.

— Kochaj mnie — powiedziała przez zaciśnięte gardło.

Artur wyciągnął w jej stronę rękę. Potem drugą. Objął ją ciasno ramionami.

— Chodź. Bo zmarzniesz — szepnął jej do ucha.

Zatraciła się w jego dotyku.

— Obyś tego nie żałowała.

— Nie będę.

Musnęła wargami jego usta.

Bartek wleciał do domu jak burza. Miśka zmieniała akurat ręczniki dla gości.

— Miśka! Miśka! — usłyszała jego dziecięcy głosik.

Rzuciła ręczniki na podłogę i zbiegła na dół.

— Co się stało? — zapytała przejętym głosem.

— Nic.

— Jezu! To nie strasz mnie.

— To znaczy, stało się.

— Co?

— Kaja coś podejrzewa.

— Co podejrzewa? Mów jaśniej.

— Że Święty Mikołaj to shit.

— Mówiłam ci już, żebyś nie mówił brzydkich słów.

— To po angielsku. A ty wzywasz imię Boga nadaremno.

— Bartek!

— Do rzeczy. Dzisiaj, kiedy byliśmy na sankach, Kaja zaczęła mi opowiadać, że ma podejrzenia, że Mikołaj nie istnieje. Jeszcze w niego wierzy, ale wysnuwa domysły. Ja już wiem, że nie ma Mikołaja, takiego prawdziwego.

— Więc w czym problem?

— Pamiętam, jak mi było smutno, kiedy się dowiedziałem, że prezenty dostaję od ciebie i babci. Nie chcę, by i jej było smutno. Wiesz, ona niedawno straciła tatusia, przyjechała tu na relaks.

Miśka uśmiechnęła się do brata z czułością.

— Odpocząć przyjechała.

— No mówię przecież, że na relaks. Trzeba ją przekonać, że Mikołaj istnieje i że cuda się zdarzają.

— Bo się zdarzają.

Bartek przewrócił oczami.

— Coś wymyślę — zapewniła go Michalina.

— Ale co?

— Nie wiem jeszcze, ale wymyślę.

— Obiecujesz?

— Tak.

„Wujek Mirek, on będzie doskonale nadawał się na Mikołaja”. Miśka uśmiechnęła się pod nosem.

— Co to, to nie — zaprotestował wujek, kiedy Miśka wyjaśniła mu, o co chodzi.

— Masz długą siwą brodę.

— Włosy też ma siwe. — Do domu weszła Nastka i w progu otrzepywała ośnieżone buty.

— I co jeszcze? — Mężczyzna wydał dolną wargę.

— Wujku, nie chcę cię obrażać, ale brzusek sobie spory wyhodowałeś.

— A bo mnie dokarmiają, we dwie. Moja żona, a twoja ciotka, i twoja kuzynka, a moja córka.

Nastka cmoknęła Michalinę w policzek.

— Kandydata na Mikołaja potrzebujesz czy co?

— Skąd wiedziałaś? — Miśka uśmiechnęła się do kuzynki.

— Bo już niejedno dziecko pomyliło tatę z Mikołajem. Raz latem, na plaży.

Nastka parsknęła śmiechem.

Rok temu wybrali się całą rodziną do Łeby. Nastka z Kamilem, swoim byłym już chłopakiem, a wtedy ówczesnym, wujek i ciocia. Siedzieli sobie za parawanem, a tu jakiś chłopczyk się na nich gapi. Po chwili przyleciał już z dwoma kolegami.

— Czy pan jest Mikołajem? — zapytał najmłodszy.

— Ta — odburknął tato.

— Ale takim prawdziwym?

— Najprawdziwszym. Mam teraz wakacje, więc jeśli możecie, to mi nie przeszkadzajcie.

— Mikołaju, a ja byłem bardzo grzeczny w tym roku — rzucił starszy, rudy chłopczyk.

— I ja — zawtórował mu średni.

— A ja to bym chciał...

I się zaczęło. Do końca turnusu nas prześladowali.

— To przez tą wujkową brodę. — Miśka zrywała boki ze śmiechu.

— A mi się wydaje, że przez ten piwny brzusek.

— A pamiętasz, jak raz nas w smażalni wyhaczyli? — Wujek przeczesał

dłonią brodę.

— Piłeś piwo.

— Byli bardzo zdegustowani tym faktem, po czym stwierdzili, że skoro Mikołaj jest na wakacjach, to i jemu wolno napić się piwa.

Rozdział 27

Wiktoria Skarzyńska usiadła przy kominku. Ogień mienił się różnymi odcieniami czerwieni. Do pokoju weszła Michalina z kocem w rękę.

— Przyniosłam dla pani koc.

— Dziękuję ślicznie. Stare kości potrzebują ciepła.

Miśka już chciała wyjść, ale Wiktoria zatrzymała ją.

— Posiedź ze mną chwilę. — Łaknęła towarzystwa. Od kilku lat mieszkała przecież sama. Nie miała za dużo znajomych, więc jak kania dżdżu potrzebowała rozmowy.

— Mam dobrą naleweczkę. Może się napijemy? — zaproponowała Michalina.

— Naleweczką nie pogardzę.

— I pączki mam.

— Z różą?

— Prawdziwe pączki tylko z różą, jak mawia moja babcia.

— Wiedziałam, gdzie przyjechać. — Wiktoria uśmiechnęła się.

Miśka wyszła do kuchni i wróciła po kilku minutach z naleweczką, kieliszkami i talerzem pączków.

— Kiedy to zjemy i wypijemy... — Wiktoria spojrzała na tacę, którą Miśka postawiła na szklanym stoliku.

— Będziemy tańczyć na stole.

— Obawiam się, że to szkło może tego nie wytrzymać.

Zaśmiały się.

Jadły, popijały naleweczkę i opowiadały sobie o macierzyństwie.

— Podziwiam cię — powiedziała Wiktoria.

— Wiele jest młodych matek, które dobrze sobie radzą.

— Tak, ale ty wychowywałaś swojego brata i jeszcze musiałaś uporać się z żalobą.

— Nie zawsze wszystko mi wychodziło.

— A myślisz, że ja byłam perfekcyjną panią domu? Nie byłam.

— Pamiętam, jak kiedyś pojechaliśmy z Bartusiem do miasta na zakupy.

Było dość ciepło. Może nie było upału, ale termometr wskazywał dwadzieścia kilka stopni. Zrobiliśmy zakupy i poszliśmy na plac zabaw. On miał dwa lata. Siedział w piaskownicy i bawił się piaskiem. I pamiętam, że podeszła do mnie babcia, która była na spacerze z wnuczką. „Gdzie czapka i sweterek?” Jej wnuczka

miała kurteczkę i letnią czapczkę. Podczas gdy Bartek był w długich spodniach i bluzeczce z krótkim rękawkiem. „Jest ciepło” — odpowiedziałam, chcąc uciąć temat. Myślałam, że na tym się skończy, ale nie, ona na mnie naskoczyła, że przeziębienie dziecko, że jestem nieodpowiedzialną smarkulą. Tak mnie nazwała: „smarkula”.

Miałam dwadzieścia lat. Wyglądałam na szesnaście. A jeśli nawet miałabym szesnaście, to nie jej główny interes, jak ubieram czy wychowuję dziecko.

— Nie jej! — powiedziała Wiktoria. — Ja też kiedyś wtrącałam się w życie synowej... I wiem już, że to był błąd. Każdy wychowuje dziecko tak, jak tego chce.

Obie pociągnęły z kieliszków po łyku nalewki.

— A ile jest szczęścia i śmiechu z dzieckiem.

— Jak już zaczniesz mówić, to buzia się takiemu brzdącowi nie zamyka.

— Pamiętam, jak kiedyś jechałam z Mariuszem autobusem. Miał wtedy z pięć, może sześć lat. Było lato, żar lał się z nieba. W autobusie było tłoczno i parno. Wsiadliśmy, a Mariusz na całe gardło skomentował: „Króluje tu zapach spoconej pachy i przepoconych majtasów”. Gdzie on to usłyszał? Nie wiem. Może w przedszkolu?

Kobiety wybuchnęły śmiechem.

— Kiedyś staliśmy z Bartkiem w kolejce do kasy. Brat co chwila pukał mnie w nogę. W końcu zapytał głośno: „Mamo, ten człowiek przy kasie to pan czy pani?”. „Pani”, syknęłam. „Dziwne, ma cycuszki jak pani, ale wąsy jak pan”.

Kobiety znów ryknęły śmiechem.

Tego wieczoru Miškę ogarnęła jakaś dziwna melancholia. Wypiły z panią Wiktorią całą butelkę nalewki, po czym dziewczyna odprowadziła panią Wiktorię do pokoju, a sama usiadła na sofie w salonie.

Kiedy mama była w ciąży, Miška sądziła, że świat niemowlaka to pachnące stópki i zachwyty nad malcem: „ach i och, tycki, tycki, bobasku”. Okazało się jednak, że świat z niemowlakiem to też nieprzespane noce, zaspane dni. To też wkurw na maksa, kiedy zmęczenie sięgało zenitu. To też porady pociotek: „nie karm”, „karm”, „ubierz”, „rozbierz”, „niech śpi w łóżeczku”, „niech śpi sam”, „przytul go”, „nie tul go”. Ile to pieluch zmieniła i śpiochów. Bo taki niemowlaczek wbrew pozorom wcale nie robi takiej malutkiej kupki. Czasami taka kupka wypływała z boku pieluszki. Ile takie dziecko potrafi hmm... strawić? Wydalić? Obsrać się po pachy. A ile taki malec daje szczęścia, kiedy wyjdzie mu pierwszy ząbek, kiedy pierwszy raz się uśmiechnie, kiedy złapie twój palec w swoją małą piąsteczkę?

Miška się roześmiała. Czowała się lekko wstawiona i dziwnie szczęśliwa.

Miłość do brata była niepoliczalna i tak ogromna, że dziewczyna nie umiałaby opisać tego ogromu słowami. Chyba nikogo tak bardzo nie kochała, z

wyjątkiem mamy.

Damian ponownie zaprosił Lenę na kolację. Wypili sporo wina. Kobieta co i rusz wybuchała salwami śmiechu. Czowała się odprężona i wszystko ją śmieszyło.

— Chodź ze mną — szepnął jej do ucha Damian.

— Dokąd? — roześmiała się.

— Nad restauracją jest hotel.

— No i?

— Pragniesz mnie. Wiem o tym...

— Nie. — Pokręciła głową, chociaż jej ciało mówiło co innego.

Serce Leny zatrzymało się na chwilę, a potem rozpoczęło szalony pościg. Chciała, żeby Damian ją dotknął. Niemal rozpaczliwie go pragnęła.

— Chodź...

Skinęła głową.

Damian wynajął pokój. Trzymając się za ręce, wbiegli po schodach na górę. Mężczyzna otworzył drzwi. Weszli do środka. Pokój był skromnie urządzone. Pod oknem stała komoda, na środku pokoju wielkie łóżko, a obok zdezelowana nocna szafka.

— Zaczekaj, napiszę tylko do Miśki, że wrócę później. — Lena wyciągnęła z torebki telefon.

— Rano.

— Nie rano, później.

Nic więcej nie zdołała powiedzieć, bo Damian zamknął jej usta pocałunkiem.

Skończyła pisać wiadomość, włożyła telefon do torebki.

Damian leżał już rozciągnięty na łóżku.

— Połóż się obok mnie. — Poklepał wolne miejsce na pościeli.

Lena skinęła głową. Położyła się obok niego. Przez chwilę leżeli bez ruchu, oboje skrępowani. A potem Damian zaczął gładzić jej włosy. Mruknęła. Poczwała jak jej powieki opadają.

— Lena...

Poczwała ciepły oddech na swojej szyi. Damian muskał ustami zagłębienie między jej uchem a szyją. Dostała gęsiej skórki. Była już na granicy, w której człowiek odpływa w sen. Gdzieś w głębi duszy odezwało się dawno zapomniane pożądanie. Damian podniósł się na łokciu, nachylił się nad nią. Jego oddech owiał jej usta. Zaczął ją całować. Oddawała pocałunki, wciąż nie otwierając oczu. Miała wrażenie, że wszystkie bolesne przeżycia były tylko złym snem, a wszystko, co dobre, to ta właśnie chwila. Starła się nie myśleć o Czarku. Palce Damiana przesuwwały się po jej ciele. Wsunął dłoń pod jej bluzkę. I w tym momencie Lena otworzyła oczy i zobaczyła twarz człowieka, którego nie kochała. Może kiedyś, ale

nie teraz. Złapała go za nadgarstek.

— Nie mogę.

— Słucham? — Damian był skołowany.

Lena podniosła się do pozycji półsiedzącej.

— Nie jestem gotowa. Przykro mi.

— Wydawało mi się... — Wolną ręką potarł podbródek.

— Mi też się wydawało dużo rzeczy... — Lena puściła jego rękę.

— Przepraszam.

— Nie, nie masz mnie za co przepraszać. — Kochałabym się z tobą chętnie, bo moje ciało tego potrzebuje, ale potem... Nie potrafiłabym spojrzeć ci w oczy. Lepiej już pójdę.

— Potrzebujesz czasu?

— Tak.

— Byleby nie za długo. — Starał się żartować, ale wypadło to dość blado.

W jego jasnych oczach dostrzegła błysk rozczarowania.

— Nie możesz tkwić ciągle w żałobie.

Lena wstała gwałtownie. Zakręciło jej się w głowie.

— Nie wiesz, ile czasu potrzebuję.

— Nie chciałem cię urazić. Odprowadzę cię.

— Nie.

— Proszę.

— Nie.

Przez chwilę siłowała się z zapięciem bluzki. Ręce jej się trzęsły. W końcu udało jej się zapiąć kilka guzików. Włożyła buty i kurtkę. Szyję obwinęła szalem.

— Zadzwoń do mnie. — Damian patrzył na nią smutnym wzrokiem.

— Może kiedyś...

Wyszła na zewnątrz. Owiął ją podmuch mroźnego powietrza. W jednej chwili wytrzeźwiała. Zamaszystym krokiem ruszyła w stronę pensjonatu.

Nie chciała wiązać się z Damianem ani z żadnym innym mężczyzną. Nie teraz. Teraz... Co teraz? Może teraz jest na wszystko za wcześnie? Owszem, Lena chciała iść z Damianem do łóżka, jej ciało nadal żyło, pragnęło, dużo chciało. Domagało się pieśczoć. Ale jej serce? Serce nie czuło nic. Kiedy dotarła do pokoju, z ulgą zobaczyła, że córka śpi. Lena nie byłaby w stanie spojrzeć jej teraz w oczy. Dziewczynka była odbiciem ojca. Z kieszeni kurtki wyjęła telefon i zadzwoniła do Doroty.

Sama nie wiedziała, dlaczego to zrobiła. Nigdy nie zwierzała się siostrze ze swoich intymnych przeżyć, ale teraz czuła, że chce jej wszystko opowiedzieć. Mówiła niczym katarynka. Kiedy skończyła, westchnęła głośno.

— Wiesz... — Dorota zastanawiała się nad doborem słów. — Ty nie zdradzasz Czarka, ty zaczynasz nowy etap życia. Nie wiem, jak się czujesz, ale

chyba potrafię to zrozumieć. Rok temu... Pamiętasz tego stażystę Jacka.

— Nie... — Przez szpital przewinęło się mnóstwo studentów, Lena nie wszystkich pamiętała.

— Nieważne, czy go pamiętasz, czy nie. A może nawet lepiej, że go nie pamiętasz. Zbliżyliśmy się do siebie.

— Uprawiałaś z nim seks?

— Nie. Ale było blisko. Kiedyś podwoził mnie do domu. Oboje byliśmy po dyżurze. Mój samochód nie chciał odpalić. Zatrzymaliśmy się na jakimś opuszczonym parkingu i bez słowa zaczęliśmy się całować i dotykać. Popieściliśmy się, do niczego więcej nie doszło, ale tylko dlatego, że na parking wjechał jakiś inny samochód. Bo w innej sytuacji... chyba bym się nie opamiętała. Przez kolejne miesiące miałam wyrzuty sumienia. Kocham Mikołaja. Bardzo go kocham, to mój mąż. A tamten mężczyzna był chwilą zapomnienia. Jesteśmy cały czas wystawieni na pokusy. Tylko że mój mąż żyje, a twój... Lena, przykro mi to mówić, ale twój nie żyje, a twoje ciało domaga się pieczy. Ty również potrzebujesz drugiego człowieka obok siebie. Każdy potrzebuje. Przemyśl to, zanim go odrzucisz.

— A co u Malwinki? — Lena nie miała ochoty drążyć tematu.

— Jej stan jest stabilny, ale bez żadnych zmian.

— Och.

— Wiesz, że potrzeba czasu, żeby dziewczynka doszła do siebie.

— Tak, czasu... Na wszystko zawsze potrzeba czasu.

Po skończonej rozmowie Lena siedziała chwilę bez ruchu. Nie spodziewała się takiego wyznania. Była wdzięczna Dorocie za to, ale sama nie wiedziała, czego chce. Ponownie westchnęła. Przebrała się w piżamę i wsunęła pod kołdrę. Wtuliła się w plecki córeczki. I nagle ją olśniło. Ona też potrzebowała czasu, żeby poukładać sobie wszystko na nowo.

Rozdział 28

Miśka wyciągnęła na stół wszystkie produkty potrzebne do wypieku pierniczków. Nie lubiła piec, ale wiedziała, że Bartuś cały rok czekał na to, by wspólnie upiekli świąteczne ciasteczka. Nic tak go nie cieszyło jak dekorowanie pierniczków. Nawet teraz, kiedy był już „mężczyzną”, nawijał o pierniczkach od listopada. W tym roku Miśka miała tyle na głowie, że kompletnie o nich zapomniała. Ale dziś nastał ten piernikowy dzień.

Kaja z Bartkiem wbiegli do kuchni. Miśka nałożyła im przydługie fartuchy i podwinęła rękawy.

— Ręce umyte? — zapytała.

Dzieciaki wyciągnęły przed siebie dłonie.

— Czyste.

Michalina postawiła na stole miskę, jajka, mąkę, przyprawy korzenne i miód. Bartek z Kają rozbili kilka jajek. Kawaleczki skorupki wylądowały w misce. To nic. Miśka zaśmiała się. Dzieci też, kiedy wspólnie próbowali wyłowić skorupki. Miśka za pomocą łyżeczki, Bartek z Kają palcami. Potem otworzyli woreczek z mąką. Bartek w tym czasie kichnął, a mąka niczym śnieżny puch pokryła cieniutką warstewką stary dębowy stół. Kiedy zagnietli ciasto, zapachniało świętami... Wycinali z piernikowego ciasta choinki, gwiazdki, głowy Mikołajów, renifery. Kiedy ciastka się upiekły i wystygły, udekorowali je lukrem z barwnikami. W kropeczki, paseczki, kółeczka, wzorki. Bartek na jednym pierniku wymalował nawet samochodzik. I niby taki duży dzieciak, a tyle ma jeszcze w sobie z tego małego Bartusia. Zwłaszcza radości z takich prostych rzeczy jak robienie pierniczków. Miśka pomyślała o mamie. Pamiętała doskonale ten dzień, kiedy mama postawiła wszystko na jedną kartę. Dziecko mimo choroby. Donosi tę ciążę — powiedziała do córki. Miśka była wdzięczna, za to, że Bartuś jest tutaj z nią. Mama była w dziesiątym tygodniu ciąży, kiedy dowiedziała się, że ma raka. Miśka pamięta ten dzień. Wróciła ze szkoły, a mama siedziała w bujanym fotelu na tarasie. Było ciepło, mimo to mama była przykryta kocem. Nie owijała w bawełnę. Powiedziała jej o wszystkim.

— I co teraz? — Dziewczyna była przerażona.

Ilona wzruszyła ramionami.

— Najbardziej boję się, że będę musiała wybierać. A ja nie chcę wybierać.

— Mamusiu. — Miśka przytuliła Ilonę. — Mamusiu...

Mama poszła na kolejną wizytę. Wtedy dowiedziała się, że w tym wypadku

powinna usunąć ciążę.

— Nie ma innych opcji? — zapytała Ilona.

— Nie.

Ilona poszła na konsultację do drugiego lekarza. Nie chciała tak łatwo opuścić. Jeśli miała zdecydować się na aborcję, to chciała mieć pewność, że to jedyne możliwe wyjście.

Trafiła z polecenia do onkolożki z Kliniki Nowotworów Układu Chłonnego w Krakowie. Miśka i Zosia pojechały wtedy z nią. Nie opuściłyby mamy w takim momencie. Pani doktor okazała się radosną blondynką; już na wejściu poinformowała je, żeby były dobrej myśli. Spojrzała na wyniki, potem na mamę. Zdjęła okulary i powiedziała ciepłym głosem, który dawał im nadzieję:

— Od osiemnastu lat prowadzę ciążę kobiet z nowotworami. Przy mojej asyście przyszło na świat około stu dzieci. Wszystkie zdrowe. Kilka matek jednak zmarło parę miesięcy po porodzie. Ale wiele żyje do dzisiaj i cieszy się dobrym zdrowiem. Chcę jednak, by pani wiedziała, na co się pisze. Kobiety w ciąży czasami lepiej znoszą chemię niż te, które nie są w ciąży. Jakby organizm sam motywował się do działania. Ciąża i rak są do pogodzenia. W ciąży można się leczyć i urodzić zdrowe dziecko. Wskazują na to zarówno wyniki badań naukowych, jak i doświadczenie onkologów leczących takie kobiety. Ciąża nie jest przeciwwskazaniem do chemioterapii. Z własnej praktyki wiem, że ciężarne lepiej tolerują chemioterapię. Mają znacznie lepsze wyniki badań hematologicznych, nie odczuwają nudności. No i psychofizycznie czują się zdecydowanie lepiej. Więc jak?

— Będziemy walczyć — odparła mama.

Miśka wiedziała, że mama się boi. Każdy dzień był dla Ilony krokiem milowym na przód. Każdy wieczór przynosił wybawienie. Kiedy mijał kolejny dzień, a wszystko było w porządku, oddychały z ulgą.

*

— Za dwa tygodnie zaczyna pani drugi trymestr ciąży, tak więc będziemy mogły ruszyć z chemioterapią — oznajmiła im pani doktor podczas kolejnej wizyty.

— Co z dzieckiem? Czy może być obciążone?

— Nie. Chłoniak nie jest chorobą dziedziczną.

Przed pierwszą chemią Miśka z mamą poszły nad strumyk. Mama wrywała z notesu kartki i składała z nich papierowe łódeczki.

— Co robimy? — zapytała ją Miśka.

— Będziemy puszczać w świat nasze marzenia. Każda papierowa łódeczka to kolejne marzenie.

Mama zrobiła chyba dziesięć łódeczek. Puszczały po kolei niewypowiedziane marzenia, a one płynęły z nurtem wody po srebrzystej wstędze potoku. Jedna łódeczka zatonięła. Miśkę ścisnęło coś w środku. Wyłowiła ją patykiem, ale kartka była tak zamoczona, że porwała jej się w rękach. To było jej marzenie o tym, by mama żyła jak najdłużej...

— Posłuchaj, córeczko, coś ci opowiem... Któregoś dnia, wraz ze złotymi porannymi promykami słońca, zapukało do mnie życie.

— Co tak siedzisz? — zapytało mnie życie.

— A, nic. Proza życia.

Życie parsknęło śmiechem.

— I tylko tyle? Ja mam ci wiele do zaoferowania...

— Nieraz się sparzyłam. Życie, nie raz ty żeś mnie sponiewierało. Mam też zabliznione rany i takie, które dopiero się goją. Życie, ty żeś złamało mi życie!

— A czy nie dostarczyłem Ci pięknych chwil?

— Hmm? Pewnie. Tyle ich było.

— A więc dlaczego ich nie pamiętasz?

Kobieta zamknęła oczy.

— Pierwszy pocałunek, narodziny dziecka, mama, która upiekła dla mnie chleb, śmiech do łez, przyjaciele, lot balonem, smak czekolady, promyki słońca na moim nosie, motyle na łące, bukiet kwiatów, ramiona ukochanego, ciepłe słowa. Pierwsze piwo, pierwszy papieros, pierwszy seks. Życie, Kocham cię, życie.

Rozdział 29

Artur Niemecki wszedł do „Cynamonowych Serc” roztargniony. Usiadł przy stoliku, zapomniawszy nawet uklonić się starszej pani. Siedział kilka chwil bez ruchu i wpatrywał się w okno.

— Dzień dobry. — Pani Zosia usiadła naprzeciwko niego i podsunęła mu talerzyk z kawałkiem puszystego sernika.

— Och, dzień dobry.

— Czy coś się stało? Wygląda pan na... przepraszam za sformułowanie: „niedzisiejszego”.

— Nie. Nic. — Zanurzył widelczyk w cieście. Dziwnie się czuł pod czujnym okiem babci Miśki.

— Michalina naprawdę dużo w życiu przeszła — zaczęła Zofia. — Życie sprzedało jej nieraz porządnego kopa. Śmierć mamy... Opieka nad małym dzieckiem. Wciąż nie może pogodzić się z tym, że ich ojciec o nich zapomniał.

— Dlaczego mi pani o tym mówi?

— Miśka wydaje się nie do złamania. Ale pod skorupą, jaką się otacza, pod pozorami silnej dziewczyny, bije wrażliwe serce. Więc jeśli pan nie wiąże z nią żadnych planów...

— Chciałbym się z nią związać... — Artur wyrzucił z siebie te słowa tak szybko, że sam był zszokowany swoim wyznaniem. — Ale to wszystko jest bardziej skomplikowane, niż mi się na początku wydawało.

Pani Zosia położyła dłoń na jego ramieniu.

— Muszę uporządkować swoje sprawy — powiedział.

— To dobre rozwiązanie. Trochę lat przeżyłam, żeby nie powiedzieć, że dużo. — Roześmiała się. — I wiem już na pewno, że nic nie dzieje się bez przyczyny. I skoro jesteś w tym miejscu, w którym teraz jesteś, to to coś znaczy. I Michalina pojawiła się na twojej drodze w odpowiednim czasie. Tak to czasami jest, że w odpowiednim miejscu i czasie spotykamy na swojej drodze takiego ludzkiego anioła. Bo moja Miśka to cud dziewczyna.

— Bardzo filozoficzne.

— Raczej gderanie starej baby.

Artur włożył kawałek sernika do ust. I uśmiechnął się do pani Zosi promiennie. Zofia zrozumiała, czym ten mężczyzna ujął jej wnuczkę. Jego uśmiech był piękny. Śmiała mu się cała twarz, również oczy. Żadna kobieta nie pozostałaby obojętna na taki uśmiech.

Miśka spojrzała w okno. Kolejny dzień padał śnieg. Tego dnia wielkie płaty oblepiały i tak już pokaźne śniegowe czapy na pobliskich drzewach. Przez kłębiaste, białe chmury przedzierały się promienie słońca. Mama kochała takie grudniowe dni. Mroźne, oblepione śniegiem.

Poprzedniego dnia Miśka znalazła w plecaku brata list. Odkryła go, kiedy wyjmowała zeszyty. List był wsunięty w środek jednego z nich. Pewnie chłopiec nie chciał, by siostra się o nim dowiedziała. Czyli jednak napisał list do mamy...

Nie powinna go czytać. Szanowała prywatność innych ludzi. Tym razem jednak czuła, że ten list powinna przeczytać. Jakiś wewnętrzny głos szeptał jej do ucha: „przeczytaj”. Koperka nie była zaklejona.

Kochana Mamusiu,

Najbardziej na świecie chciałbym ciebie poznać. Wiem, że to niemożliwe i mało... (jak to się mówi?)... realistyczne. Mam już dziewięć lat i wiele rzeczy rozumiem. Trochę rzeczy też nie rozumiem, ponoć z czasem to się zmieni. A może i nie? Chciałbym cię prosić o jedno: skoro jesteś duchem czy aniołem, to szepnij słówko tacie, by do nas wrócił... Jeśli nie chce na zawsze, to na chwile. Maciek mówi, że jestem sierotom. A ja nie chcę nim być. Bo przecież takom sierotom nie jestem, skoro gdzieś tam jest mój tatuś. Nie wiem, co ci jeszcze napisać, bo w sumie ciebie też nie znam... Może, że cie kocham, bo skoro byłaś taka jak Miśka, to znaczy, że byłaś cudowna. Kocham cię mamusiu i chciałbym bardzo, żebyś spełniła moje prośby.

Twój syn Bartłomiej

Miśka poczuła silne ukłucie w sercu. Tak bardzo nie chciała, by Bartuś się rozczarował... Co mogła zrobić? Nic. Naprawdę nic nie mogła zrobić, by tata przyjechał na święta. Nawet kupić mu tego cholernego tableta nie mogła. Wczoraj opłaciła ZUS, rachunki za prąd i gaz. Część pieniędzy odłożyła na zakupy świąteczne.

— Mamo — jęknęła.

Jej myśli poszybowały do mamy.

— Nie lubię pożegnań — powiedziała Ilona, kiedy widziały się po raz ostatni.

— Ja też nie. — Miśka poczuła dławiącą kulę w gardle.

— Ale wiem, że niedługo, no wiesz... — Ilona nie chciała sprawiać córce bólu.

— No wiem.

— Ale spotkamy się jeszcze.
— Naprawdę w to wierzysz?
— Gdybym nie wierzyła, tobym oszalała z rozpaczy i ty też. A obie w to wierzymy. — Ilona dotknęła ręki córki. Dłoń mamy była taka krucha i chłodna.

— Ja czasami nie.
— Uwierzysz.
— Dasz mi jakiś znak? — Miśka trzymała się nadziei jak tonący brzytwy.
— Postaram się — powiedziała Ilona. I słowa dotrzymała. Była obecna w życiu swoich dzieci, chociaż one nie zawsze zdawały sobie z tego sprawę. Nieraz poklepywała je po ramieniu. A to piórko, które ostatnio zauważył Bartuś? Czyje ono było?

— Przepraszam. Naprawdę cię przepraszam, że zostawiam cię z tym wszystkim samą.

— Dam radę. Obiecuję ci to.

— Wiem.

— Muszę ci się do czegoś przyznać.

Ilona lekko uśmiechnęła się do córki.

— Raz zapaliłam jointa i okłamałam cię rok temu, mówiąc, że będę nocowała u Nastki. Spałam u Kamila. Ale do niczego nie doszło, no może do jakichś tam macanek. Ale nic poza tym. I pożyczyłam sobie twoją kieckę bez pytania. I... — głos Miśki się łamał — I... Kocham cię, mamusiu.

Ilona dotknęła policzka córki.

— Też cię Kocham, córeczko.

— Nawet jeśli nie jestem idealna?

— Dla mnie jesteś. A to, że popełniłaś kilka głupstw... Zdarza się nawet najlepszym. Przytul się do mnie.

Miśka objęła mamę.

Jej mama umierała, a ona zostawała z tyloma sprawami sama. Nie będą się kłóciły o to, kto ma wynieść śmieci ani kto pozmywa po kolacji, ani o to, żeby nie przyjmować po raz kolejny ojca pod ich dach. I jutro, i pojutrze, i za tydzień znów wstanie słońce, ale już bez mamy. Bez mamy, która była ciepła i radosna jak to poranne słońce.

Ludzie wierzą, że będą mieli przed sobą tyle pięknych chwil, chwil, które jeszcze tyle razy się powtórzą. Ile razy zamiast porozmawiać z mamą Miśka szła do Nastki albo koleżanki, bo przecież jutro — jutro też jest dzień. Ile razy nie powiedziała jej o tym, że ją Kocha. Ile razy nie pocałowała, kiedy wybiegała rano do szkoły. Ile chwil ty zaprzepaściłaś? Chwil, które już nie wrócą?

— Obiecuj mi jedno.

— Tak?

— Że zawsze będziesz spędzała święta Bożego Narodzenia tak, jak to

robiłyśmy razem. To jest takie wspaniałe święto. Bóg się rodzi.

— Obiecuję. — Wtedy Miśce wydawało się to dziwne; teraz, kiedy dojrzała i dorosła, dostrzegała ich piękny wydźwięk. Mama kochała święta. Kiedy Bóg się rodził, jej mama odchodziła. W śnieżną, piękną noc ustroiła się w płatki śniegu, drogą z gwiazd pofrunęła do nieba. Chór aniołów dla niej zaśpiewał. Umarła z uśmiechem na ustach.

Na początku choroby mamy Miśka była pełna złości. Cały czas miała do Ilony pretensje.

— To nie ja sobie wybrałam chorobę — powiedziała do niej Ilona, kiedy Michalina po raz kolejny wybuchnęła.

— Możesz usunąć ciężę. Wtedy szybciej cię wyleczą.

— Może tak. A może i nie. Teraz też mnie leczą.

— A co, jeśli umrzesz?

— Każdy z nas kiedyś umrze.

— Przestań pieprzyć. Wiesz, o co mi chodzi.

— Wiem, ale nie chcę już więcej cię denerwować.

— To niesprawiedliwe.

— Czasami życie bywa niesprawiedliwe i potrafi mocno wkurwić.

— Zostanę sama z małym dzieckiem.

— Jeszcze nie umieram. Jeszcze nic nie jest przesądzone. Jest tata.

— Znasz tatę. Pojawia się i znika.

— Babcia.

— Tak. Babcia ma już swoje lata. A ja zostanę sama. Sama z tym wszystkim. A co ze mną, mamo? Mam osiemnaście lat. I co ze mną?

— Wiesz, że gdybym mogła...

— Nie, nie wiem. Nic już nie wiem. — Miśka wybuchnęła płaczem. Ilona podeszła do córki i chwyciła ją w ramiona. Gładziła ją z czułością po plecach.

Tydzień przed śmiercią Ilony jej lekarz prowadzący powiedział do Miśki:

— Najłatwiej znoszą śmierć ci, którzy w życiu nikogo nie kochali, których nikt nie kochał. I ci, którzy prawdziwie nie żyli. Bo są tacy, co odbębniają życie, oni tak naprawdę nic nie mają z tego.

Było już po dwudziestej pierwszej, kiedy Miśka weszła do pokoju brata. Leżał w łóżku i czytał książkę. Michalina usiadła obok. Podała mu kubek z gorącą czekoladą. Bartek uwielbiał gorącą czekoladę w wykonaniu Miśki. Może siostra nie umiała piec tak dobrze jak babcia, ale jej czekolada była gęsta, słodka i pachniała tymi wszystkimi przyprawami, które kojarzyły się Bartkowi ze świętami.

— O tej porze gorąca czekolada? — zdziwił się chłopiec.

— Skoro dziś był piernikowy dzień, to trzeba go dobrze zakończyć.

- Kubkiem czekolady?
- Mhm. Nie mów mi, że nie skorzystasz z okazji?
- Jak nie, jak tak. Ale myłem już zęby.
- Umyjesz jeszcze raz.

Roześmiali się.

— Pamiętam moje święta z dziecięcych lat — zaczęła Michalina. — Chodziłyśmy zawsze z mamą do pobliskiego lasu po choinkę. Przemierzałyśmy niekiedy kilka kilometrów w zaspach, by znaleźć odpowiednie drzewko.

— Tak po prostu szłyście do lasu wyciąć drzewko?

— Tak po prostu. — Miśka uśmiechnęła się na samo wspomnienie. — A potem przemoczone i zmarznięte wracałyśmy do domu. Mama robiła nam czekoladę. Właśnie od niej nauczyłam się ją odpowiednio przyrządzać.

— Jest pyszna.

— Gęsta i słodka. — Miśka pociągnęła łyk ze swojego kubka. — Przez kolejne dni kleiłyśmy ozdoby choinkowe, piekłyśmy pierniczki. Dziadek przynosił dwa karpie, które pływały w wannie.

— To gdzie się myliście?

— W misce. Przez ten czas, kiedy karpie gościły w naszej wannie, myliłyśmy się w misce. A kolację wigilijną rozpoczynaliśmy modlitwą. Potem łamaliśmy się opłatkiem. Zasiadaliśmy do stołu i jedliśmy te wszystkie pyszności. Potem biegłam do okna wypatrywać pierwszą gwiazdkę, a dziadek podkładał prezenty pod choinkę. A ja po raz kolejny byłam zawiedziona, że nie udało mi się zobaczyć Świętego Mikołaja. Czekaliśmy do północy, śpiewając kolędy, a potem szliśmy na pasterkę. Ale mnie bardziej od mszy interesowało to, czy nasz kot przemówił już ludzkim głosem. Mama co roku powtarzała mi, co tak naprawdę jest ważne podczas tych świąt. Nie moje ulubione kluski z makiem, nie prezenty, a bliskość drugiego człowieka i ten mały Jezusek w żłóbku, który się narodził tej nocy. Mama też mówiła, że przed świętami, albo i nawet w czasie świąt, należy sobie zrobić porządek w sercu. Ta noc jest wyjątkowa. Bo jaki sens ma choinka, prezenty, ta cała otoczka, kiedy w sercu mamy bałagan? Kiedy nie potrafimy zrozumieć istoty tych świątecznych dni?

Rozdział 30

Jadwiga Kowalik przypominała sobie ostatnie święta, te, zanim przybyła do Złotkowa. Tamte święta nie były już takie szczęśliwe. Tak, miała kiedyś rodzinę. Nikt w miasteczku o tym nie wiedział. Dla mieszkańców Złotkowa była ekscentryczną starą panną. Nikomu nie przyznała się do swojej przeszłości. Wstydziła się? Nie. Po prostu skończyła tamten rozdział. Zawiodła i musiała odejść. Szczególnie zawiodła Amelię. Ale Amelia...

Tamtych świąt, kiedy Amelia miała siedemnaście lat, Jadwiga nigdy nie zapomni. W przedświątecznym zamieszaniu układała listę składników do potraw, które miały się znaleźć na wigilijnym stole. Pracowali wtedy z mężem od świtu do nocy. Najlepszy okres sprzedażowy jest przed świętami. Trzy lata wcześniej zrezygnowała z posady nauczycielki, aby pomóc mężowi zająć się prowadzeniem hurtowni. I to był strzał w dziesiątkę. Interes dobrze prosperował, a i pieniędzy nie brakowało. Jadwiga dzień przed Wigilią obudziła się z myślą, że o czymś zapomniała.

— Choinka — odpowiedziała jej Amelia.

— No tak. Zapomniałam o choince.

— Może wybierzemy się razem na targ? — dziewczyna wgapiała się w Jadwigę.

— Kupię sztuczną. Starczy na lata.

— Ale ona nie będzie pachnieć.

— Amelia, co to za różnica...

— No, jest różnica. — Amelia zacisnęła usta w wąską kreskę. — Jest.

W tamtą Wigilię oboje z mężem byli tak wykończeni, że nie mieli na nic siły. Włączyli telewizor i rozsiedli się wygodnie na kanapie. Przed oczami przeskakiwały im reklamy świąteczne proszku do prania, w tle brzmiały dźwięki kolędy. Potem na ekranie pojawił się jakiś facet przebrany za elfa i reklamował najnowszej klasy mercedesa. Bank ogłaszał pożyczki na świąteczne prezenty.

O dwunastej przyjechał catering. Karp w galarecie, kilka sałatek, pierogi z kapustą i grzybami, paszteciki.

— I co? Myślisz, że starczy? — zwróciła się Jadwiga do męża.

— Ja w ogóle nie mam ochoty świętować.

— Ja też. Ale wiesz, Amelia.

— Ona ma już siedemnaście lat... Zrozumie, że świat nie kręci się wokół ustrojonej choinki, prezentów i kolęd.

— No, ale...

W tym momencie rozległ się dzwonek telefonu.

— Halo? — Jadwiga powiedziała do słuchawki. — Halo? — powtórzyła.

To, co usłyszała, wywróciło jej poukładany świat do góry nogami. To były jej najgorsze święta w życiu.

Od tamtego zdarzenia minęło tyle czasu... Przez te wszystkie lata Jadwiga chowała w sercu ból i smutek. A teraz? Mogłaby wsiąść w samolot i polecieć tam, gdzie od dawna chciała polecieć, ale nie miała na to odwagi. Zbyt wiele lat minęło. Dziewiętnaście.

Był mroźny grudniowy wieczór. Wiktoria z Jadwigą spacerowały po miasteczku. Śnieg chrząścił pod ciężarem ich stóp. Niebo było ciemne, bezchmurne. Wcześniej Jadwiga zadzwoniła do Wiktorii i poprosiła o spotkanie. Była wdzięczna losowi, że postawił na jej drodze Wiktorię. Tak bardzo potrzebowała drugiego człowieka. Tak dobrze było sobie z kimś pospacerować.

— Wiesz, dlaczego płakałam? — zapytała Jadwiga. — Wtedy... w kościele...

— Nie wiem.

— Za straconym czasem.

— Też czasami płaczę z tego powodu.

— Naprawdę?

— Tak.

— Miałam siedemnaście lat, kiedy urodziłam córeczkę. Amelię.

— Masz dziecko? — Wiktoria otworzyła szeroko oczy.

— Nie przerywaj mi, proszę. — Skarciła ją surowym tonem starej belferki.

— Nie byłam dobrą mamą. Na początku może tak, ale potem... Amelii się wydawało, że ją zaniedbujemy. Miała siedemnaście lat, kiedy wydarzył się dramat.

— Wypadek?

— Nie... Nie chcę o tym opowiadać. Ona żyje, ma się dobrze. Teraz... Teraz już z nią wszystko dobrze. Mieszka w Londynie. A ja od dziewiętnastu lat w Złotkowie. Opuściłam męża. Uciekłam od tego bólu, od przeszłości. Tylko, że... przeszłość to kurwa. Tak, to sprzedajna kurwa. To prześladowca. Dopada mnie, każe płacić za niewyrównane rachunki. Przypomina o sobie w najmniej odpowiednich momentach. Jestem złym człowiekiem. Nauczycielką... — prychnęła. — Nauczycielką, która uczy obce dzieci, a ze swoim nie ma kontaktu.

Wiktoria położyła dłoń na ramieniu znajomej.

— Nie kontaktujecie się?

— Czasem wyślę jej kartkę. Nigdy listu. Bo niby co miałabym jej napisać...

Kiedyś zaprosiła mnie na święta.

— I co, pojechałaś?

- Nie.
- Nie chciałaś?
- Wstydziłam się. Bo przecież tyle lat... Tyle lat się nie widziałyśmy.
- I to jest powód?
- Chyba wystarczający?
- Nie. Chyba nie.
- Też mam sporo za uszami.
- Ty?
- Chyba każdy z nas kiedyś zranił drugiego człowieka.

Wiktoria Skarżyńska wracała ze spaceru. Do pensjonatu dotarła przed siedemnastą. Zauważyła na podjeździe znajomy samochód. Nie, to nie może być prawda.

W tej samej chwili drzwi od strony kierowcy otworzyły się.

— Mamo...

— Asia? Coś się stało? — Wiktoria patrzyła szeroko otwartymi oczami na synową.

— Nie, nic. Przyjechałam.

— Ale... coś się stało? — powtórzyła Wiktoria.

— Nie. Nic się nie stało. U Mariusza i Kasi wszystko w porządku. Po prostu.

— Joanna potarła dłoń o dłoń. — Zimno tu.

— Zimno. — Wiktoria skinęła głową.

— Możemy porozmawiać?

— Gdzie?

— W jakiejś kawiarni? U mamy w pokoju? Gdziekolwiek.

— Po drugiej stronie ulicy jest kawiarnia: „Cynamonowe Serca”. Ja stawiam. — Wiktoria uśmiechnęła się do synowej. Ta odwzajemniła uśmiech.

Usiadły przy stoliku w głębi sali. Zamówiły herbatę z imbirem i cynamonem i po kawałku piernika staropolskiego.

Wiktoria mieszała herbatę, a Asia wpatrywała się w nią.

— Chciałam cię przeprosić. — Wiktoria poczuła, jak rumieniec wpełza na jej policzki.

— To ja mamę przepraszam. — Asia wzięła głęboki wdech. — Gdyby nie mama, może bym sięgała do kieliszka częściej.

— Słucham?

— Przed wyprowadzką piłam codziennie wieczorem kieliszek wina. Niby to nic wielkiego, ale potem, kiedy próbowałam przestać, było mi trudno.

— Ale...

— Opowiem wszystko po kolei. To mama uświadomiła mi, że mam problem. I gdyby wtedy mama nie wyrzuciła mnie z domu, to nie wiem, jak by się

to skończyło. Kiedy pierwszy raz poszłam na spotkanie AA, nie mogłam uwierzyć, że ci wszyscy ludzie, którzy się tam zjawili, mieli problem z alkoholem. Wyglądali tak normalnie. Porządnie ubrani, niektórzy prosto po pracy, w garniturach, z neseserami w dłoniach. Oprócz kilku osób, które wyglądały tak, jakby spędziły noc pod mostem, reszta niczym nie różniła się ode mnie. Ogarnęło mnie zdziwienie. Jeśli oni są alkoholikami, to czy ja też? Co ich tu wszystkich sprowadziło? Co mnie skłoniło do tego, żebym tam poszła? I wtedy przypomniało mi się to, co mama powiedziała — mogę stracić córkę. A moja córka to moja największa miłość. I dobrze, że to wszystko stało się wtedy... To był dla mnie dramat, ale mama mi na swój sposób pomogła. Oczywiście moi rodzice nie wiedzieli, że mam problem. Mariusz też tego nie zauważał. Nawet ja tego nie widziałam. Bo siedem kieliszków wina w ciągu tygodnia? Co to jest? Jediną osobą, która wiedziała, że za dużo piję, była mama.

— To wszystko przeze mnie. — Wiktoria położyła ręce na stół. Chwyliła rąbek papierowej serwetki i zaczęła go skubać.

— Nie, nie przez mamę. To był mój wybór.

Asia przełknęła głośno ślinę.

— Po całym dniu w pracy marzyłam o kieliszku wina. Na koniec dnia już czułam cierpki smak na języku. Marzyłam, by jak najszybciej się napić, by poczuć, jak trunek spływa w dół przełyku i przyjemnie miesza się z krwią. Chciałam poczuć się wyluzowana. Chciałam, by uszło ze mnie napięcie. I kiedy odkorkowywałam wino, czułam dreszcz podniecenia... Czy byłam alkoholizką, pozwalając sobie na jeden kieliszek? Alkoholicy piją wódkę, spirytus czy denaturat. A ja? Kulturalnie, wino. Nigdy się nie upijałam. Następnego dnia rano nigdy nie miałam kaca. A jednak miałam problem. Myślałam, że wszystko jest pod kontrolą, dopóki nie odstawiłam wina.

— Przychodziłam do was na górę tyle razy i nic nie zauważyłam.

— Patrzyłam na mamę nieraz, kiedy siadała mama na fotelu i taksowała wszystko dookoła. Jak detektyw, który szuka śladu. Otwartej butelki, nieświeżego oddechu, brudnego kieliszka. Czy naprawdę mama myślała, że codziennie będę zostawiała ślady? Oczywiście zdarzały się dni, kiedy nie zdążyłam umyć zębów, i wtedy mama poczuła kwaśny oddech.

— Dlaczego piłaś?

— Bo... trudno mi było z wami żyć. W tym trójkącie.

— W trójkącie... — powtórzyła Wiktoria.

— Mama zawsze nam to robiła. Mieliśmy wyjechać nad morze, mama miała palpacje serca i stan przedzawałowy. Rocznicę ślubu chcieliśmy spędzić w restauracji tylko we dwoje, ale na kolacji była również i mama. Kiedy urodziła się Kasia, mama chciała ją wychowywać po swojemu. Oczywiście doceniałam wszystko to, co mama dla nas robiła, że nam pomagała, ale w pewnej chwili

byliśmy przez mamę osaczeni. I ja starałam się mamę zrozumieć, że jest mama samotna, że potrzebuje mama wsparcia. Ale potem moja empatia zmieniała się w złość i niechęć. Bo ileż można wytrzymać?

— Chciałam dobrze.

— Dla Mariuszka, a dla mnie? Czy kiedykolwiek mama pomyślała, co jest ważne dla mnie? Na czym mi zależy? Czy myślała mama o tym, że potrzebujemy chwili intymności? Nie. Przychodziła mama w sobotę rano z bułeczkami i kawką. I rozkładała nakrycia na stole. A my właśnie chcieliśmy się kochać.

— Chciałam wam pomóc. Myślałam, że jak zrobię obiad czy śniadanie, to was odciążę. Naprawdę tak myślałam.

— Tylko że ja się czułam z tym źle. I z tymi ciągłymi przytykami: „mogłabyś piekarnik umyć” i „te okna takie brudne”. Zaciskałam zęby i piłam ten pieprzony kieliszek wina, na rozluźnienie. A mogłam mamie powiedzieć: „dość”, „już tego nie zdzierzę”. Ale to nie był mój dom. I zawsze sobie myślałam, że ja kiedyś też będę teściową. I co wtedy?

— Nigdy mnie nie lubiłaś?

— Lubiałam. Na początku myślałam o mamie: co za kobieta. Silna, wytworna. Opiekuńcza. I tylko jednego nie lubiałam, że mamy zdanie było ostatnie i zawsze na wierzchu. „W twoim wieku to ja...”, „Mój syn...”, „Używaj takiego proszku do prania”, „Zamiast margaryny kupuj masło”. A co ja miałam zrobić, kiedy lubiałam tę pieprzoną margarynę? Zaciskałam zęby, bo Mariusz w kółko mi powtarzał: „Ona ma tylko nas”, „Nie możemy jej odtrącić”. Jestem człowiekiem. Wrażliwym. Nie mogłam mamy tak zostawić. Samej, na pastwę losu. Popijałam frustrację kieliszkiem wina. Ciągłe myśląc, że wszystko mam pod kontrolą. Nie miałam. Czułam się brzydka. Mama zawsze subtelnie wbijała mi szpilkę. „Oj, powinnaś wziąć się za siebie. Przybyło ci tu i ówdzie”. I do większości kłótni z Mariuszem też dochodziło przez mamę. Kiedyś wróciłam wcześniej z pracy. I co? Nie mogłam uwierzyć, że mama jest u nas.

— Sprzątałam. — Wiktoria zarumieniała się.

— Tak. Pamiętam. Firanki były uprane, podłogi wypastowane. Tydzień wcześniej mówiłam mamie, że zrobię to w sobotę. Ale mama musiała być pierwsza. Zrobić to za mnie, żeby pokazać Mariuszowi, jaką ma cudowną mamę, która jest zawsze o krok przed jego żoną. I potem słyszałam, jak mama mówiła do swojego synka, że wszystko ją boli: i stawy, i ręce od tego szorowania i prania. A mi znów było przykro. Cholernie przykro. Rozmawiałam o tym wieczorem z Mariuszem. A on jak zwykle stał za mamą murem. A ja poczułam się odarta z prywatności przez teściową...

— Przepraszam, przepraszam. — Wiktoria patrzyła na synową.

— Po prostu żałuję, że nie porozmawiałyśmy wcześniej.

— Robisz to dlatego, że niedługo mogę nic już nie pamiętać?

— Nie. Robię to dlatego, żeby mama zrozumiała mój punkt widzenia.
Mariusz z Kasią przyjadą jutro.

— Naprawdę?

— Przecież nie zostawilibyśmy mamy samej na święta.

— Ciekawe... — Wiktoria upiła łyk herbaty. — Do tej pory nie kwapiliście się, by mnie odwiedzać.

— Nie? Jak to nie? Mamo, twoja choroba... Albo nie wiem... Dlaczego wyparłaś to wszystko z pamięci? Przyjeżdżamy do ciebie codziennie. Albo co drugi dzień.

— O czym ty mówisz?

— Codziennie jestem u ciebie z zakupami. Sprzątam twoje mieszkanie.

Mariusz z Kasią przyjeżdżają do ciebie popołudniu.

— Nie...

— Tak. Tak...

— Dlaczego o tym nie pamiętam? Choroba...

— Mamo, ty nie chcesz o tym pamiętać. I tu jest pies pogrzebany. Zobacz, pamiętasz jeszcze tyle rzeczy. Czasami zapomnisz, po co weszłaś do kuchni, gdzie odstawia się brudny talerz, ale z innymi rzeczami radzisz sobie jeszcze nie najgorzej. Pamiętasz wizyty sąsiadki, a o naszych zapominasz. A my, mamo, cię kochamy. A Kasia z Mariuszem cię ubóstwiają.

— Skrzywdziłam ciebie, a ty... ty wciąż mi pomagasz. Dlaczego?

— Bo jesteś mamą człowieka, którego bardzo Kocham. Bo mi na swój sposób pomogłaś.

— Boję się, co będzie ze mną dalej...

Asia dotknęła ręki teściowej.

— My mamy nie zostawimy... Nie zostawimy...

Spojrzały sobie w oczy. Obie wiedziały, że choroba koniec końców obędzie Wiktorię z pamięci. Joanna wiedziała też, że oboje z Mariuszem muszą zrobić wszystko, by nie pozbawić Wiktorii resztek godności. Na razie jest dobrze, ale choroba postępuje szybko. Joanna znała opinię lekarzy, a także ludzi, którzy opiekowali się bliskimi z Alzhaimerem. Chorzy tracą pomału kontakt z rzeczywistością, zaczynają żyć w swoim wyimaginowanym świecie. W przypadku tej konkretnej choroby człowiek wraca do etapu pierwotnego, zeruje się kindersztuba i umiejętności zachowań społecznych.

— Asia?

— Tak?

— Muszę coś zrobić.

— Co?

— Póki pamiętam. Muszę zarezerwować bilety. Masz internet w telefonie?

— Mam. Ale jakie bilety?

— Na samolot, dla przyjaciółki. Pomożesz mi?

To Mariusz pierwszy domyślił się, że mamę trzeba zbadać pod kątem Alzheimera.

— Ona taka nigdy nie była — mówił nieraz do żony.

— Po prostu mnie nie lubi. Chciała mi odebrać prawo do opieki na dzieckiem.

— Dzieje się z nią coś niedobrego. Moja mama... Ona jest dobrym człowiekiem.

— Bronisz jej, bo jesteś jej wychuchanym synem.

— Nie. Bo wiem, że ona jest wspaniała, ale dzieje się z nią coś niedobrego.

Mariusz przypomniał sobie wszystkie niby drobnostki, które ostatnio dostrzegł u mamy. Raz zapomniała zamknąć dom, kiedy wychodziła na spacer, coraz częściej zapominała o wizytach syna. Czasami podała kawę, ale nie podała do niej cukru i mleka. A mama zawsze była pedantką. Dbała o takie szczegóły. Gdy przyjeżdżali do niej, Mariusz miał wrażenie, że są intruzami; była wobec nich obojętna, wydawało im się, że cieszy się, kiedy wyjeżdżali.

Najlepszy kolega Mariusza był neurologiem. Mariusz zasięgnął jego opinii.

— Nie chcę cię martwić, ale twoja mama może mieć początki Alzheimera.

— To niemożliwe. Ona nie traci zmysłów ani pamięci.

— Alzheimer to nie tylko utrata pamięci. Zanik następuje dopiero później. Człowiek zmienia się o sto osiemdziesiąt stopni. Kochany człowiek staje się obojętny, niekiedy agresywny. Nic go nie obchodzi, czasem robi się złośliwy. Zeruje się empatia. Już w pierwszym etapie choroby jest skoncentrowany na sobie, nie dba o to, co czują jego bliscy. Dla niektórych członków rodziny jest wylewny, do innych wrogo nastawiony. Dam ci kontakt do profesora Gierczaka, specjalisty w tej dziedzinie.

Profesor potwierdził początki choroby.

— Wie pan co? — zakomunikował. — To musi trwać od jakiegoś czasu.

— Ile?

— Kilka lat.

— Jak to kilka lat? I ja o niczym nie wiedziałem?

Lekarz uśmiechnął się do niego smutno.

— Nie wiedział pan, bo... — Profesor westchnął. Nasunął okulary na nos, postukał długopisem w blat biurka. — Chorzy, dopóki dają radę, ukrywają tę chorobę, ale myślę, że rodziny zachowują się podobnie. Podświadomie nie dopuszczają myśli, że to Alzheimer. W chorobie Alzheimera dochodzi do zaniku komórek nerwowych, głównie w obszarze kory mózgowej. Odpowiada za to między innymi białko beta-amyloid, które rozrastając się gwałtownie, tworzy w

mózgu gęste złogi tak zwanych płytek starczych. Część komórek i połączeń nerwowych zostaje uszkodzona, ale mózg człowieka jest niezwykle plastycznym organem, zdolnym do regeneracji. Chorzy na Alzheimera uciekają z domów, usiłują wyjść przez okno, nie zwracając uwagi na wysokość, przechodzą przez ulicę, którą pędzą samochody, bo wracają do domu swojego dzieciństwa, gdzieś go widzą.

— Ale moja mama tak nie robi.

— Jeszcze nie. Jeszcze nie.

Kiedy Mariusz wyszedł z gabinetu, usiadł na chwilę na niewygodnym krześle w poczekalni.

— I co teraz? — powiedział ni to do siebie, ni to gdzieś w eter. Chciał, by bolesne słowa z niego uleciały. Ale one rozsiadły się wygodnie wokół jego serca i sprawiały mu ból. Mariusz zaczął płakać. Jak dziecko.

Ktoś podsunął mu chusteczkę.

— Wszystko w porządku? — zapytała jakaś kobieta.

Wziął chusteczkę i wytarł twarz i nos.

— Nie. Nic nie jest w porządku. Właśnie dowiedziałem się, że mama ma początki Alzheimera.

— Przykro mi.

— Co pani może o tym wiedzieć?

Kobieta usiadła obok niego.

— Mój tata też choruje. Dlatego dzisiaj tu jesteśmy.

Kobieta wskazała głową na staruszka, który siedział i czytał gazetę. Wyglądał normalnie. Mariusz sam nie wiedział, jak ma wyglądać ktoś z Alzhaimerem.

— Ta choroba może dotknąć każdego: mnie, pana. Nie ma czego się wstydzić. Pewnie pana boli to, jak mama się zmienia. Obojętnieje, często jest agresywna. Zapomina... Ale da się z tym żyć. Z czasem choroba staje się codziennością. Tak to już jest.

— Czy on wie? — Mariusz wskazał głową na uśmiechniętego staruszka.

— Nie. Teraz już nie. Najbardziej bolało mnie, kiedy patrzyłam na niego na początku. Przecież dowiedział się o chorobie, kiedy był świadomy. To jest okropny czas, kiedy człowiek już wie, że choruje na Alzheimera i niebawem osunie się w... no właśnie, w co? Ludzie kpią: „Zachorujesz na Alzheimera, wszystko zapomnisz, będziesz miał spokój”. A to nie jest zerojedynkowe: wieczorem wszystko pamiętasz, rano już nic. To proces. Co czuje chory, gdy jest jeszcze jakoś świadomy tego, co przed nim? Nie wiem. Na pewno go to boli. Ta świadomość, że za kilka chwil może wszystko, co było dla niego takie ważne w życiu, zapomnieć. Nie wiem, jak chorzy to czują. Tata na początku, gdy chodziliśmy z nim po

lekarzach, uważał, że robimy z niego wariata.

— Jak pani sobie z tym wszystkim radzi?

— Jakoś.

— Jakoś... — powtórzył jak echo.

Kilka miesięcy później Mariusz z mamą pojawił się na kolejnych badaniach.

Po skończonej wizycie Wiktoria wyszła na korytarz z synową, a on został w gabinecie.

— Doktorze, ja nie wiedziałem, że choroba będzie tak szybko postępowała.

— U jednych szybciej, u innych wolniej.

— To znaczy — Mariusz potarł ręką brodę — z mamą niby wszystko jest w porządku. Jest taka sama jak była. Może z wyjątkiem tego, że zamiast porządku w domu jest bałagan. Zapomina o niektórych rzeczach i dlatego robi notatki na kartkach. I zapomina o naszych wizytach. Co ciekawe, pamięta, że była u niej sąsiadka, listonosz dwa dni temu, a o moich wizytach nie pamięta. A może tylko udaje, by wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia?

— Nie... To możliwe. Wybiórcza pamięć.

— Wydaje mi się, że kiedy wychodzę do pracy, to ją opuszczam. Kiedy spędzam czas z rodziną, mam wyrzuty sumienia, że powinienem być z nią.

— Wie pan co... Z czasem będzie jej coraz trudniej żyć samodzielnie, mama będzie potrzebowała całodobowej opieki. Jeszcze nie teraz...

— Kiedy?

— Nie wiem.

— Jakie są rokowania?

— Będę z panem szczery. — Profesor wyprostował się i jakoś usztywnił. — Nie wydarzy się nic dobrego. To droga w jedną stronę.

Rozdział 31

Mariusz jechał autostradą w stronę Bieszczad. Na szczęście mógł spokojnie pomyśleć, ponieważ od godziny Kasia spała twardym snem.

Mama... Doceniał wszystko, co dla niego robiła. Ale nigdy tak naprawdę się nad tym nie zastanawiał. Podobnie jak wiele dzieci. Pewne rzeczy przyjmuje się za oczywisty fakt.

Pierwsze wspomnienia związane z mamą Mariusz ma zamglone. Ale jedno jest bardzo wyraźne. Miał cztery lata, kiedy mama po raz pierwszy zaprowadziła go do przedszkola. Przez całą drogę opowiadała mu, jak to będzie fajnie, ile tam jest zabawek. Inne dzieci też będą się z nim bawiły. Fajnie wcale nie było, bo tęsknił za mamą.

Mama obiecała, że wróci jak najszybciej i że będzie pierwszą mamą, która go odbierze.

I naprawdę była pierwsza. Rzucił się w jej ramiona, a ona wzięła go na ręce i niosła do samego domu. A w domu jedli razem ciasto i popijali kakao.

Mijały lata, były poobijane kolana i zdarte do krwi łokcie. Małe i większe smuteczki. I mama była przy nim w pełnej gotowości, by przykleić plasterek na ranę, by dać mu buziaka, który osusza łzy.

Potem szkoła. Mariusz był żywym dzieckiem. Na przerwach lubił z chłopakami bawić się w wyścigi. Udawali szybkie samochody, które pędziły do mety. Chłopak pędził co tchu. I... mama została wezwana do szkoły. Bał się przez te dwie godziny, kiedy mamy nie było w domu.

Kiedy weszła do mieszkania, wcale nie miała srogiej miny.

— Mariusz, ci nauczyciele i niektórzy rodzice są jacyś popieprzeni — powiedziała.

Chłopiec otworzył szeroko oczy.

— Czemu? — wydukał.

— Nie pozwalają ci biegać. Jak można zabronić dziecku w czasie przerwy biegać. Siedzicie czterdzieści pięć minut w ławkach, to potem musicie gdzieś rozładować energię. Jakaś mamusia doniosła dyrektorce, że biegasz po korytarzach i na placu i że to niby takie niebezpieczne.

— I co?

— Nic. Powiedziałam, co o tym wszystkim myślę. Mój syn może sobie biegać.

Mariusz uśmiechnął się do mamy.

— Mogę?

— Tak. Nie widzę w tym nic złego. Gdybyś kogoś bił, ubliżał mu, to inaczej bym z tobą rozmawiała. Ale ty, dziecko, biegasz.

— Mamo, bo ja się bawię, że jestem samochodem wyścigowym.

— Baw się, baw.

Mama przytuliła go.

Wspomnienie tamtego dnia towarzyszyło mu do dziś. Mama stanęła za nim murem. Była jego ostoją. Ocaliła go przed dyrektorką i jakąś nawiedzoną mamuszką. Od tego jest dzieciństwo, by biegać, skakać, krzyczeć. Śmiać się i być w ruchu.

Kiedy Mariusz dorósł, mama pamiętała o terminowych sprawach, które powinien załatwić, jego wizytach u lekarzy, egzaminach, urodzinach, imieninach. Nigdy nie mówiła mu o swoich problemach, bo nie chciała go martwić. Nie spała, kiedy on balował na jakiejś imprezie. Koczowała przy oknie, dopóki go nie zobaczyła. Gdy tylko dostrzegą jego postać, jak wyłania się z ciemności, kładła się do łóżka i udawała, że śpi. Rozpieszczała go. Nawet kiedy miał już dwadzieścia kilka lat szykowała mu śniadanie, obiad i kolację. Na urodziny zawsze piekła dla niego tort. Na dziesiąte i dwudzieste zrobiła piętrowy. Chodzili razem na spacerzy do lasu. Nauczyła go odróżniać grzyby jadalne od „trujaków”.

Kiedyś powiedziała: „Bądź szczęśliwy w tym życiu, które masz, a nie w tym, o którym marzysz”.

Wigilia. Mama cały tydzień przygotowywała potrawy. Podśpiewywała kolędy, kiedy lepila uszka. Mariusz miał wtedy dziewiętnaście lat. I przewracał oczami na te wszystkie mamine rytuały. Podszedł do stołu i podkradł trochę farszu na pierogi z miski. Mama dotknęła jego nosa ręką ubrudzoną mąką.

— Mamooo...

— Oj, już nie przesadzaj, to tylko mąka! — Uśmiechnęła się do niego promiennie. — Wiesz co? Chciałabym, żebyś zawsze był szczęśliwy. Tego dla ciebie chcę. Szczęścia, kochanie.

Wtedy te słowa nie miały dla niego znaczenia. Teraz mają ogromne.

A potem poznał Asię. I na początku wszystko było dobrze, mama ją lubiła. A potem coś się zmieniło. Mariusz nie wiedział, że to początek choroby. Czemu nic nie podejrzewał? Przecież jego mamusia nie byłaby taka. Oschła, obojętna. Nieczuła.

A ten dzień, kiedy został tatą? Mama siedziała przez dwanaście godzin na korytarzu. Czekala. A kiedy zobaczyła Kasię, nie mogła powstrzymać łez. „Masz piękną córkę. Piękną córkę — powtarzała wzruszona. — Zobaczysz, jakie to cudowne uczucie być rodzicem”.

Kiedy wyprowadzał się z domu po awanturze mamy z Asią, mama stanęła w

progu — taka bezradna, smutna, zagubiona — i powiedziała:

— Bez względu na wszystko jestem twoją mamą. Możecie tu wrócić zawsze i o każdej porze. Zawsze...

I Mariusz zdawał sobie wtedy sprawę z tego, jak mama bardzo się boi. On też się bał. I wiedział, że przelyka ły, że nie wie, co powiedzieć. Mama wiedziała, że już nigdy nie będą razem mieszkać. Że jej syn zakończył pewien etap. Żałował, że nie powiedział jej wtedy, że ją kocha, ale był zły na nią o to, co zrobiła. Gdyby wiedział, że jest chora... Nieważne. Nie musiał wiedzieć. Mógł to wszystko inaczej rozegrać.

Rozdział 32

Jadwiga usłyszała pukanie do drzwi. To nawet nie było pukanie, a walenie. Kot się najeżył, ona się przestraszyła. Otworzyła drzwi, ale nie zdjęła łańcucha.

— Wiktoria? Co ty tu robisz?

— Wpuścisz mnie? Inaczej zamarznę.

Jadwiga zdjęła łańcuch.

— Wejdz.

Wiktoria zsunęła buty i weszła do pokoju. Klapnęła na sofę.

— Wody — wyjęczała, ciężko dysząc.

Jadwiga podała jej szklankę. Wiktoria wypila duszkiem.

— Coś się stało?

— Asia przyjechała.

— Asia?

— Moja synowa.

— Ooo.

— No właśnie, ooo. Ale to dobrze, wyjaśniłyśmy sobie kilka spraw. I...

Mariusz z Kasią tu jadą.

— To cudownie.

— Tak, cudownie, ale ja nie o tym. Mam tutaj numer rezerwacji.

Wiktoria pogrzebała w kieszeni płaszcza i wyjęła zmiętą karteczkę.

— Jakiej rezerwacji?

— Lotu.

— Lotu? — Jadwiga zmarszczyła brwi.

— Za dwa dni Wigilia.

— I co to ma wspólnego z lotem?

— Zarezerwowałam ci bilet. Lecisz do córki, do Londynu. Tylko musisz zrobić te odprawy na komputerze.

— Ale ja... — Jadwiga musiała przytrzymać się futryny, bo czuła, że nogi się pod nią uginają. — Ale ja...

— Czasami trzeba dopomóc losowi. Jadzia...

— No co...?

— To już czas. Już czas. Bez względu na to, co się wydarzyło. To twoja córka.

Jadwiga przypomniała sobie pewną bajkę, którą opowiadała kiedyś Amelii:

„Spotkałam dzisiaj anioła. Tak, dzisiaj. Miał zamarzniete skrzydła, czerwony nos. Był taki jakiś zagubiony.

— Chodź tutaj do mnie — powiedziałam do niego.

Podszedł, uśmiechnął się.

— Ogrzej się. — Otworzyłam ramiona. Przytulił się do mnie.

— Ogrzeję się w Twoim cieple. Masz takie gorące serce.

— Ja?

— Ty. Jeszcze w to wątpisz? Jesteś przecież dobrym człowiekiem”.

— Jesteś takim dobrym człowiekiem, Wiktoria, takim dobrym...

*

Kaja z Bartkiem budowali igloo.

— O co w tym wszystkim chodzi? — zapytała Kaja, która na chwilę oderwała się od lepienia śnieżnego bloku.

— No sama chciałaś, żebyśmy zbudowali igloo.

— Nie o igloo pytam, ale o Boże Narodzenie.

— No, Jezus się rodzi.

— Co roku?

— Jakby ci to wytłumaczyć... — Bartek wytrzepał rękawiczki. — To taka tradycja.

— Fajnie jest, jak rodzi się dziecko.

— Fajnie? Czy ja wiem... Beczy ciągle i robi kupę w pieluchę.

— Ale Dzieciątko Jezus było szczególne.

— No tak. Skoro co roku świętujemy jego narodzenie, to musiało być.

— Ja bym chciała mieć jeszcze brata albo siostrę.

— Ja w sumie też. Ale już żeby się takie duże urodziło. Żeby miało co najmniej trzy lata.

Kaja przewróciła oczami.

— Przecież to niemożliwe. Takie duże dzieci się nie rodzą.

— Wiem, że nie.

— Ja to muszę powiedzieć mamie, żeby poszła do tego sklepu z nasionkami.

— Z jakim nasionkami?

— No z tymi, z których powstają dzieci. Nie wiedziałaś? Mama połyka nasionko, a potem w jej brzuchu powstaje mały człowieczek.

— Wcale nie.

— Właśnie, że tak.

— Do powstania dzidziusia w brzuchu mamy potrzebny jest tata.

— A co tata ma z tym wspólnego?

— To tato przekazuje mamie ziarenko. Musi być tata i mama, żeby powstał dzidzius.

— A nie ma sklepików z nasionkami?

— Nie słyszałem o takim.

— Ooo.

— Jestem starszy, to wiem więcej.

— Muszę znaleźć mamie jakiegoś nowego tatę.

— Ja też szukam Miśce faceta.

— Chcesz mieć brata?

— Może być i brat, a może i siostra.

— Mi też wszystko jedno.

— Ale teraz, póki nie mamy, to dobrze, że ten Jezusek się rodzi.

— Chyba właśnie po to są te święta...

— No... chyba tak. Żeby cieszyć się z małego dzidziusia, który się rodzi.

Ulepili kolejny blok, dźwignęli go razem i ustawili na konstrukcji.

Rozdział 33

W związku z tym, że Miśka miała gości, obie z babcią stwierdziły, że Wigilię dla ich trójki zorganizują dwa dni wcześniej. Dwudziestego czwartego Miśka musiała działać na pełnych obrotach, kiedy wspólnie z gośćmi zasiądą do Wieczerzy.

Razem z Bartusiem zjawili się w pokoiku w domku gościnnym babci Zosi dwudziestego drugiego grudnia o dziewiętnastej. Na drewnianym stole, przykrytym śnieżnobiałym obrusem, stał talerzyk, na którym leżał opłatek; obok leżało Pismo Święte. A dookoła stały półmiski z wigilijnymi potrawami. W powietrzu unosił się zapach kapusty, suszonych grzybów, cynamonu i pierników. Ze starych głośników płynęły kolędy. Stanęli przy stole, babcia przeczytała fragment Pisma Świętego o narodzeniu Jezusa. Potem się chwilę modlili, podzielili opłatkiem, powspominali tatę i mamę. Bartek nigdy nie lubił tych wspominek, bo właściwie nie miał czego wspominać. Nie pamiętał rodziców. Sam nie wiedział dlaczego, ale ogarniała go wtedy irytacja. Poza tym chciał jak najszybciej zjeść kolację, by dobrać się do upragnionego prezentu.

Po wieczerzy podeszli do bożonarodzeniowego drzewka, pod którym leżały trzy pakunki. Chłopiec podał jeden prezent siostrze, drugi babci. I jeden zostawił dla siebie. Był tak podekscytowany, że najchętniej porwałby papier w drobne strzępy, ale siłą woli się powstrzymał. Pierwsza otworzyła prezent babcia. Dostała broszkę z filcu i koralików, którą zrobiła dla niej Miśka. Miśka dostała natomiast parę ciepłych rękawiczek.

— Rękawiczki... — Kobieta była wzruszona. — Potrzebowałam właśnie rękawiczek. Sami wiecie, że ciągle je gubię.

Bartuś nie mógł już dłużej słuchać siostry i babci; jednym ruchem rozerwał papier w mikołaje. Serce mu galopowało, dłonie zaczęły się trząść. I nagle mina mu zrzedła, kiedy zobaczył pudełko domino.

— To nie tablet, ale... — głos Miśki wibrował w uszach zawiedzionego Bartka.

— Masz rację, to nie tablet. — Bartek przełknął rozczarowanie.

Miał ochotę rzucić pudełkiem w choinkę. Miśka wyczuła złość brata.

— Przykro mi, że nie dostałeś swojego wymarzonego prezentu, ale...

— Nie, spoko! — przerwał jej Bartek.

— Chyba mnie rozumiesz. Niedługo pieniądze się zwrócą i wtedy... Zainwestowaliśmy w pokoje dla gości. To wszystko dla nas...

Pewnie, że Bartek rozumiał. Nie byli przecież normalną rodziną. Byli sierotami, które musiały same sobie radzić. Podczas gdy jego koledzy z klasy grali na tabletach i mieli już komórki, on będzie musiał zadowolić się dominem. Jaki obciach. Wróci do szkoły po świętach i co im powie? Że dostał domino? Część kolegów nawet nie wie, co to jest.

Siostra go zawiodła. I babcia też. Przecież prowadziła tę przeklętą kawiarnię. Ale zapomniał, babcia miała tak niskie ceny, że sam nie wiedział, jak to możliwe, że jeszcze coś zarabia, a poza tym pomagała wszystkim biedakom w okolicy.

Złość w nim zebrała. W końcu wybuchnął:

— Boga nie ma!

— Dlaczego tak sądzisz? Czy dlatego, że nie dostałeś wymarzonego prezentu? Czy brak tabletu świadczy o tym, że Bóg nie istnieje? Przykro mi, że tak mówisz.

— Pieprzę takie Boże Narodzenie!

— Gdyby Boga nie było, nie byłoby tego wszystkiego: granatowych chmur, z których zaraz na pewno spadnie śnieg... Miłości... Cudów.

— Jakich cudów? Jesteś już starą babą, a wciąż wierzysz w cuda?

Chłopiec chwycił czapkę i kurtkę, do kieszeni włożył swój nieszczęsny prezent i wybiegł na zewnątrz. Miśka też się ubrała i wyszła za nim. Szukała brata przez kilka minut. W końcu dostrzegła go siedzącego skulonego na ławce.

Usiadła obok.

— Przepraszam, że cię rozczarowałam. — Chciała go objąć, ale się od niej odsunął. — Nie miałam pieniędzy, żeby kupić ci tablet.

— Ale na to, żeby odnowić poddasze i zaprosić na święta obcych ludzi, to już miałaś?

Michalina westchnęła.

— Zrobiłam to dla nas. Otworzyłam biznes, żebyśmy mieli pieniądze. Kupię ci tablet za miesiąc, dwa. Mam kolejne rezerwacje. Myślę, że interes będzie się kręcił.

— Ale ja chciałem teraz.

— Teraz... — Miśka westchnęła. — Jesteś już dużym chłopcem i powinieneś wiedzieć, że nie zawsze wszystko, czego chcemy, otrzymujemy od razu. Musisz też wiedzieć, że nie zawsze to, czego chcesz, jest tym, czego potrzebujesz.

Bartek zmarszczył zabawnie nos.

— Gdyby mama żyła, miałbym tablet.

Miśka poczuła ostre ukłucie w sercu.

— Bartuś... Może byś miał, a może nie. Staram się. Naprawdę się staram.

— Idę do domu.

Artur spotkał Bartka na tyłach ogrodu. Chłopak rzucał śnieżkami w pień drzewa. Ciskał nimi tak mocno, że Artur nawet się nie spodziewał, iż chłopiec może mieć taką siłę.

— Ej, wszystko porządku? — zagadał.

— Nic nie jest w porządku.

— Dlaczego?

— Dla gówna psiego.

— To też odpowiedź.

Bartek jeszcze przez chwilę rzucał kulkami w pień drzewa, po czym opadł z sił.

— Zatem o co chodzi?

— Nie mam nic.

— Jak to nic? Masz wspaniałą rodzinę.

— I pan uważa, że to dużo?

— Tak. Tak uważam.

— Chciałem dostać tablet, ale moja siostra nie ma kasy.

— Tablet... westchnął Artur. — Zawsze chcemy, tego, czego nie mamy. —

A ja bym chciał, żeby ktoś mnie tak mocno kochał. Kiedy ci smutno i źle, nie podzielisz swoich odczuć z tabletem czy komputerem, a z drugim człowiekiem.

Bartek nic nie odpowiedział. „Pieprzenie” — pomyślał. Wyminął Artura i wszedł do domu. Wbiegł do swojego pokoju. Położył się na łóżku w ubraniu. Myślał, że może uda mu się zasnąć, ale sen nie nadchodził. Po kilku chwilach wstał, wyjął z kieszeni prezent i cisnął dominem o podłogę. Pionki rozsypały się po podłodze. Chłopak odczuł ulgę. Po kilku chwilach do pokoju weszła Miśka.

— Wszystko w porządku? — zapytała zatroskanym głosem.

Bartek nie potrafił spojrzeć na siostrę.

— Rozrzuciłeś domino... — W jej głosie usłyszał ból. I wtedy na nią spojrział. Trzymała w rękach kubek.

— Zrobiłam dla ciebie gorącą czekoladę.

— I po co? — prychnął.

— Bo cię kocham.

Dziewczyna postawiła kubek na stoliku i wyszła cichutko z pokoju.

Następnego dnia rano Bartek zszedł do kuchni z nadąsaną miną. Miśka kroїła warzywa na sałatkę. Kiedy zobaczyła brata, odłożyła nóż i wytarła ręce w fartuch, po czym stanęła naprzeciwko chłopca.

— Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, ale masz się uśmiechnąć. Mam dużo na głowie i nie zamierzam znosić twoich fochów.

— Pewnie. — Wzruszył ramionami.

— Za dwa dni Bóg się rodzi! — Miśka powiedziała to takim tonem, jakby to

było dzisiejszego dnia najważniejsze.

Bartek prychnął.

— Jak skończę robić sałatkę, pójdziesz gdzieś ze mną.

— Nie mam zamiaru.

— Pójdziesz i już.

Wyszli z domu po dziesiątej. Miśka trzymała w ręku kraciastą torbę.

— Dokąd idziemy? Chyba możesz mi powiedzieć? — zapytał siostrę Bartek.

— Do Kotlewskich.

— Do Kotlewskich?

Kotlewscy byli bardzo biedną wielodzietną rodziną. W jedenaścioro mieszkali w dwuizbowym domku. Mama, tata, babcia i ich ośmioro dzieci. Dzieci, które za sobą poszłyby w ogień. To była kochająca się rodzina, która czasami przez kilka dni z rzędu jadła chleb z masłem, a na obiad placki ziemniaczane.

— Po co do nich idziemy?

— Mamy dla nich ciasto, rybę i trochę schabu.

— Sami niewiele mamy.

Miśka przystanęła.

— Nieprawda. Mamy na tyle dużo, że możemy się podzielić.

Dom Kotlewskich był stary, ale utrzymany w porządku. We wnętrzu panował gwar.

— Miśka, Bartuś! — przywitała ich pani Kotlewska.

Kilka chwil później zleciała się cała rodzina.

— Przynieśliśmy wam trochę prowiantu na święta.

— Jesteś jak mama! — Pani Kotlewska nie kryła wzruszenia.

Często ludzie mówią, że nie mają pieniędzy na to czy na tamto, że są biedni. Ale skoro mają co do garnka włożyć, w co się ubrać, to naprawdę są na tyle bogaci, żeby podzielić się kawałkiem bułki czy chleba z drugim, potrzebującym człowiekiem. Zawsze jesteś dość bogaty, by uśmiechnąć się do drugiego człowieka, dość bogaty, by kogoś obdarzyć dobrym, ciepłym słowem.

Pani Kotlewska zaprosiła rodzeństwo do skromnej izby, pośrodku której stała choinka obwieszona szyszkami i ozdobami z kolorowego papieru. Niektórym mogła się wydać tandetna, ale dla tej rodziny była najpiękniejsza. Nie „modna”, lecz ustrojona z sercem.

— My tylko na chwilkę — odezwała się Miśka.

— Przed Wigilią zawsze jest dużo pracy. A to ugotować, a to podłogi wyfroterować. — Pani Kotlewska uśmiechnęła się serdecznie do Miśki. — Nie będę was zatrzymywać. Chciałam się z wami tylko podzielić opłatkiem i opowiedzieć pewną historię.

Złożyli sobie życzenia i usiedli na wersalce.

— Pamiętam, była taka zima jak ta. Może bardziej mroźna — zaczęła Kotlewska. — Tak, na pewno, bo temperatura spadła poniżej dwudziestu stopni. Śnieg sypał wielkimi płatami. Szłam do sklepu po mleko dla dzieci. Miałam wtedy już dwójkę. Na nogach miałam trampki ze startą podeszwą. Nie narzekałam, mimo iż po kilku metrach miałam przemoczone i buty, i stopy. I wtedy ją spotkałam. Młodą kobietę z uśmiechem od ucha do ucha.

„Nie zimno ci w stopy? — zapytała, spoglądając na moje nogi.

— Nie. — Uśmiechnęłam się. Nie chciałam odgrywać roli nieszczęśnicy, bo przecież wcale nie byłam nieszczęśliwa. Miałam cudowną rodzinę, a że buty nieodpowiednie do pogody? Nie zwracałam na to uwagi.

— Jest grudzień — powiedziała”.

A ja przecież wiedziałam, że jest grudzień. I w sumie mogłabym iść po zapomogę do wujka. Bogatego krewnego, który kiwał z politowaniem głową nad naszą sytuacją finansową, ale nic nie robił, by nam pomóc. Nie musiał. Pewnie, że nie. Bo w sumie nikt nie ma obowiązku nikomu pomagać. Ale ważne, kiedy człowiek tego chce. A niewielu chciało. A ja nie chciałam litości, westchnień, tego kiwania głową, słów, jak tej Kotlewskiej źle się życie ułożyło. Bo tak naprawdę Kotlewskiej źle nie było.

Pożegnałam się z dziewczyną, która przypominała mi wyglądem anioła. Tak, takie były anioły ze snów i te malowane na obrazach. O porcelanowej cerze i jasnych włosach.

Dzień przed Wigilią usłyszałam pukanie do drzwi. Kiedy otworzyłam, zobaczyłam na wycieraczce pakunek. Wniosłam go do domu. Otworzyłam, a tam pudełko z butami. A w nim kozaki z kozuszkami. Zabawki dla dzieci i słodycze. Mąż powiedział mi, że kilka dni wcześniej złapała go na ulicy Ilona, koleżanka z podstawówki, i wypytywała o mój rozmiar butów. Ilonka... Wasza mama. Anioł. Ja... — wzruszenie odebrało Kotlewskiej na chwilę głos. — Ja nigdy jej się nie odwdzięczyłam za tamte kozaki.

Jak wygląda prawdziwa miłość? Dziś, gdy szukamy jej w rzeczach, prezentach i namiętnościach, nie dostrzegamy, że prawdziwa miłość objawia się w prostych gestach, które robimy z myślą o drugim człowieku. Przychodzi do nas tylko przez drugiego człowieka. To dlatego narodził się Jezus. Bóg przez chwilę stał się człowiekiem, by doświadczyć tego, co ludzkie. Tej ludzkiej miłości, czasem bolesnej, czasem konającej w męczarniach. Ale to właśnie ta ludzka miłość jest prawdziwa.

Kiedy Miśka z Bartkiem wyszli od Kotlewskich, chłopak spojrzał na siostrę z podziwem.

— To, czy masz powód do radości, czy też nie, zależy od ciebie — odezwała

się Miśka.

— I do użalania się nad sobą też?

— Tak. Też. Masz zawsze wybór.

— Mam... Czy po kolacji zagraasz ze mną w domino?

Miśka wyciągnęła rękę do brata. Zamknęła jego dłoń w swojej.

— Nie marzę o niczym innym, jak tylko usiąść z tobą przy kominku i zagrać w domino...

— Wiesz, Miśka, ja tak naprawdę nie chciałem tego tabletu.

— Nie?

— Prawie wszyscy w klasie mają tablet.

— I co?

— Pomyślałem, że fajnie być takim jak ci inni.

Miśka przystanęła, odwróciła się do brata.

— Wiesz, co powiedziała mi kiedyś mama?

— Co?

— Że najfajniej jest być sobą. Nie musisz być jak większość. To wcale nie jest takie fajne.

— Być odmieńcem też nie jest fajne.

Miśka zamyśliła się na chwilę.

— Wolę być odmieńcem niż jak reszta.

— Chciałbym rower. Górski.

Miśka roześmiała się.

— Jak tylko odłożę trochę pieniędzy, to kupię ci górala.

— Ale wieczorem domino?

— Tak. Wieczorem domino...

Bardzo często ludzie są skoncentrowani na tym, co chcieliby dostać od losu, i nie dostrzegają tego, jak wiele już mają.

Miśka weszła jeszcze do sklepu, zapomniała kupić serwetki. Na szczęście wielobranżowy był czynny do piętnastej. Dziewczyna spotkała w sklepie Jadwigę Kowalik. Nauczycielka była jakaś rozkojarzona. Zatrzymała się przed kolorowymi szalami i przeglądała jeden po drugim. Dotykała je, zachwycała się ich fakturą. Michalina przystanęła zdziwiona. Jadwiga uniosła głowę. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Miśka mimowolnie uśmiechnęła się. Jadwiga odwzajemniła uśmiech.

— Przepraszam — odezwała się nagle Jadwiga.

— Za co?

— Za historię z bałwanem.

Miśka wyprostowała się, a jej ciało napięło. Nie chciała wracać do tej nieszczęsnej historii.

— Nie powinnam robić z tego takiej afery. Ot, dziecięcy wybryk.

Miśka nie wiedziała, co ma powiedzieć.

Jedno „przepraszam” tyle dla niej znaczyło. Wszyscy popełniamy błędy. Ranimy innych ludzi. I czasami wystarczy tylko powiedzieć „przepraszam”, by runął między nami mur. Wystarczy się do kogoś uśmiechnąć, by rozjaśnić jego dzień. I jedno „przepraszam” może sprawić, że nie będziemy już wrogami. Po co mamy chować urazy?

— Lecę do rodziny na święta — kontynuowała Jadwiga.

— To pani ma rodzinę?

— Mam! Mam... — Jej entuzjazm był zaraźliwy.

— Wesołych świąt, pani Jadziu.

— Miśka?

— Tak?

— Ten pan Artur... Fajny jest.

— Wiem.

Uśmiechnęły się do siebie.

Rozdział 34

Jadwiga Kowalik zniknęła ze Złotkowa bez pożegnania. Nagle. Tak samo jak się pojawiła. Od razu pojawiły się plotki, jak to w małym miasteczku. Zniknęła. Zamknęła dom na cztery spusty, wzięła ze sobą jedną walizeczkę. Nawet kota zostawiła u Zośki w kawiarni i wyjechała. Przecież ona nie ma rodziny. Jest starą panną — huczało w Złotkowie. Może jest chora? Na pewno ma raka. Rak atakuje teraz co drugą osobę. To przez tę chemię, którą producenci dodają do wszystkiego. Biedna. Nagle społeczność Złotkowa zaczęła snuć opowieści o tym, jaką to pani Jadzia była cudowną osobą. Zabawne — myślała Miśka. Kiedy Jadwiga była w Złotkowie, ludzie opowiadali o niej całkiem inne, niestworzone rzeczy, że jęcza, zbyt wymagająca z niej nauczycielka, niektórzy nawet porównywali ją do czarownicy. A teraz po jej wyjeździe nagle w oczach mieszkańców urosła do rangi niemal świętej.

— Babciu, po co wzięłaś od niej tego kota? — zapytała Miśka Zosię.

— Bo było mi jej szkoda. Bo wiedziałam, że kocha tego zwierzaka i trudno jej się z nim rozstać. Bo dawno temu, kiedy się tu sprowadziła, spotykałyśmy się od czasu do czasu.

— Z panią Jadwigą? Moją historyczką?

— Tak.

— Ona zawsze wydawała mi się taka niedostępna.

— Kiedy przyjechała do Złotkowa, była trochę dziwna.

— Dziwna?

— Jakby szalona. Tylko tak nieszkodliwie szalona. Zanim rozpoczęła pracę w szkole, pracowała w przedszkolu. Mówiła dzieciom, że jest wróżką. I faktycznie ubierała się w długie sukienki obszyte cekinami, na głowę wkładała kapelusze z piórami. Rozdawała uśmiechy na lewo i prawo, ale oczy... Oczy miała takie smutne... Kilka razy przyszła do mnie na kawę. Jeszcze dziadek żył. Zdarzało się, że gadała bez ładu i składu... Czasami opowiadała baśnie, innym razem o różnych wydarzeniach historycznych. Słuchaliśmy jej z zapartym tchem. Któregoś dnia, kiedy byliśmy same, pani Jadzia zaczęła snuć inną opowieść, o jakiejś Amelii, że jest miłością jej życia... Nie wiedziałam, co o tym sądzić. Kiedy skończyła, szybko wstała i wyszła. Od tamtej pory już do nas nie przychodziła. Ba... Zmieniła się. Zaczęła wkładać „normalne” ciuchy w kolorze brązowym i szarym. Ponoć przyszły jej papiery z poprzedniej pracy, wtedy zatrudniła się w szkole jako historyczka. Stała się oziębła i wymagająca. Ale dzięki temu historię masz w jednym palcu.

— No niby mam. Ale co się stresu najadłam, to moje.
— Hmm... — babcia Zosia westchnęła. — Nie wiem, co o tym wszystkim sądzić. O jej wyjeździe...
— Ja też nie. Spotkałam ją w sklepie. Mówiła, że wyjeżdża do rodziny.
— Może ta Amelia to jej siostra albo ktoś bliski...
— Może.

Miśka podeszła do Artura, który stał oparty o ścianę domu i palił papierosa. Kłębuszki dymu ulatywały wysoko. Mężczyzna był zamyślony, lekko strapiony.

— Myślałam, że nie palisz — odezwała się.
— Bo nie palę. Popalam. — Uśmiechnął się.
— O czym myślisz?
— O nas... O tym, co powinienem zrobić. O dzieciach.
— Nie będę ci mówiła, co powinieneś zrobić, a czego nie, ale ja na twoim miejscu spędziłabym święta z dziećmi.
— A ty?

Miśka uśmiechnęła się.
— Szczerze, to chciałabym cię tu zatrzymać, ale jakoś sobie poradzę.
— Moje dzieci są przyzwyczajone do mojej nieobecności.
— To nie znaczy, że ciebie nie potrzebują. Jestem już dorosła, ale uwierz mi, dałabym wszystko, żeby spędzić święta z rodzicami. Więc jedź. Jedź na te święta do tych, których kochasz.

— Zależy mi na tobie — Artur odwrócił Miśkę w swoją stronę. Wyrzucił papierosa, objął jej twarz swoimi dłońmi i pocałował.

Dziewczyna skrzywiła się.
— Nie powiem, żeby ten pocałunek jakoś wyjątkowo mi smakował.
Zaczęli się śmiać.
— Chciałbym ci obiecać, że wrócę... — Artur zamyślił się. Był wewnętrznie rozdarty. Tam, we Wrocławiu, miał dzieci, pracę, całe swoje życie. A tutaj? Tutaj wspinała dziewczynę, w której zadurzył się jak szczeniak.
— Wrócisz tu do mnie, jak będziesz gotowy. Ja poczekam, kochany, poczekam.

— Dlaczego?
— Bo cię kocham.

Miśka weszła do domu. Artur jeszcze chwilę stał na zewnątrz i patrzył w niebo, wydmuchując z ust obłoczki pary.

Dziewczyna nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. W sercu poczuła ból.
— Cholera! — zaklęła pod nosem.
I po chwili usłyszała cichy głos, jakby ktoś szeptał jej do ucha: „miłość,

miłość, miłość”.

Rozejrzała się. Pokręciła głową. I nagle jej wzrok padł na grzbiet książki. Podeszła do półki: *Ptaki ciernistych krzewów* Coleen McCullough. To była ulubiona książka jej mamy. Miśka też przeczytała ją już kilka razy.

Pewna legenda opowiada o ptaku, który śpiewa jedynie raz w życiu, piękniej niż jakiegokolwiek stworzenie na ziemi. Z chwilą, gdy opuści rodzinne gniazdo, zaczyna szukać ciernistego krzewu i nie spocznie, póki go nie znajdzie. A wtedy, wyśpiewując pośród okrutnych gałęzi, nadziewa się na najdłuższy i najostrzejszy cierni. Umierając, wznosi się ponad swój ból, żeby prześcignąć w radosnym trelu słowika i skowronka. Jedna... najpiękniejsza pieśń... za cenę życia!

Cały świat wtedy zamiera, aby go wysłuchać, uśmiecha się nawet Bóg w niebie...

Bo to, co najlepsze, jest zawsze okupione ogromnym cierpieniem.

— Wiesz, Misia, są takie miłości, które nie powinny się wydarzyć... A może wszystko, co nam się przydarza, ma swój sens? Nawet taka miłość, która musi przeskakiwać co rusz jakieś przeszkody? Może właśnie taka, która dużo doświadczyła, jest prawdziwa? Powiem ci z własnego doświadczenia, że każda miłość musi swoje przejść. A może tylko te chwile w miłości, które wnoszą nas do nieba, są warte późniejszego cierpienia? — wyznała kiedyś Ilona córce.

Rozdział 35

Dwudziestego czwartego grudnia Miśka wstała po szóstej. Chciała ze wszystkim wyrobić się na czas. Babcia odłożyła dla niej trzy ciasta, które dziewczyna postawiła na górnej półce w spiżarni, żeby przypadkiem Bartek się do nich nie dorwał. W pojemniku leżały pierniczki. W lodówce stały też babcine pierogi, kapusta z grochem, bigos i uszka. Dziewczyna postanowiła, że dorobi jeszcze dwie sałatki i śledzika w śmietanie. Za oknem było ciemno. Padał drobniutki śnieżek. Latarnie rzucały ciepłe światło przez szpary w roletach. Miśce wydawało się, że ktoś pukał. Nie, to chyba nie to. Zaczęła kroić ogórka i znów to usłyszała. Nieśmiałe pukanie, jakby ktoś nie był pewien, czy zapukał do dobrych drzwi. Kobieta wytarła ręce w fartuch i podeszła do drzwi. Otworzyła je i... w jednej chwili jej oczy się zaszklily, a serce zaczęło bić jak oszalałe.

— Tata... — powiedziała to raczej do siebie niż do niego.

Przeszli do pokoju kominkowego. Zapadła krępująca cisza.

— No i? — zapytała ojca Michalina.

— Wróciłem.

— Na kilka dni?

— Nie. — Pokręcił głową. — Tym razem na dłużej.

— Trudno mi w to uwierzyć.

— Wiem, ale... — Ojciec wyciągnął w stronę Miśki rękę, ale ona odskoczyła od niego jak oparzona.

— Dlaczego przyjechałeś?

Wzruszył ramionami.

— Jestem waszym ojcem.

— Jakoś do tej pory nie poczuwałeś się do roli ojca.

— Miśka... — Mężczyzna potarł dłońmi skronie. — Nie byłem dobrym tatą.

— No nie.

— Nie ułatwiasz mi.

Michalina spojrzała na niego z wyrzutem.

— A czego oczekiwałeś? Fanfar? Czerwonego dywanu? To nie chodzi tylko o mnie, jest jeszcze Bartek. On ciebie nie zna.

— Wiem. Dopiero niedawno zrozumiałem, jak bardzo was skrzywdziłem.

— Ciekawe.

— Świetnie dalsie sobie radę. — Mężczyzna rozejrzał się po pokoju.

— Jakoś przeżyliśmy...

— Przeżyliście... Otworzyłaś pensjonat?

— Wynajmuję pokoje dla gości.

— Ach... — Westchnął.

— Wybrałaś sobie specjalnie taki dzień na pojednanie? Wigilię Bożego Narodzenia? — Miśka nie mogła się opanować, by nie wbić mu szpili.

Ojciec podniósł wzrok na córkę. Nie był w stanie wydusić słowa, rozplakał się. Płakał jak małe dziecko.

Miśka wyszła z pokoju, by po chwili wrócić z rolką papierowych ręczników.

— Wytrzymaj twarz.

Tato otarł oczy i policzki.

— Tak. Masz rację. Liczyłem na pojednanie. — Głos mu się łamał.

Miśka ciężko westchnęła. Poczowała rezygnację.

— Nie liczę, że mi wybaczysz — kontynuował. — Po prostu chciałbym... żeby teraz było inaczej. Lepiej. Chcę na nowo uczestniczyć w waszym życiu.

Miśka spojrzała w twarz ojca, rozpaczliwie pragnąc mu uwierzyć. Dać drugą szansę, jednocześnie nie narażając Bartka na kolejne rozczarowanie.

— Tato, dlaczego nas opuściłeś?

— Bo nie pasowałem tutaj.

— A ja? A Bartek? Co o nas myślisz?

— Wy...

— Myślisz, że ludzie nie gadali? Z czasem się przyzwyczaili, ale wcześniej?

Miśka złapała za rękę ojca i pociągnęła go w stronę lustra, które stało w przedpokoju. Spojrzeli w odbicie. Byli do siebie tacy podobni! Takie same ciemne włosy. Miśki były skręcone w sprężynki tak mocno, że trudno je było rozczesać. Ojciec był ostrzyżony na krótko, ale strukturę włosów miał podobną. Oczy oboje mieli brązowe, niemal czarne. Nosy dość szerokie. Miśka nieco węższy. I skóra: jego czarna, jej śniada, jak kawa z mlekiem. Bartuś miał jeszcze jaśniejszą od Miśki.

— Mieszkałem kilka lat w Polsce, a potem uciekłem do Anglii. Myślałem, że tam nie będzie wyzwisk, rasizmu. Bardzo się myliłem. Źli ludzie, podobnie jak i dobrzy, są wszędzie. — Ojciec Michaliny i Bartka, Neo, był Nigeryjczykiem. — Szwendalem się po świecie. Trudno mi było zagrzać gdzieś miejsce. Wszędzie czegoś mi brakowało. Teraz zrozumiałem, że chodziło o was...

— Teraz już o nas nie plotkują. W ogóle nie było tak źle. W Złotkowie mieszkają dobrzy ludzie. Plotkują, ale nie chcą nikomu wyrządzić krzywdy. Ja przetała Bartkowi szlaki. Nieraz dzieci krzyczały za mną: „czarna”, „dziwak”, „afro”. Było mi przykro... Płakałam u babci na kolanach. To dziadek gonił łobuzów. Jednemu nawet spuścił manto. Czasem słyszałam, że mama mogła sobie znaleźć „normalnego” chłopca, toby jej nie opuścił, a ona szukała przygód. Bolało.

Bolało jak cholera. Babcia zawsze powtarzała mi, że jestem piękna, wyjątkowa. Że oni mówią tak z zazdrości. Większość mojego dzieciństwa była piękna. I te chwile, kiedy byłeś z nami... One były wyjątkowe. Ale miałam też w moim życiu takie momenty, kiedy myślałam: „Ja tutaj nie pasuję, to nie jest mój świat. Jestem inna”. Inna to znaczy, że gorsza? Tutaj, w Złotkowie, ludzie mnie tolerowali, ale nie mogłam czasami poradzić sobie ze spojrzeniami innych ludzi spoza miasteczka. Jakbym była jakimś ufoludkiem. Kiedyś sama złapałam się na tym, że gapię się na kaleką osobę. Wstydziałam się za siebie, bo przecież sama doskonale znałam takie natarczywe spojrzenia. Kiedy mama jeszcze żyła, zawsze obracała to w żart. Powtarzała, że jestem Polką, tylko trochę bardziej opaloną. A ja jej wierzyłam. I nie było mi już tak smutno. Urodziłam się tutaj, tutaj jest mój dom... A te wyzwiska: „małpa”, „asfalt”... były po prostu słabe. Mama zawsze dbała o to, żebym nie dorastała w poczuciu niższości. Żebym wiedziała, że jestem wspaniałą dziewczyną. Teraz jest trochę inaczej. Czasy się zmieniły. Nikt nie patrzy na Bartusia z pogardą. Jeszcze kilkanaście lat temu byłam dziwołagiem. Pamiętam jeden incydent. — Miśka uśmiechnęła się. — Szłam deptakiem w stronę centrum miasteczka. Tam, na skraju lasu, stoi kapliczka z figurką Matki Boskiej. Chciałam położyć przy niej kwiaty, które zerwałam na łące. Akurat przy figurce stała starsza pani, chyba przyjezdna, bo do tej pory jej nie widziałam. Kiedy kładłam bukiet, ona odwróciła się w moją stronę. Żebyś widział przerażenie w jej oczach. „Najświętsza panienko! — Zaczęła się żegnać. — Diablica”. I puściła się pędem w stronę miasteczka. Ale to były sporadyczne przypadki. I teraz jestem silna. A wiesz, co mnie najbardziej bolało? Wiedziałaś, że gdzieś tam jesteś. Żyjesz sobie, wstajesz, uśmiechasz się, jesz obiad, popijasz kawę. Może kogoś przytulasz. A gdzieś tam, z dala od ciebie, były twoje dzieci. Dzieci, które chciałyby, żebyś z nimi zjadł śniadanie, żebyś je przytulił, żebyś z nimi porozmawiał. Większość dzieci w Złotkowie miało mamę i tatę, tylko mój tata nie mieszkał z nami na stałe. Pojawiał się i znikał. I to też wydawało się wszystkim dziwne. Nie to, żeby oni mieli takie szczęśliwe rodziny, ale wszystko, co nie wpisuje się w jakiś schemat, jest dla ludzi dziwne. I o tym gadają. Taka już jest ta nasza natura. Bartuś nieraz zastanawiał się, jaki jest jego tatuś. Gdzie teraz jest. Wymyślił sobie nawet historię, że jesteś tajnym agentem, który pracuje w wywiadzie i jeździ po świecie. Pomaga ludzkości i dlatego nie przyjeżdża do Złotkowa, by odwiedzić swoje dzieci. I Bartuś jakoś to sobie wytłumaczył. Tak było mu łatwiej. Kochałeś nas?

— Tak, bardzo was kocham. I twoją mamę. Pamiętam nasze pierwsze spotkanie. Byłem studentem ostatniego roku. Sam nie wiem, czemu zdecydowałem się studiować w Polsce. Choć nie, wiem... — Zaśmiał się. — Ktoś mi powiedział, że tutaj są najpiękniejsze dziewczyny na świecie. To prawda. Przyjechaliśmy na praktyki do Złotkowa. Badaliśmy glebę. I wtedy poznałem twoją mamę. Zaparło mi dech w piersiach. Młoda, piękna blondynka z włosami do pasa. Ale nie to było

w niej najpiękniejsze. Najpiękniejszy był jej uśmiech. Skończyłem studia i przyjechałem do Złotkowa. Zakochaliśmy się w sobie. A potem na świecie pojawiła się ty. Ludzie gadali, patrzyli się na mnie jak na odmienca. Nie mogłem znaleźć pracy. Wyjechałem najpierw do Warszawy, a was odwiedzałem w weekendy. Potem wyjeżdżałem do Anglii, gdzie mieszka moja rodzina, potem wracałem, bo tęskniłem, znów wyjeżdżałem. Zwiedziłem kilka krajów. Raz pracowałem, raz nie. Czasami było mi ciężko. Kiedy tutaj wracałem, nie byłem akceptowany. Ludzie gadali...

— A pomyślałeś, co czuła mama? Z niej się śmiano i rzucano za jej plecami obelgi: „Bo wzięła sobie Murzyna. To co? Nie wiedziała, że tacy zawsze opuszczają?”. Były też bardziej złośliwe i dotkliwe komentarze. Na temat twojego przyrodzenia. I tak dalej... I tak dalej... Pomyślałeś o mamie? Czy tylko o sobie?

— Kobietom jest trochę łatwiej.

— Chyba żartujesz! Zostawiłeś mamę najpierw z jednym, a potem z dwójką dzieci. A potem mnie samą... I myślisz, że było łatwo? Jak mogłeś?

— Przepraszam, Misia. Przepraszam.

— Wiesz, co mnie najbardziej wkurzało? Twoja nieprzewidywalność. Gdybyś odszedł raz na zawsze... zapomniałabym o tobie. A tak zawsze miałam nadzieję, że przyjedziesz do nas. Pamiętam jedne święta, dwa lata po tym, jak opuściłeś mnie i mamę i wyjechałeś do Anglii. Siedziałam na drewnianym taborecie przy stole i zamiast wypatrywać pierwszej gwiazdki, wypatrywałam ciebie. Dwa dni wcześniej zadzwoniłeś do mamy i powiedziałeś, że przyjedziesz na Wigilię. I czekałyśmy. Zjawiłeś się po dwudziestej pierwszej. Nie wiedziałeś, że będziemy czekać? Chciałeś mieć wielkie wejście? Nie wiedziałeś, że małe dzieci o dwudziestej pierwszej chodzą już spać? Kiedy zobaczyłam, jak wyłaniasz się zza rogu, byłam szczęśliwa. Przyniosłeś worek prezentów. Co tam prezenty, myślałam, ważne, że byłeś. Zasiadliśmy do wieczerzy. Mama z babcią płakały, a ja nie mogłam się od ciebie odkleić. Tyle nam naobiecowałeś. I co? Przed sylwestrem wyjechałeś. Zarabiać pieniądze... Powłóczyć się po świecie. Jak można robić takie rzeczy swojemu dziecku? Swojej żonie? I kolejne święta, te po śmierci mamy. Ja zrozpaczona, Bartuś malutki i ty. Tyle obiecywałeś. Wyszedłeś z domu pod jakimś pretekstem. Czułam, że już nie wrócisz, ale bałam się cokolwiek o tym wspomnieć. Chciałam cię błagać, ale nie zrobiłam tego.

— Bałem się... — Spojrzał na córkę.

Po jej policzkach płynęły łzy.

— A ja? Ja się nie bałam?

— Byłaś silniejsza ode mnie.

— Musiałam być. Musiałam.

— Babcia...

— Tak, babcia nam wiele pomogła. Jest kochana. Ale to babcia. A ty jesteś

naszym tatą. Ty! Nie ma dla ciebie wytłumaczenia! Rozumiesz?

— Wiem... A Bartek?

Miśka przełknęła ślinę.

— Co: Bartek? On śpi... Chcesz mu zafundować to co mnie? Emocjonalny roller coaster?

— Chciałbym go zobaczyć.

— Nie mogę ci tego zabronić.

W tej samej chwili w progu stanął chłopiec. Miał bose stópki i zaspany wzrok. Neo odwrócił się w jego stronę.

Bartek znał tatę ze zdjęć. I tata wyglądał dokładnie tak, jak go sobie chłopiec wyobrażał. Podszedł do ojca. Czasami, kiedy myślał o swoim tacie, kochał go nad życie. Innym razem nienawidził. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, w dziecięcym sercu stopniały lody. Kawalek po kawałku, kruszyły się i wpadały do wielkiej wody zapomnienia.

— Chcesz ciastko? — odezwał się Bartek.

Właściwie nie wiedział, co ma powiedzieć.

— Ciastko?

— Babcia piecze dobre ciastka.

— Z przyjemnością.

Chłopiec podszedł do stołu i wziął talerzyk z łakociami.

Ojciec wyciągnął rękę. Wziął jedno ciastko, potem drugie. Zniknęły w jego ustach w błyskawicznym tempie.

— Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają — powiedział ni to do siebie, ni to do Bartka.

— A inne tak — wtrąciła się Miśka.

— Na ile zostaniesz? — Neo wyczuł zwątpienie w głosie chłopca.

— Na razie nigdzie się nie wybieram.

— Na razie...

— Nie rób mu nadziei. — Miśka stanęła za plecami Bartka. — Mówiłeś tak już kilka razy.

— Teraz będzie inaczej. Przymierzam.

Uklęknął przy synu.

— Chciałbym cię lepiej poznać. — Wyciągnął w kierunku chłopca rękę i położył dłoń na jego szczupłym ramieniu.

— Też tego chcę. — Bartek nie spuszczał oczu ze swojego taty.

Miśka w tym czasie uchyliła okno. Nikt tego nie zauważył, ale wraz z podmuchem wiatru do pokoju wleciało białe piórko; zawirowało w powietrzu i osiadło na gałęziach choinki.

Neo usiadł na łóżku. Chciał wynająć pokój w hotelu, ale córka oznajmiła mu

stanowczo, „żeby się nie wygłupiał i został w domu”. Zamknął oczy. Ogromnie pożałował tego, jak potraktował swoją rodzinę. Ilona tak go kochała. A jego dzieci? Piękne, mądre. Dobre. A on? Człowiek, który je opuścił. Na chwilę wrócił wspomnieniami do czasu, kiedy poznał Ilonę. Co to była za dziewczyna! Wulkan energii. Roześmiana. Wariatka. Kochana. I piękna. Kiedy się kochali, jej jasne, porcelanowe ciało stanowiło przepiękny kontrast dla jego ciemnej skóry. Nieraz pytała go: „Co twoi rodzice powiedzą na to, że związałeś się z białą kobietą?”. „Jeśli urodzisz mi kilkanaścioro dzieci i zamieszkas w lepiance, to będą zadowoleni” — żartował. A ona chichotała wtedy tak, że po policzkach spływały jej łzy. Ilona nigdy nie poznała rodziców Neo. Na ślub nie przyjechali, a potem zmarli. Najpierw tata, a wkrótce po nim mama.

Ilona, jej rodzice i Miśka od tamtej pory byli dla niego rodziną. Pamiętał, jak teść uczył go codziennie polskiego, teściowa podsuwała pod nos wypieki, a Ilona z Miśką kochały go i ufały mu, a on... On je zawiódł. Ale teraz wrócił tu, by wszystko naprawić. A może znów przed czymś ucieka? Bo przecież tam... Tam, skąd wrócił, też zostawił swoje życie.

To dziwne, ale od jakiegoś czasu jakby słyszał w sercu jakiś głos, który mówił: „Jedź do nich. Do dzieci”. Kiedy próbował go zagłuszyć, głos krzyczał: „Idą święta, masz dzieci. Jedź do nich!”. Jakaś siła pchała go do Polski.

Rozdział 36

Wiktoria Skarzyńska umówiła się o jedenastej z Mariuszem, synową i wnuczką w „Cynamonowych Sercach”. Mieli wypić kawę i zjeść ciastko. Żeby nie zapomnieć, Wiktoria zanotowała informację na kartce, choć czuła, że o tym spotkaniu akurat będzie pamiętać. Poprzedniego wieczoru do Złotkowa przyjechał syn z wnuczką; wynajęli ostatni pokój w hotelu w Sadowej, bo tylko tam były wolne miejsca. „To ciekawe, że ludzie wolą spędzać święta w hotelach niż w domu” — pomyślała Wiktoria.

Do kawiarni przysła już o dziesiątej. Pomyliła godziny? Zapomniała? A może chciała być pierwsza? Kiedy popijała kawę, drzwi się otworzyły i do środka wbiegła Kasia, a za nią weszli Joanna i Mariusz.

— Babciu! Babciu! — Dziewczynka rzuciła się babci na szyję.

— Kochanie! — Wiktoria rozpostarła szeroko ramiona i przytuliła wnuczkę.

— Cześć, mamó! — Mariusz spojrział z czułością na Wiktorię.

— Cześć, cześć...

W jednej chwili Wiktoria wszystko zrozumiała. Zrozumiała, że syn nawet na chwilę nie przestał jej kochać. Coś zaczęło jej świtać. Jak to możliwe, że zaczęła przypominać sobie ich odwiedziny? Kiedy syn przyjeżdżał do niej zmęczony po pracy, kiedy synowa gotowała obiad, kiedy wnuczka czesała jej włosy, oznajmiając babci, że zostanie fryzjerką.

Zamówili Półmisek Łasucha. Jedli, śmiali się.

— Rozmawiałam z Miśką. Powiedziała, że jesteście mile widziani na kolacji wigilijnej.

— Też z nią o tym rozmawiałem.

— Kiedy?

— Kiedy cię tutaj przywiozłem.

— Dlaczego?

— Dlaczego? Co za pytanie? Bo cię kochamy, mamó. Bo cię kochamy — powtórzył Mariusz z naciskiem. — Bo chcemy, byś zapamiętała te święta. Chociaż te...

Wiktoria położyła jedną dłoń na dłoni syna, drugą na ręce synowej.

— Myślałam, że nie chcecie ze mną spędzać czasu...

— O czym ty mówisz? Przecież proponowaliśmy, że zabierzemy cię na Wigilię do siebie, ale odmówiłaś.

— Ja?

— Mamusiu, mamuniu, to nieważne. Ważne, że teraz jesteśmy tu wszyscy razem.

Lena postanowiła zadzwonić do siostry. Chciała złożyć jej życzenia i dowiedzieć się, jak się miewa Malwinka. Ale numer był zajęty. Spróbowała jeszcze raz — to samo. Rozłączyła się i w tej samej chwili rozbrzmiał dzwonek komórki.

— A ty co? — zapytała Dorotę.

— Co: co?

— Masz zajęte.

— Nie, to ty masz zajęte.

— Bo dzwonię do ciebie.

— To ja do ciebie dzwonię.

Parsknęły śmiechem.

— Chciałaś jak zwykle być pierwsza.

— Nie. Chciałam ci powiedzieć, że Malwinka wyszła ze szpitala.

— Naprawdę? — Lena uśmiechnęła się szeroko.

— Tak. Wyszła. — powtórzyła Dorota.

— Jak to wyszła?

— No na pewno nie na własnych nogach, tylko rodzice ją wynieśli.

— Ale jesteś dowcipna. To cudownie, naprawdę cudownie.

— Wiem. Kochana, a u was w porządku?

— Tak. To miejsce jest magiczne.

— Kaja też zadowolona?

— Ona to chyba najbardziej.

— A ty?

— Też. Jeszcze nie jestem gotowa na nowy związek, nową miłość, ale już częściej się uśmiecham i układam sobie pomału życie.

— To dobrze. Zatem zdrowych, wesołych świąt, siostrzyczko.

— I wam również. Wszystkiego, co najpiękniejsze!

Miśka uśmiechała się na myśl o dzisiejszym wieczorze. Będzie inaczej niż dotychczas, chociaż pewne rzeczy pozostaną takie same. Tego dnia zamiast obiadu zjedzą jakąś kanapkę w locie, aby zaspokoić największy głód, bo przecież wieczorem odbędzie się uroczysta kolacja. Kiedy mama żyła, to właśnie w Wigilię ubierali choinkę. Miśka zmieniła ten zwyczaj. Ona chciała, by już dwa, czasami trzy tygodnie przed świętami w ich domu stało drzewko. Chciała czuć świąteczny nastrój jak najdłużej. Mama z babcią zawsze spierały się o choinkę. Babcia chciała sztuczne drzewko, żeby igieł nie gubiło. A mama prawdziwe, bo ładnie pachniało. Babcia upierała się, że te „kupne” choinki wcale nie pachną lasem. Ostatecznie razem szły uśmiechnięte na targ. I tam się spierały od nowa. A bo ta jodła, co

wybrała mama, za bardzo rozłożysta, a ta, co się babci podoba, za wysoka i jakoś za mało ma gałązek, kto by takiego drąga kupował. W końcu jednak dochodziły do porozumienia. Szły do lasu i same wycinały drzewko. A potem, w domu, mama myła okna, a babcia prasowała firanki, wcześniej wstawiwszy do piekarnika ciasto. I pachniało w domu świeżością, i ciastem. Świętami. Po prostu pachniało świętami.

Każdy z nas ma wspomnienie z dzieciństwa: mamy myjącej okna i krzyczącej, żebyś wyszła z pokoju, bo się przeziębisz. Taty, który trzepie dywany. Tych drobnych sprzeczek, zapachów jedzenia i zakazu jedzenia czegokolwiek przed Wigilią. Każdy z nas patrzył w okno i czekał na pierwszą gwiazdkę. Każdy z nas opychał się mandarynkami do momentu, aż czuł, że za chwilę pęknie. To są piękne wspomnienia.

*

Przy stole do kolacji wigilijnej zasiedli: Miśka i Bartek, babcia Zosia, Lena z Kają, Wiktoria Skarżyńska z synem, synową i wnuczką, i Neo, tata Michaliny i Bartka.

Stół został nakryty śnieżnobiałym, wykrochmalonym obrusem. Pod obrusem leżało sianko. Na środku stołu stał stroik, obok leżał talerzyk, a na nim opłatki. Resztę stołu zajmowały postne potrawy. W domu unosił się zapach makowca, wanilii i cynamonu, a także goździków.

— Pachnie świętami! — orzekły dzieci.

Przy stole panował gwar. Wszyscy uśmiechali się do siebie, rozmawiali. Było wesoło, świątecznie, wręcz rodzinnie.

O dwudziestej pierwszej ktoś zapukał do drzwi. Miśka uśmiechnęła się pod nosem; poderwała się na równe nogi i wybiegła do przedpokoju. Kiedy otworzyła drzwi, o mało nie parsknęła śmiechem. W progu stał Mikołaj, którego popychały do przodu Nastka i ciocia Bożenka przebrana za? No właśnie, za kogo? Wyglądała tak, jakby wyszła prosto z zebrania kółka gospodyń wiejskich. Miała na sobie ludowy strój, policzki wymalowane na czerwono i czerwoną czapkę z pomponem nasuniętą na oczy.

— Witaj, Mikołaju! — powiedziała głośno Michalina. Chciała, by wszyscy dobrze ją usłyszeli.

— Ho! Ho! — zabrzmiał głos Mikołaja.

Dzieci przybiegły natychmiast. Kasia i Kaja miały szeroko otwarte oczy. Co ciekawe, Bartek nie rozpoznał w Mikołaju wujka Mirka.

— Czy jesteś prawdziwym Świętym Mikołajem? — zapytała Kasia.

— Najprawdziwszym.

— Nie wierzę. — Kaja pokręciła głową.

— Jak mam ci to udowodnić? — rozległ się tubalny głos Mikołaja.

— Broda! — Dziewczynka wskazała palcem na długą brodę wujka.

— Co: broda?!

— Czy jest prawdziwa?

— Najprawdziwsza z prawdziwych.

— Mogę dotknąć?

— Pewnie.

Kaja z Kasią podeszły niepewnie. Starsza dziewczynka pociągnęła za brodę.

— Prawdziwa.

Kasia również dotknęła Mikołajowej brody.

— Najprawdziwsza. Długa i srebrna.

— Strzyc i czesać brodę pomagają mi elfy.

— A twoje włosy?

Wujek nosił półdługie włosy, które układały mu się w lekkie fale. Ciocia Bożenka nieraz mu mówiła, żeby je przyciął, ale on nie zwracał na to uwagi. Nosił taką fryzurę od połowy lat siedemdziesiątych.

— Włosy też są moje. Dlaczego w to wątpisz?

— Nie wątpię.

— Elfy. A ile ich jest? — Dzieci sypały pytaniami jak z rękawa.

— Ano tyle, ile gwiazd świecących nocą na niebie. Elfy pracują od pierwszego stycznia do Wigilii. A pomiędzy Wigilią a Nowym Rokiem mają wakacje. Odpoczynek jest krótki, ale elfy bardzo lubią swoją pracę. I nic dziwnego, w końcu dzięki ich zaangażowaniu ludzie się uśmiechają. Pomaga mi także pani Mikołajowa, która bardzo dużo czasu spędza w warsztacie na Śnieżnym Wzgórzu. Na specjalnym monitorze odczytuje wiadomości od dzieci. Poza tym dba o elfy i codziennie piecze dla nich ciasteczka.

— Jakie to są ciasteczka?

— Cynamonowe serca.

— Takie, jakie piecze babcia Zosia? — zapytał Bartek.

— Babci Zosi nikt nie dorówna, ale nasze też są dobre. Mam dla was prezenty. — Wujek Mirek zdjął z ramienia worek.

— Mikołaju, czekaj, czekaj — odezwała się Kaja. — A sanie?

Miśka struchlała. O cholera! Że też dzieciaki muszą być takie dociekliwe.

— Są i sanie.

— Co? — odezwała się Michalina.

Podeszli do okna. Na ulicy stały najprawdziwsze sanie zaprzęgnięte w dwa konie, którym ktoś nałożył na łby opaski z reniferowymi rogami.

— Jesteś prawdziwy! — Kaja podbiegła do Mikołaja i objęła go w pasie.

— Jak mówiłem, przyniosłem dla was prezenty. Macie jakieś życzenia?

— A spełnisz każde nasze marzenie?

— Postaram się... Chociaż nie obiecuję.

— Ja bym chciała, żeby mama się częściej uśmiechała — rzuciła Kaja.

Lena poczuła ogromne wzruszenie. Mikołaj pstryknął palcami. Lena uśmiechnęła się.

— Od teraz będzie lepiej.

— A ja — wtrącił się Bartek — chciałbym, by tatuś z nami został.

— Neo? — Mikołaj spojrział w czarne oczy szwagra.

— Zostanę.

— A ty? — Mikołaj zwrócił się do Kasi.

— Chciałabym, by babcia z nami zamieszkała.

— Naprawdę? — Wiktoria Skarżyńska już dawno nie czuła w swoim sercu takiego trzepotu skrzydeł.

— Och, ależ mi się dzieci trafiły. — Mikołaj uśmiechnął się. — I to wszystko? Niczego więcej nie potrzebujecie?

— To, co najważniejsze, już mamy. — Bartek podszedł do taty. Miśka spojrzała na nich. Byli tacy podobni do siebie.

I nagle świat się dla Miśki zatrzymał. Ojciec posłał jej wątyły uśmiech. Był wyraźnie speszony. Jej złość jeszcze nie minęła. I dziewczyna chciała krzyknąć do niego: „Wyjdz! Wyjdz i nie wracaj”. Ale w jednej chwili powróciły wspomnienia. Przedzierając się między szczelinami muru, które zbudowała przez te wszystkie lata, Miśka przypominała sobie wszystkie dobre chwile z tatą. Bez wątpienia, kiedy z nimi był, kochał ją. Te chwile były dla niej bardzo ważne. Czasami w sobotę i niedzielę jechali na wycieczkę. We trójkę. Czasami kilka kilometrów stąd, czasami nawet trzysta czy czterysta. „Podróże... Dzięki nim inaczej odbierasz świat” — mówił tata. Miśka nie rozumiała wtedy słów ojca, ale podobały jej się te wspólne wypady. Tatę zawsze ciągnęło gdzieś dalej. Kupował jej lody z maszyny i wate cukrową. I huštał na huštawce do samych chmur. I niósł ją na barana, kiedy nie mogła wejść na górę. I mówił do niej: „Moja księżniczko”, i wręczał jej po kryjomu czekoladkę, żeby przypadkiem mama nie zobaczyła, że dziewczynka je słodczy przed obiadem. A kiedy płakała, bo w szkole rudy Sebastian naśmiewał się z jej rosnących piersi, tata się na niego zaczął pod szkołą i powiedział kila słów do słuchu. I ich nocne rozmowy o kosmitach i gwiazdach.

I w jednej chwili to wszystko wróciło. Wróciło do niej to, co dobre. Miśka wzięła głęboki oddech, jej oczy zaszyły łzami. Ileż to razy wyobrażała sobie powrót ojca do domu? Ileż razy wyobrażała sobie, że będą na nowo rodziną?

— Tatusiu — szepnęła.

To słowo zawierało w sobie tyle cierpienia i bólu, a zarazem tyle miłości.

— Tatusiu — powtórzyła z czułością.

— Jak wygląda Wigilia w Laponii? — Dzieciaki nie dawały Mikołajowi spokoju.

— Miśka, latem kosisz mój trawnik, co drugą sobotę — szepnął siostrzenicy do ucha wujek Mirek.

Miśka zachichotała.

— Moja Wigilia wiadomo, jaka jest: w podróży — zwrócił się do najmłodszych. — W Finlandii, podobnie jak w Polsce, również mamy tradycje świąteczne. Około szóstej rano rozpoczyna się msza ku czci narodzin Chrystusa. W kościołach przy każdej ławce płoną świece. Tradycyjnym fińskim napojem świątecznym jest grog, napój z czerwonego wina z ziołami, rodzynkami i migdałami. W Wigilię w Finlandii nie ma postu. Daniem serwowanym na świątecznym stole jest pieczone prosię. W południe Finowie jedzą ryż na mleku z cynamonem i cukrem. Do potrawy wrzuca się migdał. Ten, kto go znajdzie na talerzu, będzie miał szczęście w nowym roku. Choinkę do domu przynosi się w Wigilię rano, najczęściej ubiera ją tata z dziećmi, bo mama przyrządza wtedy w kuchni świąteczne dania. W moim domu dekoracja choinki to robota dla elfów. Po południu, około szesnastej, rozpoczyna się kolacja wigilijna. Ale zanim zasiądzie się do stołu, idzie się do sauny. W Polsce o północy jest pasterka, a w Finlandii do kościoła chodzi się rano w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, na piątą. U nas w Wigilię jemy też pieczoną szynkę i śledzie z ziołami.

Dzieci słuchały Mikołaja, otwierając szeroko oczy.

— Skąd wujek o tym wszystkim wie? — Miśka nachyliła się nad uchem kuzynki.

— Przygotował się. Od tygodnia się szkolił, a pomagał mu w tym Google.

— Och, ten wujek.

— Fajnego mam tatę.

— Ja też...

— A karp? — zapytał Bartek.

— Nie jemy karpia.

— Eeee, nie wiecie, co dobre.

Mikołaj zachichotał.

— Ale teraz zjadłbym karpika, zostało coś dla mnie?

— Pewnie, siadaj z nami. I ty też, Mikołajowo.

— A masz dla siebie wolną chwilę, Mikołaju? — zatroszczyła się Kaja.

— W czasie świątecznym nie. Ale kiedy nie ma świąt, to leżę na kanapie i zajadam ciasteczka.

— To widać.

Wszyscy się roześmiali.

Rozdział 37

Warunki na drodze nie były najlepsze. Śnieg walił wielkimi płatami. Wycieraczki pracowały szybko. Artur dotarł pod dom byłej żony grubo po dwudziestej trzeciej. Zanim wysiadł z auta, napisał SMS-a do Miśki: „Dojechałem. Idę na spotkanie z dziećmi”. Odpowiedź przyszła od razu: „To dobrze. Bardzo się cieszę. Uściskaj dzieciaki”.

Artur wysiadł z samochodu. Owiął go zimny podmuch powietrza. Bał się wejść do środka, ale w końcu zapukał do drzwi. Po chwili w progu stanęła Małgosia.

— Jesteś — powiedziała z uśmiechem, jakby to było oczywiste. — Wejdz, bo zimno.

Wszedł do środka.

— Nie śpicie?

— Nie. Pewnie, że nie.

Po chwili na korytarz wybiegły dzieciaki, ośmioletnia Janka i jedenastoletni Jakub.

Chłopiec stanął jak wryty. Na jego twarzy pojawiło się niedowierzanie. Dziewczynka rzuciła się w ramiona taty.

— Tata! Tata! — pisała radośnie.

— Kuba, chodź do nas.

Chłopiec ruszył w kierunku ojca. Podał ojcu rękę. Trzymał się na dystans.

— Jesteśmy już po kolacji, ale dla ciebie zostało mnóstwo jedzenia. Darek usmażył karpia.

Na te słowa na korytarz wszedł Darek. Wyciągnął rękę w stronę Artura.

Artur przywitał się z nim bez entuzjazmu. „To nie ja ci ją zabrałem. To ty ją wypuściłeś ze swoich ramion” — powiedział mu kiedyś Darek. Artur widział to jednak inaczej. A może sam to sobie wmawiał.

Po posiłku Artur poszedł do pokoju dzieci. Najpierw do Janki. Zaczął czytać jej bajkę, ale dziewczynka usnęła w połowie. Przykrył ją i pocałował w czoło. Następnie poszedł do pokoju syna. Ten siedział na łóżku. Czekał na ojca.

— Jestem. — Artur usiadł na krześle na wprost łóżka.

— Widzę — odburknął chłopak.

— I tylko tyle?

Obu było trudno.

— Kiedy byłem dla ciebie ważny, tato? — Kuba zacisnął pięści.

— Zawsze. Zawsze byłeś dla mnie ważny.

— Kiedy? A tak, pamiętam, pojawiałeś się, jak to sam nazwałeś, w odpowiednich chwilach: na zebraniach, przedstawieniach, zawodach, a potem znikaleś. Jak ta, no, kamfora.

— A weekendy? Co drugi weekend spędzamy razem.

— Mówisz o tym czasie, kiedy kupowałeś nas prezentami, a kiedy je odpakowywaliśmy, odpisywałeś na maile albo kreśliłeś coś przy tym swoim biurczku? Nie poświęcałeś nam czasu. A czas jest tym, czego dzieci potrzebują.

— Myślałem, że mama...

— Kochamy mamę, ale chcieliśmy mieć też tatę bez specjalnej okazji.

Artur patrzył na syna z wielkim wzruszeniem. Tak bardzo chciałby naprawić ich relacje.

— Myślisz, że jak przyjechałeś tutaj, to teraz wszystko się zmieni? — Kuba mówił to z taką zawziętością, że Artur trochę się przestraszył. — Liczyłeś, że rzucę ci się w ramiona? Poklepię po plecach i będzie dobrze? — Janka jest mała. Kocha cię bardzo i bardzo to wszystko przeżywa. Ja pewne rzeczy rozumiem. A nie, wróć... Staram się zrozumieć. Rozwiodłeś się z mamą, ale nie z nami.

— Przepraszam. Przepraszam... Nic nie zmienię jednodniowym przyjazdem, ale chcę to naprawić. Poznałem pewną dziewczynę, która... A zresztą nieważne. Wiele do mnie dotarło.

— I co?

— I to, że za kilka lat chcę pić z tobą piwo, z zazdrością patrzeć na te młode dziewczyny, z którymi chodzisz. Na mnie już wtedy żadna młoda, ładna laska nie zwróci uwagi. Chcę z tobą jeździć na ryby i rozmawiać.

— Naprawdę tego chcesz?

— Tak. Chcę.

— W lodówce jest sernik na zimno. Co prawda na jutro, ale mama się nie obrazi, jak się poczęstujemy.

— Uwielbiam sernik na zimno.

— Ja też. Po kimś to mam.

Zakończenie

Ile nosisz w sobie krzywd? Ile jest w tobie niewypowiedzianych żali? Ile niezasklepionych blizn? Może spróbujesz przebaczyć? Porozmawiać? Chwycić słuchawkę telefonu i powiedzieć: „Przyjadę”. Albo przyjechać bez zapowiedzi i powiedzieć: „Jestem. Bo chcę być. Z tobą, z wami”. A może warto przeprosić, przyznać się do błędu?

Zawsze można coś zmienić. Zastanów się trochę nad sobą. Zatrzymaj w pędzie. Wytnij z dziećmi gwiazdki z bibuły... Może otwórz się na miłość? Na drugiego człowieka?

Powiem ci coś. Warto. Zawsze warto...

Czy wierzę w cuda?

Tak, oczywiście! W te małe, codzienne najbardziej. Zwłaszcza kiedy gramy rodzinie w jakąś grę planszową i widzę uśmiechy tych, których kocham, i kiedy mogę usłyszeć: „Mamo, mamusiu!!!”. I wiem, że jest ktoś, dla kogo jestem całym światem. Jestem potrzebna. To przecież cud.

Wierzę w cud dotyku, przytulenia, w magię myśli, które wysyłamy do ludzi, w niebo.

W Boga.

W drugiego człowieka.

W moc słów.

*

Garść życzeń na święta Bożego Narodzenia, które możesz sobie pożyczyć, dowolnie je zmienić, albo możesz je tylko przeczytać lub wypisać na własnoręcznie przygotowanych kartkach.

Życzenia od autorki dla ciebie, kochana Przyjaciółko

Czego mogę ci życzyć na te święta?

Wszystkiego, czego zapragniesz! Bo niby to banał, a jednak w tym życzeniu jest wiele prawdy. Bo fajnie dostać od życia to, czego się pragnie. Ale nie zawsze się udaje. Może to i dobrze, bo od przybytku by nas głowa rozboleła. A może

powinniśmy się bardziej postarać? A może nasze pragnienia nie są tak naprawdę tym, o czym zawsze marzyliśmy?

Życzę ci, byś odnalazła miłość. W sobie. Byś pokochała siebie tak bardzo, jak kochasz swoje dzieci i męża, przyjaciółkę czy mamę. Siebie też warto rozpieszczać. Porozpieszczaj siebie w te święta. Nie musisz stać nad garami i wachlować się chochlą. Idź na spacer, odetchnij mroźnym powietrzem. Zastanów się, co tak naprawdę jest w te święta dla Ciebie ważne. Jeśli nie upieczesz pięciu ciast, świat się nie zawali, a ty nie będziesz musiała się martwić o kolejne centymetry w biodrach. Nie stoisz na końcu kolejki, wyjdź przed szereg — chociaż raz. Pierś do przodu, głowa w chmurach i uśmiech na twarzy.

Życzę ci, żebyś wiedziała, czego chcesz od życia. Pewnie sporo tego, prawda? U mnie też. Mam dużo szczęścia, chociaż czasami wydaje mi się, że taki ze mnie nieszczęśliwiec. Ale to nieprawda. Mam zdrowie, fajną rodzinę, bliskich przyjaciół. Robię ciekawe rzeczy. A niekiedy też mniej ciekawe.

I życzę ci, byś zdobywała szczyty, choć droga pod górę bywa ciężka. I nieważne, ile masz lat, ile przebyłaś dróg, ile razy się potknęłaś. Przed tobą jeszcze tyle szczytów do zdobycia. A z góry widok taki piękny...

Życzę ci spokoju, relaksu, bliskości, ciepła, uśmiechu... skrzypiącego śniegu pod butami... i abyś odnalazła Boga w drugim człowieku. I aniołów, które pożyczą ci trochę piór, byś mogła z nich stworzyć własne skrzydła. Jak pięknie jest latać!

Życzenia dla niej i dla niego

Życzę ci ciepła i słów, które nie ranią.

Poplątanych myśli, emocji, wiadra szczęścia, niezapominajek w zimie.

Piernika z miodem, którego smak przywoła wspomnienie dzieciństwa.

Czułego dotyku i tego, by ktoś powiedział do ciebie: „Dziecinko, będzie dobrze, bo musi być i już”.

Wiary w dziś, w jutro i w to, co przyniesie los.

Życzę ci białych, radosnych, szczęśliwych świąt!

Kilka słów pocieszenia dla tego, który cierpi

Kiedyś przestanie boleć. Na pewno. Może teraz w to nie wierzysz, ale tak będzie.

Zapytasz, skąd to wiem?

Wiem. Też przeżyłam stratę, rozstanie, miałam złamane serce, ktoś powiedział mi zbyt ostre słowo, sama powiedziałam o jedno słowo za dużo. Ktoś odszedł na zawsze, ktoś zapomniał, ktoś się pojawił po niewczasie, bo sobie o mnie przypomniał.

Ktoś nie zadzwonił, a przecież obiecał.

Z pracy mnie wylali, a dzień przedtem szef mnie wkurwił. Jakaś nawiedzona mamuśka naskoczyła na mnie pod szkołą, że moja córka zrobiła to i tamto jej córeczce, a jej córeczka taka grzeczna. To nic, że moja miała nabitego guza. I czasami są dni, że życie potrafi sponiewierać, spuścić manto, wepchnąć w dół, a na dodatek ptak będzie przelatywał akurat nad tym dołem i na ciebie nasra.

Zawiodłam się na bliskiej mi osobie, ale ja też ją kiedyś zraniłam. Może nieумыślnie, a jednak.

I płakałam, bo bolało. Ale przestanie, uwierz mi, zawsze przestaje...

Życzę ci iskierki nadziei na twoim niebie, promyczka szczęścia, wiary, że wszystko jakoś się ułoży...

Życzenia dla Przyjaciela
Mojej przyjaciółce Uli

Wiesz, że jesteś dla mnie ważna? Tak jak ja wiem, że jestem ważna dla ciebie. Nie musisz mi tego udowadniać ani o tym mówić, ja to wiem.

Chciałabym, aby to słońce, które jest w tobie, świeciło mocno każdego dnia. Tak jak świeci dziś. Lubię się ogrzewać w jego promieniach.

Chciałabym też, by nasza przyjaźń nigdzie się nie zagubiła.

Ile to już lat razem?

Dwadzieścia parę. A znamy się... ponad trzydzieści.

Czasami nasza przyjaźń kuląła, miała pozdzierane kolana, złamane serce, strzelała focha.

Innym razem zaśmiewała się do łez.

Pijana też była. Oj, była... Ile to wina razem wypiliśmy, martini, czasem i wódki.

Roztańczona. Poturbowana.

Ale nasza. Ciągle nasza. To ty wiesz, kiedy do mnie zadzwonić, napisać. A kiedy jestem w pisarskim transie, wiesz, że lepiej nie przeszkadzać.

Czasami zastukasz: „Puk, puk. Żyjesz?”.

Jesteś. Wkurzasz mnie czasami i ja wkurzam ciebie.

Uwielbiam twoje ciasto śliwkowe z zakalcelem i sałatkę z łososiem.

Ciebie uwielbiam.

Grzeję się w twoim cieple. Już niedługo się spotkamy. Tam, gdzie zawsze...

Znasz mnie — przyjdę przed czasem, a ty się spóźnisz.

Opieprzę cię, ty się zaśmiejesz i pójdziemy razem na lody, dla mnie karmelowe, dla ciebie malinowe.

Kochana, Najmilsza, Moja — życzę ci w te święta, byśmy przetrwały wszystkie burze i zawieruchy.

Szczęścia ci życzę!
Miłości, leniwych dni, słodkich chwil i czterolistnej koniczynki.
Twoja Gabi

*

Czasami przydałyby nam się takie skrzydła, które moglibyśmy przyczepić sobie do pleców i dzięki nim dolecieć do celu.

Każdy z nas ma takie niewidzialne skrzydła. Zbyt rzadko je zakładamy, bo nie wierzymy w to, że naprawdę potrafimy latać.

Czy dobro do nas wraca?
Jeszcze w to wątpisz?

Oddychasz, budzisz się, jesz smakołyki, oglądasz zaśnieżony świat, smakujesz, wąchasz, delektujesz się. Jest ktoś, dla kogo jesteś całym światem, i ktoś, do kogo możesz zadzwonić w środku nocy. Mało? Wszystko, co dajesz, wraca.

Bóg się dzisiaj narodził. Już tyle lat przychodzi na ten świat, dla ciebie, dla mnie, dla tamtego człowieka, którego nawet nie znam, o którym nie słyszałam... Przychodzi do tych zagubionych, niekochanych i tych, którzy mocno kochają i są kochani.

Dziś anioły latają po niebie i ogłaszają wesołą nowinę. Przestań porównywać się do innych ludzi. Zrzuc z pleców ciężar dopasowywania się do cudzych oczekiwań. Wtedy otworzysz swoje serce na miłość. Przyjmij, że to wcale nie jest takie trudne: że miłość i piękno zagości w Twoim sercu.

Szczęśliwych, kojących, przeżytych w zgodzie ze światem i z sobą samym, pełnych życia i miłości świąt Bożego Narodzenia oraz niesamowitego, niezapomnianego, niepowtarzalnego sylwestra!

Z okazji świąt Bożego Narodzenia życzę ci wiary, miłości, srebrnych gwiazd na niebie, radości w sercu, uśmiechu na ustach, życzę ci chwil spędzonych z najbliższymi, pięknych podarunków od losu, tęczy na niebie, pięknych wspomnień, niezapomnianych wzruszeń. Nie zapomnij o tym, co jest naprawdę ważne w tym dniu... Wesołych świąt!

Podziękowania

Wam, Drogie Czytelniczki i Czytelnicy, dziękuję za recenzje, opinie o moich książkach i wszystkie ciepłe słowa, które od Was otrzymuję. Bez Was nie wydałabym kolejnej książki. Bez Was nie byłabym tu, gdzie teraz jestem.

Dziękuję!

Zapraszam Was do odwiedzenia mojej strony: www.facebook.com/gargasgabriela oraz do dołączenia do grupy na Facebooku: „Fani powieści Gabrieli Gargaś”.

Dziękuję mojej przyjaciółce Uli za pierogi w Krakowie, sałatkę z łososia, za to wypite wspólnie wino, kiedy miałam już wszystkiego dość. Dziękuję za to, że mogę na Ciebie zawsze liczyć. Te trzydzieści parę lat razem, to jest coś ;-)

Dziękuję moim rodzicom za to, że dzięki Wam podążam sobie drogą, którą obrałam.

Dziękuję mojemu kochanemu mężowi i mojej rodzinie za wszystko, co dobre, i za ogromne wsparcie, które od Was otrzymuję.

Dziękuję także:

Sylwii Hibner, mojej przyjaznej duszy na obczyźnie, z którą trwam tu razem wśród „huraganów” i „zawieruch”. Dobrze, że jesteś.

Marionie Stokłosa za każde ciepłe słowo na temat mojego pisarskiego dorobku.

Anecie Pimpis, Eli Durka, Ewie Borkowskiej za cudowne spotkania i rozmowy.

Agnieszce Balcerskiej za promowanie moich książek w sieci i poza nią.

Joasi Wolf za cudowne grafiki i promowanie mojego dorobku literackiego na stronie NIEnaczytana (www.facebook.com/NIEnaczytana/).

Beacie Owczarczyk — za założenie grupy „Fani powieści Gabrieli Gargaś”, za każdy post i doping.

Monice Madejek za przygotowanie kursów hand--made i za ogromne wsparcie. Zapraszam na jej bloga: www.-pokojzkominkiem.blogspot.pl

Dorocie Gronkowskiej, Marcie Szymańskiej, Justynie Rohde, Ewie Sołtysiak i jej kochanej mamci — Pani Danusi, Lidii Szarna, Ani Lidke, Agnieszce Średnickiej, Danusi Żytomirskiej, Joasi Jarosz, Donacie Wiśniewskiej, Ewie Markuszewskiej, Kasi Naworskiej, Renacie Mik, Agnieszce Kowalskiej, Grażynce Cybulskiej, Anicie Idzikowskiej, Kasi Chabło, Grażynce Wardach, Agacie Legun,

Joannie Wierzbickiej, Monice Szydłowskiej, Dorocie Gronkowskiej, Karolinie Ubych, Monice Płatek, Violetcie Laskowskiej, Agnieszce Miśkowiec, Ani Kminikowskiej, Ewelinie Stawsińskiej, Renatce Sokół, Natalii Kapela, Tereni Kłos-Zakrzewicz, Agnieszce Sonenberg, Agnieszce Stępień.

Basi Ossolińskiej — za każdy ciepły komentarz i piękne zdjęcie.

Ewci Równiak — Ty wiesz, za co...

Justynce Bagnerowskiej za cudowne spotkania, które doładują moje akumulatory. Ekipie z wydawnictwa CZWARTA STRONA za wsparcie, które od Was otrzymałam.

Szczególne podziękowania należą się Patrykowi. To dzięki niemu ta książka wygląda tak, jak wygląda. Dziękuję za serce, jakie w nią włożyłeś.

Jeśli kogoś pominęłam, to przepraszam. Dziękuję każdej Czytelniczce i Czytelnikowi z osobna, nawet jeśli nie wymieniłam Was z imienia i nazwiska.

Na koniec chciałabym przekazać Wam życzenia:

Jest taki wyjątkowy wieczór w roku, gdy uśmiechamy się do siebie, gasną spory, znika nienawiść. Wieczór, gdy łamiemy opłatek i zaglądamy w serce drugiego człowieka. To wieczór niepowtarzalny — Wigilia Bożego Narodzenia. To tego wieczoru Bóg rodzi się w człowieku.

Zdrowych, oblepionych śnieżnym puchem świąt Bożego Narodzenia.

Pełnych ciepła, miłości i tej magii, która jest w każdym z nas.

Świąt pachnących grzybami, goździkami, sernikiem.

Świąt, podczas których najważniejszy jest ten drugi człowiek.

Odpoczynku.

Gwiazdki z nieba.

Pięknych przemyśleń nad cudem życia.

Życzliwych Wam ludzi, których spotykacie na swojej drodze.

Odwagi, by walczyć o siebie i swoje marzenia.

Gabriela Gargaś

Zawieszki świąteczne

Zdjęcie 1

Do zrobienia świątecznych zawieszek potrzebne nam będą:

- * masa samoutwardzalna (modelarska, papierowa lub glina),
- * koronki, listki, stempelki, kawałki materiałów z fakturą, naczynia z wypukłym wzorem — nadaje się wszystko, co posiada wypukłą strukturę,
- * biała farba (plakatowa, akrylowa lub emalię — w przypadku dwóch pierwszych będzie potrzebny również lakier),
- * wałek do ciasta,
- * foremki do ciastek,
- * sznureczki lub wstążeczki.

Ponadto: nożyczki, pędzelek, patyczek do robienia dziurek.



Zdjęcie 2

Masę wyrabiamy, rozwałkowujemy na grubość około pół centymetra, układamy wybrane wzory i delikatnie „wwałkowujemy”. W przypadku stempelków lub grawerowanych naczyń przyciskamy formę do masy.



Zdjęcie 3 i 4

Foremkami do ciastek wycinamy serduszka i gwiazdki. Pozostawiamy do utwardzenia na czas zgodny z podanym na opakowaniu.





Zdjęcie 5

Gdy zawieszki będą gotowe, malujemy je z dwóch stron wedle uznania. Aby otrzymać efekt widoczny na zdjęciach, nie można za bardzo rozrzedzać farby i starać się nie wcierać jej w zagłębienia. Jeżeli malujemy emalią z połyskiem, zawieszki są gotowe, natomiast przy farbie plakatowej lub akrylowej po wyschnięciu należy użyć lakieru.



Zdjęcie 6

Czas na zawiązanie sznureczków lub wstążeczek.





Kartka z

choinką

Zdjęcie 1

Do zrobienia świątecznej kartki potrzebne nam będą:

- * papier na bazę o wymiarach 15x21 cm, papier na choinkę oraz na gwiazdkę,
- * różnego rodzaju ozdoby,
- * nożyczki, klej do papieru, linijka, ołówek.



Zdjęcie 2

Papier przeznaczony na bazę kartki składamy na pół. Papier na choinkę tniemy na pięć prostokątów o wymiarach: 9x4,5 cm, 8x4 cm, 7x3,5 cm, 6x3 cm i 5x2,5 cm i składamy je w formę trójkątów. Wycinamy gwiazdkę.



Zdjęcie 3

Trójkąty naklejamy na bazę, zaczynając od najmniejszego trójkąta od góry kartki. Na czubku naklejamy gwiazdkę.



Zdjęcie 4

Kartki z choinką są ozdobne same w sobie. Możemy je zostawić w takim stanie lub przyozdobić wedle fantazji.



Kurs na

anioły

Zdjęcie 1

Do zrobienia aniołów potrzebne nam będą:

- * masa solna (przepis poniżej),
- * farby plakatowe lub akrylowe,
- * lakier bezbarwny,
- * sznureczek lub wstążeczka.

Ponadto: wałek do ciasta, nożyk, pędzelki różnej wielkości, patyczek do zrobienia dziurek.

Masa solna

Mieszamy sól i mąkę pszenną w takich samych proporcjach, biorąc pod uwagę, że nie robimy tego ilościowo (np. kilogram na kilogram), lecz objętościowo (kubek na kubek). Dodajemy systematycznie taką ilość wody, by powstało ciasto.

Zagniatamy, podsypując mąką tak długo, aż masa stanie się jednolita, lśniąca i nie będzie przyklejała się do rąk i powierzchni, a zlepiąca w kulkę nie będzie osiadać.



Zdjęcie 2

Lepimy dwie równej wielkości kulki, kształtujemy je w łezkę, a następnie rozplaszczamy, zlepiając razem — to będą nasze skrzydła. Ozdabiamy je za pomocą nożyka.



Zdjęcie 3

Formujemy nogi i przyklejamy do skrzydełek. Małą łązkę z masy rozplaszczamy i naklejamy, tworząc górę sukienki.



Zdjęcie 4

Nożykiem zaznaczamy paluszki, patyczkiem robimy paznokcie.



Zdjęcie 5

Masę solną rozwałkowujemy na grubość pół centymetra i wycinamy dwa pasy na sukienkę.

Mniejszy przyklejamy do nóżek na wysokości kolan anioła. Żeby masa lepiej przywarła, możemy posmarować miejsce sklejenia odrobiną wody.



Zdjęcie 6

Przyklejamy drugą fałdę sukienki. Maczając palce w wodzie, wygładzamy masę, tworząc jednolitą powierzchnię z przyklejoną wcześniej górą sukienki.



Zdjęcie 7

Wykrawamy tabliczkę i przyklejamy ją na brzuszku anioła. Formujemy rączki, przyklejamy je wzdłuż tułowia i przy pomocy odrobiny wody doklejamy dłonie do tabliczki.



Zdjęcie 8

Robimy kulkę, lekko ją wydłużamy — to będzie anielska głowa. W skrzydełkach robimy dziurki na sznureczek.



Zdjęcie 9

Z rozwałkowanej masy wykrawamy długi prostokąt i za pomocą nożyka nacinamy z dwóch stron włosy. Doklejamy je do głowy, układając pasmo po pasmie w fale.



Zdjęcie 10

Anioły malujemy farbami plakatowymi lub akrylowymi wedle fantazji. Po wyschnięciu lakierujemy z każdej strony. Przywiązujemy sznureczek lub wstążeczkę.



Kurs

pakowania prezentu

Zdjęcie 1

Potrzebne nam będą:

- * papier pakunkowy wielkością dopasowany do gabarytów prezentu,
- * wstążka,
- * kawałek tekturki o szerokości 10 cm,

* klej do papieru.

Ponadto: szpilki i nożyczki.



Zdjęcie 2

Na środku papieru kładziemy prezent, zakładamy najpierw jedną, potem drugą stronę.



Zdjęcie 3

Dwie pozostałe strony składamy w trójkąty, smarujemy wzdłuż brzegów klejem i skleamy.



Zdjęcie 4

Odmierzamy 2 metry wstążki i nawijamy ściśle na tekturkę.



Zdjęcie 5

Nawiniętą wstążkę ściągamy z tekturki, spinamy szpilkami, by się nie przesuwała i na środku z dwóch stron wycinamy trójkąciki.



Zdjęcie 6

Związujemy ściśle kawałkiem wstążeczki na dwa supełki.



Zdjęcie 7

Łapiąc każdą pętelkę w palce, wyciągamy wstążeczkę z rulonika i formujemy kwiatusek.



Zdjęcie 8

Odpowiedniej długości wstążką obwiązujemy zapakowany prezent, zostawiając kawałeczki, którymi przymocujemy kwiatusek.



Zdjęcie 9

Tak zapakowany prezent ucieszy nie tylko duszę, lecz także oczy.



Kurs sówki

Zdjęcie 1

Do uszycia sówek potrzebne nam będą:

- * dwa kawałki komponujących się ze sobą materiałów na tułów i brzusek,
- * biały i czarny filc na oczy oraz dzióbek,
- * guziczek lub inna ozdoba,
- * wstążeczka,
- * pasujące kolorystycznie cienkie nici oraz kordonek do obszywania elementów,
- * wypełniacz.

Ponadto: igły, szpilki, nożyczki, ołówek.

Zdjęcie 2

Rysujemy, odrysowujemy lub drukujemy rysunek sowy. Rozrysowujemy i

wycinamy każdy z elementów, tworząc wykroje. Wykroje obrysowujemy po lewej stronie materiałów i wycinamy elementy z materiału.





Zdjęcie 3

Tułów sowy zszywamy, zostawiając miejsce na wywrócenie.



Zdjęcie 4

Tułów wypychamy i zszywamy na okrętkę.



Zdjęcie 5

Przypinamy brzuszek i obszywamy kordonkiem.



Zdjęcie 6

Gdy brzuszek jest doszyty, przyszywamy dzióbek cienką nitką na okrętkę.



Zdjęcie 7

Czas na oczy. Przyszywamy je dopasowanymi kolorystycznie nićmi na okrętkę.



Zdjęcie 8

Sówki mogą być kolorowym, radosnym prezentem nie tylko dla najmłodszych.



Kurs na

skarpetę na prezenty

Zdjęcie 1

Do uszycia świątecznej skarpety potrzebne nam będą:

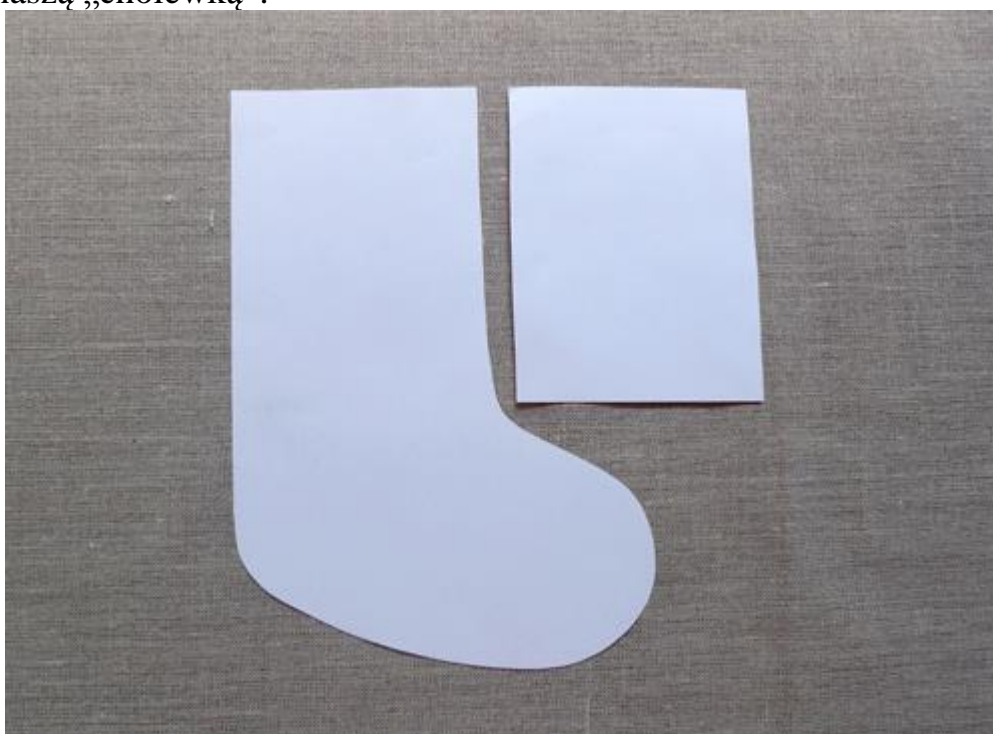
- * 2 współgrające ze sobą materiały oraz kawałek materiału na podszewkę,
- * pasujące kolorystycznie nitki,
- * wstążeczki i inne ozdoby na wykończenie według fantazji.

Ponadto: nożyczki, szpilki, igła, ołówek.



Zdjęcie 2

Robimy wykrój. Wielkość zależy o potrzeb. Moja skarpeta ma 30 cm wysokości i 12 cm szerokości. Prostokąt (w moim przypadku 12x24 cm) będzie naszą „cholewką”.



Zdjęcie 3

Wszystkie kawałki materiału (również kawałek na podszewkę) składamy

podwójnie prawą stroną do prawej, na lewej stronie rozrysowujemy wykrój i wycinamy. Tak samo postępujemy z materiałem na cholewkę.



Zdjęcie 4

Przyszywamy cholewki do podstawy podszewki, układając części prawa strona do prawej.



Zdjęcie 5

W ten sam sposób doszywamy podstawę skarpety do drugiej strony cholewki.



Zdjęcie 6

Rozprasowujemy szwy i spinamy obie części razem, pamiętając o zasadzie „prawa strona do prawej”.



Zdjęcie 7

Zszywamy na okrętkę, zostawiając miejsce na wywrócenie części przeznaczonej na podszewkę (oznaczone strzałeczkami).



Zdjęcie 8

Przewracamy skarpetę na prawą stronę i ładnie zaprasowujemy szwy.



Zdjęcie 9

Wsuwamy podszewkową część skarpety do środka.



Zdjęcie 10

Wywijamy cholewkę, doszywamy wstążeczkę/zawieszkę i ozdabiamy według gustu. Moja gwiazdka jest namalowana farbą do tkanin.



POLECAMY

JOANNA
SZARAŃSKA

Cztery
płatki
śniegu



Ciepła, przepelniona humorem i wzruszeniami opowieść o tym, co jest naprawdę ważne.

Gwiazdka za pasem, w powietrzu pachnie makowcem, goździkami i zieloną choinką. Mieszkańcy małego miasteczka myślą już o przygotowaniach świątecznych, ale na drodze lepienia uszek i łańcuchów choinkowych staną im rodzinne perypetie. Zabiegani zapomną, co naprawdę liczy się w świętach. Na szczęście ktoś im o tym przypomni...

Bo święta mogą być wyjątkowe, nawet gdy z nieba spadną cztery płatki śniegu na krzyż...



Karolina Wilczyńska
ZAMARZNIĘTE SERCA


ROK NA KWIATOWEJ


Ogrzej swoje serce wśród przyjaciółek z Kwiatowej!



Zima przychodzi nieoczekiwanie. A z nią mróz tak wielki, że mrozi serce. Wtedy potrzebujemy kogoś, kto otuli je ciepłem, roztopi lód i pozwoli uwierzyć w nadejście wiosny.

Liliana stoi przed trudnym zadaniem: musi zaopiekować się córką kuzynki, która zatrzymuje się u niej na jakiś czas. Nastolatka sprawia sporo kłopotów i gdy Liliana postanawia z nią poważnie porozmawiać, dowiaduje się o traumatycznych przeżyciach dziewczyny. Pod adresem partnera Liliany padają poważne oskarżenia. Niespodziewanie okazuje się też, że Liliana musi zmierzyć się z własną, trudną przeszłością. Jakie decyzje podejmie? I czy ostatecznie uda jej się odnaleźć wspólny język z zamkniętą w sobie nastolatką?

Najnowsza powieść Karoliny Wilczyńskiej to próba zrozumienia, że przeszłość zawsze nas odnajdzie, nie możemy od niej uciec.



Miłość jak z bajki – to się zdarza!

NATALIA SOŃSKA



Zakochaj się
Julio



Zimowa sceneria polskich gór i wzruszająca opowieść o miłości jak z bajki.

Julia jest nauczycielką w jednym z krakowskich liceów. Młoda i ambitna, cieszy się wśród uczniów szacunkiem oraz sympatią. Dziewczyna ma złote serce, a dla swoich wychowanków jest w stanie zrobić wszystko, nawet narazić własną reputację!

Jakub realizuje się życiowo i zawodowo – jego firma deweloperska prężnie się rozwija, a narzeczona – Dagmara – wydaje się wymarzoną partnerką. Mimo to Jakub odczuwa pewien niedosyt i pustkę. Przypadkowe spotkanie z Julią na jednym z górskich szlaków wywoła lawinę zdarzeń. Czyżby Jakub odnalazł prawdziwą księżniczkę? Czy drogi tych dwojga zejdą się na zawsze?

Morał z tej opowieści może płynąć tylko jeden – szlachetne i dobre serce zawsze zwycięży fałsz i dwulicowość innych...

